

**Larry Niven**

**Calkowe drzewa**

*(The integral Teres)*

*Przekład Aleksandra Jagielowicz*

## **DRAMATIS PERSONAE**

### „DYSCYPLINA”

SHARLS DAVIS KENDY – Były Kontroler Państwa (zmarły). Również zapisy osobowości Sharlsa Davisa Kendy’ego w głównym komputerze statku zarodczego „Dyscyplina” i jego jednostek remontowych

### KĘPA QUINNA

GAVVING – Młody wojownik, alergik

HARP – Gawędziarz, bard

LAYTHON – Syn Przywódcy

MARTAL – Kucharka Kępy Quinna (zmarła)

UCZONY – Strażnik wiedzy Kępy Quinna

TERM – Częściowo przeszkolony uczeń Uczonego

PRZYWÓDCA – Władca Plemienia Quinna

CLAVE – Potężny wojownik, zięć Przywódcy

MAYRIN – Żona Clave’a, córka Przywódcy

JAYAN I JINNY – Siostry-bliźniaczki, zakochane w Clave’ie

MERRIL – Starsza kobieta

JIOYAN – Łowca

GLORY – Kobieta o niechcianej sławie

ALFIN – Starszy mężczyzna, opiekun dziupli

### INNI

MINYA – Wojowniczką Szwadronu Triunów z Kępy Daltona-Quinna

SAL, SMITTA, JEEL, THANYA, DENISSIE – Wojowniczki Szwadronu Triunów

KARA – Szarmanka (lub Uczony) Stanów Carthera

DEBBIE, ILSA, HILD, LIZETH, ANTHON – Obywatele Stanów Carthera

KLANCE – Uczony Drzewa Londyn

LAWRI – Asystentka Uczonego Drzewa Londyn

KOŃ, JORG, HELN, OWEN – Manusy z Drzewa Londyn

DLORIS, HARYET, KOR – Strażniczki z Drzewa Londyn

KARAL, MARK, PATRY – Wojownicy Floty Drzewa Londyn

## PROLOG

### „Dyscyplina”

To trwało już zbyt długo, dłużej niż się tego spodziewał. Sharls Davis Kendy nie był człowiekiem nerwowym. Sądził, że po przemianie stanie się odporny na zniecierpliwienie. Ale to już trwało o wiele za długo. Co oni tam robią?

Nic nie ograniczało jego zmysłów. Teleskopowe matryce Sharlsa były potężne, wyczuwał nimi całe widmo elektromagnetyczne, od mikrofal po promienie rentgenowskie, jedynie Dymny Pierścień utrudniał mu widzenie. Była to mieszanina kurzu, chmur oparów wodnych, kropel brudnej wody lub rzadkiego błota, mas swobodnie unoszących się odłamków skalnych; kłębków, pęczków i kęp zieleni. Zielone powierzchnie kropli i skał, zielone cienie alg w chmurach, drzewa o kształcie znaku całki, skierowane promieniście w stronę gwiazdy neutronowej i pyszniące się liśćmi z obu końców; stworzenia wielkie jak wieloryby, o szerokich pyskach, przemierzające zielonkawo zabarwione chmury...

Dymny Pierścień tętnił życiem. Claire Dalton nazwała go wieńcem bożonarodzeniowym. Claire była bardzo starą kobietą, zanim Państwo wskrzesiło ją jako humanusa. Pozostali nigdy nie widzieli bożonarodzeniowego wieńca, Kendy zresztą też nie. Pół tysiąca lat temu ujrzeli jedynie pierścień dymu o średnicy kilkudziesięciu tysięcy kilometrów, z małym, ale gorącym łebkiem od szpilki pośrodku.

Raporty były entuzjastyczne. Życie okazało się oparte na DNA, powietrze nie tylko nadawało się do oddychania, ale miało wspaniały smak...

„Dyscyplina” znajdowała się teraz w grawitacyjnym punkcie neutralnym ponad Światem Głodblatta, punkt L2. Z tak małej odległości niebo dzieliło się wyraźnie na usiany gwiazdami nieboskłon i pas zielonkawych obłoków. Tuż pod nimi potężny, zniekształcony wir burzy krył pozostałości planety gazowego giganta, kamienisty orzeszek dwa i pół razy cięższy od Ziemi.

Sharls nie miał zamiaru wchodzić w wewnętrzny obszar. Te prądy mogłyby uszkodzić statek, a on nie miał pojęcia, jak długo musi przetrwać statek zaradczy, aby spełnić swą misję. Czekał już ponad pięćset lat. Punkt L2 wciąż znajdował się w gazowym torusie. Dymny Pierścień był jedynie jego najgęściejszą częścią. „Dyscyplina” poddawana była powolnemu działaniu erozji. Nie zostanie tu przez wieczność.

Przynajmniej załoga nie wymarła.

To zabolaloby go najbardziej.

Wykonał swoje zadanie. Ich przodkowie byli buntownikami, potencjalnym zagrożeniem dla samego Państwa. Jego zadaniem była reedukacja potomków, ale jeśli Dymny Pierścień ich zabił... no cóż, nie zdziwiłby się. Aby utrzymać przy życiu ludzi, trzeba czegoś więcej niż

powietrza, którym można oddychać. Pierścień tętnił życiem, które wyewoluowało w tym przedziwnym środowisku. Tubylcy równie dobrze mogli pozabijać spóźnialskich osadników, do niedawna załogę statku zaradczego „Dyscyplina”.

Sharls oplakałby ich rzewnymi łzami, ale wtedy przynajmniej mógłby wrócić do domu.

Nazwaliby mnie przestarzałym antykiem, myślał ponuro, gdy przyrządy przeczesywały zakres radiowy w poszukiwaniu konkretnej częstotliwości. Przestarzały o tysiąc lat, zanim wrócić do domu. Komputer na pewno oddadzą na złom. A program? Program Sharls Davis Kendy może być skopiowany i zachowany dla historyków. Albo i nie.

Ale oni nie umarli. Buntownicy zabrali ze sobą osiem modułów naprawczo-towarowych. Czas i korozyjne środowisko pewnie już zrujnowały MONT-y, ale jeden wciąż działał. Ktoś używał go jeszcze sześć lat temu... Otóż to. Właśnie tego światła szukał. Przez chwilę docierało do niego wyraźnie. Częstotliwość wodoru spalającego się w obecności tlenu.

Wypalił z masera serią ultrakrótkich impulsów o dużej mocy.

– Kendy w imieniu Państwa, Kendy w imieniu Państwa, Kendy w imieniu Państwa.

Odpowiedź nadeszła w cztery sekundy później, leniwa, słaba i niewyraźna. Kendy wyłowił ją, wyostrzył teleskopy i wysłał kolejne żądanie.

– Status. Powtórz trzy razy.

Posortował bełkot, jaki otrzymał w odpowiedzi, korzystając z programu eliminującego zakłócenia. MONT był na sterowaniu ręcznym, w stanie raczej dobrym, poruszał się używając jedynie silników manewrowych, które pracowały w granicach bezpiecznych parametrów. Niegdyś było to uproszczone odbicie własnej osobowości Kendy’ego, ale teraz rozpadający się program zgłupiał i stracił przewidywalność.

– Rejestracja kursu w ciągu ostatniej godziny.

Dostał ją. MONT jeszcze mniej więcej czterdzieści minut temu spadał swobodnie z niewielką prędkością względną. Potem wykonał kilka manewrów na małym przyspieszeniu, kursem, który wyglądał jak przewrócona miska spaghetti. Kompletnie marnotrawstwo paliwa. Awaria? A może... rozpaczliwa walka o życie?

Wojna?

– Przełączyć się na moje sterowanie.

Cztery sekundy, a potem wrzask, jakby konającej istoty. Poważna awaria.

Załoga musiała odłączyć system autopilotażu na wszystkich MONT-ach jakieś pięćset lat temu. Mimo to należało spróbować i temu też służył następny rozkaz.

– Daj mi łączność wideo z załogą.

– Odmowa.

Ohoho! A więc łączność wideo nie została przerwana? Wtedy, pół tysiąca lat temu, buntownicy musieli zaprogramować blokadę. Przecież ich potomkowie na pewno nie

wiedzieliby, jak to zrobić.

A blokadę, oczywiście, można ominąć.

MONT był za mały, żeby go zobaczyć, ale pewnie siedzi gdzieś niedaleko tej zielonej plamy w rejonie Świata Goldblatta. Las z cukrowej waty. Rośliny Dymnego Pierścienia były delikatne, puszyste. Rozpościerały się, rozwidlały, aby pochwycić jak najwięcej promieni słonecznych, nie martwiąc się o grawitację.

Przez pięćset lat Kendy oczekiwał na oznaki rozwijającej się cywilizacji – regularne wzory w płynnych masach, promieniowanie podczerwone z ośrodków przemysłowych, zanieczyszczenia, opary metalu, tlenek węgla, tlenki azotu. Niczego nie znalazł. Jeśli dzieci załogi „Dyscypliny” rosły gdzieś tam w dzicz, nie mogło ich być dużo.

Ale żyli. Ktoś używał MONT-a.

Gdyby mógł ich zobaczyć lub porozmawiać z nimi...

– Łączność głosowa. Obywatele, tu Kendy w imieniu Państwa. Przemówcie, a nagroda będzie większa, niż to sobie możecie wyobrazić.

– Wzmocnić. Wzmocnić. Wzmocnić – odpowiedział MONT.

Kendy już wysyłał pełne wzmocnienie.

– Odwołać łączność głosową – polecił.

Nie po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy Dymny Pierścień nie stanowił zbyt przyjaznego środowiska. Stworzenia żyjące w stanie swobodnego spadku nie mają ludzkiej siły. W Dymnym Pierścieniu ludzie mogli okazać się najsilniejszymi istotami, szczęśliwymi jak ostrygi w swoich skorupach i mniej więcej tak samo aktywnymi. Cywilizacja rozwija się po to, by chronić przed wpływem środowiska lub atakami innych ludzi. Wojna, to byłby dobry znak...

Gdyby wiedział, co się tam dzieje! Kendy mógł zakłócić środowisko na tuzin rozmaitych sposobów. Wyrzucić ich z Raju i patrzeć, co się będzie działo. Ale nie miał odwagi. Nie wiedział wystarczająco dużo.

Czekał.

## ROZDZIAŁ I

### Kępa Ouinna

Gavving słyszał szelest, gdy jego towarzysze posuwali się ku górze. Byli rozproszeni wzdłuż pnia drzewa. Dzielił się w nieskończoność na cienkie jak nitki gałązki, które na końcach rozkwitały delikatnym listowiem podobnym do zielonej waty pozwijanej w luźne kłębki, by pochwycić jak najwięcej światła, przenikającego przez nie niczym zielony zmierzch.

Gavving przedzierał się przez wszechświat utkany z zielonej waty cukrowej.

Wyglodniały, sięgnął głęboko poprzez sieć gałązek i wyszarpnął garść liści. Smakowały dokładnie jak twarda wata cukrowa. Zaspokajały głód, ale żołądek Gavvinga domagał się mięsa. Te liście były zbyt włókniste... a ich zieleń zbyt brunatna, nawet tu, na skraju kępy, gdzie dochodziło światło słońca.

Zjadł liście i ruszył dalej.

Narastające zawodzenie wiatru powiedziało mu, że jest już prawie na miejscu. W chwilę później wytknął głowę na słońce i wiatr.

Światło słoneczne raziło go w oczy, wciąż jeszcze zaczerwienione i podrażnione porannym napadem alergii, która zawsze atakowała oczy i zatoki. Skrzywił się i odwrócił głowę. Pociągnął nosem i czekał, aż wzrok przywyknie, a potem niecierpliwie spojrzał w górę.

Gavving miał czternaście lat, mierzonych zachodami słońca za Voy. Do tej pory nie ruszał się powyżej Kępy Quinna.

Pień wznosił się wprost w górę, jakby wychodził z Voy. Wydawało się, że nie ma końca, jak szeroki, brązowy mur zwężający się najpierw w walec, a potem w ciemną linię łagodnie zakrzywiającą się ku zachodowi, ku punktowi w nieskończoności... punktowi zwieńczonemu daleką kępą zieleni.

Spod jego stóp odpadł nagle obłok zbrązowiałej zieleni, oddalając się w kierunku środka kępy. Gavving spojrzał na wschód. Wiatr szarpał jego długie włosy. Widział gałąź wyłaniającą się z zieloności – pół kłomtera nagiego drewna, smukła, delikatna pletwa.

Z zieleni obok wychynęła głowa Harpa, który natychmiast cofnął się, chowając twarz przed wiatrem. Za nim wysunął się Laython i również zaraz się ukrył. Gavving czekał. Teraz pojawili się obaj. Twarz Harpa była szeroka, grubokoścista, pełna brutalnej siły, częściowo ukrytej przez złocisty zarost. Długa, ciemna twarz Laythona właśnie zaczynała porastać kosmykami czarnych włosów.

– Możemy przepelznąć dookoła, na drugą stronę pnia. Na wschód, z dala od tego wiatru.

Wiatr wiał zawsze z zachodu, zawsze z prędkością sztormu. Laython spojrzał pod wiatr poprzez palce.

– Nie zgadzam się! – ryknął. – Jak złapiemy cokolwiek? Cała zwierzyna przylatuje z wiatrem!

Harp prześliznął się między liśćmi i dołączył do Laythona. Gavving wzruszył ramionami i zrobił to samo. Chętnie ukryłby się przed wiatrem... W końcu Harp, o dziesięć lat starszy od kolegów, był kimś w rodzaju przywódcy. Niestety, rzadko to potwierdzał czynem.

– Nie będzie żadnego łapania – odparł Harp. – Jesteśmy tu po to, żeby strzec pnia. Jeśli nawet jest susza, to nie znaczy, że nie będzie nagłej powodzi. A jeśli drzewo zahaczy o staw?

– Jaki znowu staw? Rozejrzyj się! Tu nie ma zupełnie nic! Voy jest za blisko, sam to powiedziałeś, Harp!

– Pień zasłania prawie całe pole widzenia – łagodnie odparł Harp.

Słońce, jasny punkt na niebie, przesuwało się powoli wzdłuż zachodniej krawędzi kępy. Z tamtej strony nie było widać ani stawów, ani chmur, ani wędrownych lasów... nic, tylko białobłękitnawe niebo przecięte linią Dymnego Pierścienia. Na tej linii widniał skłębiony supeł, który musiał być Goldem.

Spojrzał w górę i ujrzał jeszcze więcej nicości: odległe smugi chmur układające się w kształt burzowego wiru... błyszczącą plamkę, która mogła być stawem, ale wydawała się jeszcze bardziej odległa niż zielony czubek całkowitego drzewa. Nie będzie powodzi.

Ostatnia powódź nadeszła, gdy Gavving miał sześć lat. Pamiętał przerażenie, panikę, nerwowy pośpiech. Plemię przeniosło się na wschód, wzdłuż gałęzi, w miejsce, gdzie kępa przechodziła w stożkowaty słup nagiego drzewa. Pamiętał huk, który zagłuszył wiatr, i dygoczącą bez końca gałąź. Ojciec Gavvinga i dwaj inni myśliwi nie zostali ostrzeżeni w porę. Zmyło ich w niebo.

Laython ruszył wokół pnia, ale w kierunku nawietrznej. Na wpół wychylony z listowia, długimi ramionami odpychał się pod wiatr. Harp ruszył za nim. Jak zwykle, ustąpił. Gavving prychnął i dołączył do nich.

Droga była męcząca. Harp jej z pewnością nienawidził. Używał wprawdzie sandałów z hakami, ale i tak chyba cierpiał. Miał sprawny mózg i ostry język, ale był karłem. Jego tors był krótki i krępy, muskularne ramiona i nogi miały niewielki zasięg, a palce u stóp stanowiły tylko dekorację. Mierzył znacznie mniej niż dwa metry. Kiedyś Grad powiedział Gavvingowi:

„Harp wygląda jak obrazy Założycieli w dzienniku. Kiedyś wszyscy wyglądaliśmy tak samo”.

Harp wyszczerzył zęby, choć ledwie zipsał.

– Damy ci sandały z hakami, kiedy będziesz trochę starszy.

Laython również się uśmiechnął, choć nieco krzywo, i wyprzedził ich obu. Nie musiał nic mówić. Sandały z hakami mogły jedynie przeszkadzać jego długim, ruchliwym palcom u stóp.

Noc zmniejszyła panującą jasność. Teraz, gdy światło słoneczne znajdowało się po drugiej

stronie Voy, widoczność była lepsza. Pień wyglądał jak ogromny, brunatny mur o obwodzie trzech kłomterów. Gavving spojrział w górę tylko raz – był rozczarowany brakiem postępów. Później już tylko trzymał głowę pod wiatr, przedzierając się przez zieloną watę, aż usłyszał krzyk Laythona:

– Kolacja!

Drżąca czarna kropka, punkcik widoczny pod wiatr.

– Nie wiem, co to jest – mruknął Laython.

– Chyba próbuje minąć drzewo. Wygląda na dużą sztukę – dodał Harp.

– Idę na drugą stronę! Chodźcie!

Popełzli szybciej. Drżąca kropka zbliżyła się. Była długa, wąska i poruszała się ogonem do przodu. Wielka przezroczysta płetwa stwarzała mgiełkę od szybkiego ruchu, gdy zwierzę próbowało wyminąć pień. Smukły korpus obracał się powoli.

Wreszcie pojawiła się głowa. Zza dzioba wyzierała para lśniących oczu.

– Mieczoptak – stwierdził Harp i przystanął.

– Hej, co robisz? – zawołał Laython.

– Nikt przy zdrowych zmysłach nie rzuca się na mieczoptaka.

– Przecież to też mięso! I pewnie sam zdycha z głodu tak blisko pnia.

– I kto tak mówi, Term? – prychnął Harp. – Term zna teorię, ale nie musi polować.

Powolne obroty mieczoptaka odsłoniły miejsce, w którym powinno się znajdować jego trzecie oko. Zamiast niego widniała wielka, nieregularna plama kosmatej zieleni.

– Puch! – zawołał Laython. – Jest ranny w łeb i rana została zainfekowana puchem. Harp, ta bestia jest ranna!

– To nie zraniony indyk, chłopcze. To ranny mieczoptak.

Laython, niemal dwukrotnie wyższy od Harpa, był w dodatku synem Przywódcy. Niełatwo go utemperować. Owinął długie, silne palce wokół ramienia Harpa.

– Jeśli będziemy tu tak stać i się kłócić, to go nie złapiemy. Idziemy do Golda – oznajmił i wstał.

Wiatr uderzył w niego z całą siłą. Chłopak owinął palce nóg i jednej dłoni wokół gałęzi, wymachując wściekle drugim ramieniem.

– Hej-ho! Mieczoptaku! Mięso, ty manusie, mięso!

Harp burknął coś z odrazą.

Stwór na pewno zobaczy ramię w jaskrawej, szkarłatnej bluzie. Może chybimy, a potem będzie za późno, pomyślał Gavving z nadzieją, ale nie chciał okazać się tchórzem na swoim pierwszym polowaniu.

Zdjął linę z pleców i pogрузzył się w zieleni, aby wbić hak w drewno. Przywiązał do haka linę, w połowie długości przymocowaną do jego pasa. Nikt nigdy nie zaryzykował jej utraty.



Myśliwy, nawet jeśli spadł w niebo, wciąż jeszcze był w stanie zaczepić się o coś, jeżeli miał linę.

Stworzenie nie zauważyło ich. Laython zaklął. Czym prędzej zaczepił własną linę, na której drugim końcu przymocowany był harpun, wykonany z twardego drzewa z samego końca gałęzi. Laython okręcił harpun wokół głowy, zawył radośnie i rzucił.

Mieczoptak musiał go zobaczyć albo usłyszeć, bo okręcił się wokoło z rozwartą paszczą i trójkątnym ogonem drżącym z wysiłku, gdy usiłował skrócić w prawo, żeby dotrzeć na ich stronę drzewa. O tak, był wygłodniały! Gavving aż do tej chwili nie zorientował się, że bestia może właśnie jego uznać za mięso.

Harp zmarszczył brwi.

– To się może udać. Jeśli będziemy mieli szczęście, rozwali się o pień.

Mieczoptak z każdą chwilą wydawał się coraz większy: większy od człowieka, większy niż chata – sam pysk, skrzydła i ogon. Ogon był przezroczystą błoną zakończoną grzebieniem grzbietowym o zębatych krawędziach. Co on tu robi? Mieczoptaki żywiły się stworzeniami żyjącymi w wędrownych lasach, a tych było tu niewiele. Za blisko Voy. Wszystkiego było tu za mało. Gavving uznał, że zwierzę wygląda na wyczerpane; poza tym miało tę miękką, zieloną łatę na jednym oku.

Puch był zielonym roślinnym pasożytem, który porastał zwierzę tak długo, dopóki nie zdechło. Ludzi też atakował. Każdy łapał go wcześniej lub później, niektórzy nawet kilka razy. Ludzie jednak mieli na tyle rozumu, aby pozostawać w cieniu, dopóki puch nie zwiędnie i nie obumrze.

Laython mógł mieć rację. Uraz głowy, zakłócone wyczucie kierunku... no i zawsze to mięso, masa mięsa wielka jak barak kawalerów. Pewnie zdycha z głodu... a teraz jeszcze zwróciło się w ich kierunku.

Szła na nich sama paszcza – eliptyczna, powiększająca się z każdą chwilą jaskinia zębów.

Laython z gorączkowym pośpiechem zwinął linę. Gavving ujrzał przelatującą obok linę Harpa i ocknął się z paraliżu. Rzucił bronią.

Mieczoptak okręcił się z niewiarygodną szybkością i złamał harpun Gavvinga jak zapałkę. Harp zawył. Gavving zamarł na moment; palcami wczepił się w listowie i ściągnął linę. Przecież ją zaczepił.

Stwór nie zamierzał uciekać; z trzepotem posuwał się nadal w ich stronę.

Bosak Harpa otarł się o jego bok i chybił. Harp pociągnął, usiłując zahaczyć bestię, ale znowu nie trafił. Zwinął linę, by spróbować jeszcze raz.

Gavving, po pachy zanurzony w gałązkach i w wacie, z palcami wczepionymi w zbitą masę, z całych sił dźwignął linę. Nie spuszczał wzroku z mieczoptaka, jakby nadal próbował nawiązać kontakt z morderczą bestią.

– Harp! – ryknął. – Gdzie go mogę zranić?

– Oczodoły, tak mi się zdaje.

Zwierzę źle wycelowało i otarło bokiem korę z pnia niebezpiecznie blisko nad ich głowami. Pień zadrżał. Gavving wrzasnął z przerażenia, Laython – z wściekłości. Rzucił bosak tuż przed paszczą potwora.

Ostrze otarło się o bok zwierzęcia. Laython mocno pociągnął za linę i kolce z twardego drzewa pograżyły się głęboko w ciele mieczoptaka.

Jego ogon znieruchomiał. Może stwór próbował przemyśleć sytuację, obserwując ich dwojgiem ocalałych oczu. Wiatr unosił go na zachód.

Najpierw napięła się lina Laythona, później Gavvinga. Gałązki wysliznęły się ze zbyt krótkich palców stóp Gavvinga, a potem niewyobrażalna masa bestii pociągnęła go w niebo.

Gardło mu się ścisnęło, ale usłyszał wrzask Laythona. On także został oderwany od liny.

W palcach wciąż ścisnął listki. Spojrzał w dół, na puszystą powierzchnię kępy, zastanawiając się, kiedy odpaść i zeskoczyć. Ale jego lina wciąż była zakotwiczona, a wiatr znacznie silniejszy niż zwykle. Mógł wywiać go poza kępę, poza całą gałąź, na zewnątrz i jeszcze dalej. Gavving ostrożnie wciągnął się po linie, oddalając się od drapieznika-ofiary.

Laython jednak nie miał zamiaru się poddać. Przygotował harpun i czekał.

Mieczoptak zdecydował za nich. Zwinął cielsko w hak, zębatym ogonem bez trudu przeciął linę Gavvinga i skierował się na zachód. Lina Laythona napięła się znowu, ale gałązki puściły i uwolniły ją. Gavving rzucił się, aby schwytać koniec liny, ale chybił.

Mógł teraz wycofać się w bezpieczne miejsce, ale został i patrzył.

Laython, wyprężony, z gotową włócznią, drugim ramieniem zataczał koła, aby powstrzymać wirowanie swojego ciała, gdy drapiezca rzucił się ku niemu. Ludzie byli bodaj jedynymi stworzeniami w całym Dymnym Pierścieniu, które nie miały skrzydeł.

Ciało mieczoptaka wygięło się w U, a ogon przeciął Laythona na pół, zanim ten zdążył choćby zamierzyć się włócznią. Pysk potwora kłapnął cztery razy i Laythona już nie było. Zwierz jeszcze poruszał szczękami, usiłując zgryźć włócznię, gdy wiatr uniósł go na zachód.

Chata Uczonego była podobna do wszystkich innych chat Plemienia Quinna: żywe gałązki zaplecione w rodzaj wiklinowej klatki. Choć większa niż inne, nie zawierała luksusów. Dach i ściany stanowiły mieszaninę różnych dziwnych przedmiotów poutykanych w plecionkę: tabliczki, indyjskie pióra i czerwony sok z kępojagód, służący za atrament, narzędzia do nauki, narzędzia do badań, różne relikty z czasów, zanim człowiek opuścił gwiazdy.

Uczony wszedł do chaty z miną ślepeca. Ręce miał po łokcie unurzane we krwi. Zaczął je trzeć garściami liści, mruczając pod nosem:

– Cholerne, cholerne świdrzaki. Włazą i już, nie ma sposobu, żeby je powstrzymać. Podniósł

wzrok. – Term?

-... bry. Do kogo mówisz, do siebie?

– Aha. – Z furją tarł ramiona, wreszcie odrzucił od siebie zakrwawione liście. – Martal nie żyje. Świdrzak w nią wszedł. Chyba sam ją zabiłem, wyciągając go, ale i tak by umarła... nie można wyjąć jaj świerzaka. Słyszałeś o wyprawie?

– Tak. Trochę. Nie mogę od nikogo nic wyciągnąć.

Uczony wyrwał ze ściany garść listowia i spróbował odczyścić skalpel. Nie patrzył na Terma.

– A co myślisz?

Term przyszedł i rozżośćił się jeszcze bardziej, czekając w pustej chacie. Usiłował ukryć gniew w głosie.

– Myślę, że Przywódca próbuje uwolnić się od paru obywateli, których nie lubi. Chciałbym tylko wiedzieć, dlaczego ja?

– Przywódca to dureń. Myśli, że nauka może zatrzymać powódź.

– A więc ty też masz kłopoty? – Termowi nagle rozjaśniło się w głowie. – Zwalileś wszystko na mnie.

Uczony w końcu podniósł na niego wzrok. Oczy miał spokojne, ale Termowi wydawało się, że widzi w nich poczucie winy.

– Tak, pozwoliłem mu pomyśleć, że to twoja wina. A teraz chcę ci dać kilka drobiazgów...

W odpowiedzi usłyszał pełen niedowierzania śmiech.

– Co? Jeszcze jakiś złom, który będzie trzeba taszczyć setkę kłomterów w górę?

– Term... Jeffer. Co ci mówiłem o drzewie? Wspólnie badaliśmy wszechświat, ale najważniejszą rzeczą w nim jest to drzewo. Czy nie nauczyłem cię, że wszystko, co żyje, zawsze znajdzie sposób, aby pozostać w medianie Dymnego Pierścienia, gdzie jest gleba, woda i powietrze.

– Wszystko, tylko nie ludzie i drzewa.

– Całkowite drzewa mają swoje sposoby. Już cię uczyłem.

– Ja... myślałem, że to domysły... Och, wiem już. To o moje życie chcesz się założyć..

Uczony spuścił wzrok.

– Chyba tak. Ale jeśli mam rację, wówczas nie pozostanie nic, tylko ty i ludzie, którzy pójdą z tobą. Jeffer, to może być wielkie gadanie. Może wszyscy wrócicie z... tym, co jest nam potrzebne: indyki hodowlane, jakieś zwierzęta na mięso, które mogą żyć na pniu. Czy ja wiem...

– Ale nie jesteś pewien...

– Nie. Dlatego daję ci to.

Wyjął skarby z plecionych ścian: szklisty prostokąt o wymiarach ćwierć na pół metra, dość płaski, aby wejść do plecaka, i cztery pudełka, każde wielkości dziecięcej dłoni.

Term zareagował śpiewnym „ooch”.

– Sam zdecydujesz, czy powiedzieć innym, co niesiesz ze sobą. A teraz ostatnia sesja ćwiczeń. – Uczony włożył kasetę do ekranu czytnika. – Na pniu nie będziesz miał zbyt wiele okazji do nauki.

## ROŚLINY

ŻYCIE PRZENIKA DYMNY PIERŚCIEŃ, ALE NIE JEST ONO ANI GĘSTE, ANI POTEŻNE. W ŚRODOWISKU SWOBODNEGO SPADKU ROŚLINY MOGĄ ROZPOŚCIERAĆ LIŚCIE BARDZO SZEROKO, ABY POCHWYCIĆ JAK NAJWIĘCEJ ŚWIATŁA SŁONECZNEGO, PRZELATUJĄCEJ WODY I GLEBY, NIE PRZEJMUJĄC SIĘ STRUKTURALNĄ WYTRZYMAŁOŚCIĄ. JEST JEDNAK CO NAJMNIJ JEDEN WYJĄTEK.

CAŁKOWE DRZEWA WYRASTAJĄ DO OGROMNYCH ROZMIARÓW. ROŚLINA, POD POTEŻNYM NAPIĘCIEM, TWORZY DŁUGI PIEŃ Z KĘPAMI ZIELENI NA OBU KOŃCACH, STABILIZOWANY PRZEZ WIATR. DRZEWA TE TWORZĄ TYSIĄCE PROMIENI OTACZAJĄCYCH GWIAZDĘ LEVOYA. WYRASTAJĄ NA WYSOKOŚĆ SETEK KILOMETRÓW, CHARAKTERYZUJĄC SIĘ „PRZYCIĄGANIEM” DO JEDNEJ PIĄTEJ G NA KĘPACH I WIECZNYMI HURAGANOWYMI WIATRAMI.

WIATRY POWSTAJĄ NA SKUTEK ZWYKŁEJ MECHANIKI ORBITALNEJ. WIEJĄ ONE Z ZACHODU W KĘPIE WEWNĘTRZNEJ I ZE WSCHODU W KĘPIE ZEWNĘTRZNEJ (PRZY CZYM „WNĘTRZE” OZNACZA GWIAZDĘ LEVOY). STRUKTURA POCHYLA SIĘ Z WIATREM, TWORZĄC NA OBU KOŃCACH PRAWIE POZIOMY KONAR. LIŚCIE ODSIEWAJĄ NAWÓZ Z WIATRU.

MEDYCZNE NIEBEZPIECZEŃSTWA ŻYCIA W WOLNYM SPADKU SĄ DOBRZE ZNANE. JEŚLI „DYSCYPLINA” NAPRAWDĘ NAS OPUŚCIŁA, JEŚLI JESTEŚMY ROZBITKAMI W TYM PRZEDZIWNYM ŚRODOWISKU, MÓGŁ NAS SPOTKAĆ GORSZY LOS NIŻ OSIEDLENIE SIĘ W KĘPACH CAŁKOWYCH DRZEW. JEŻELI DRZEWA OKAZĄ SIĘ BARDZIEJ NIEBEZPIECZNE NIŻ PRZEWIDUJEMY, UCIECZKA BĘDZIE ŁATWA. WYSTARCZY SKOCZYĆ I CZEKAĆ, AŻ NAS ZABIORĄ.

Term podniósł głowę.

– Chyba naprawdę niewiele wiedzieli o drzewach.

– Nie. Ale, Jeffer, oni widzieli je z zewnątrz.

Była to porażająca myśl. Przetrawiał ją jeszcze, gdy Uczony odezwał się znowu:

– Obawiam się, że będziesz musiał rozpocząć szkolenie własnego Terma, i to wkrótce.

Jayan siedziała ze skrzyżowanymi nogami i zwijała liny. Czasem podnosiła wzrok, żeby sprawdzić, co robią dzieci. Wpadły jak wiatr na Rynek, ale wiatr ucichł i pozostawił je rozproszone wokół Clave'a. Niewiele umiał zrobić, choć widać było, że się stara.

Dziewczynki kochały Clave'a. Chłopcy go naśladowali. Niektórzy tylko się przyglądali, inni roili się wokół niego, próbując pomóc mu w montowaniu harpunów i haków. Zasypywali go przy okazji nie kończącym się strumieniem pytań.

– Co robisz? Po co ci tyle harpunów? I te wszystkie liny? Czy to wyprawa łowiecka?

– Nie mogę wam powiedzieć – odpowiadał Clave z odpowiednią dozą żalu w głosie. – King, gdzieś ty był? Cały się lepisz.

King był radosnym ośmiolatkiem, w tej chwili dokładnie pokrytym brązowym pyłem.

– Poszliśmy pod spód. Liście są tam bardziej zielone i smaczniejsze.

– A wzięliście liny? Te gałęzie nie są tak mocne jak kiedyś. Możecie przez nie przelecieć. Był z wami ktoś dorosły?

Jill, dziewięciolatka, sprytnie zmieniła temat:

– Co na kolację? Ciągłe jesteśmy głodni.

– Wszyscy są głodni. – Clave odwrócił się do Jayan. – Mamy dość bagaży, nie będziemy brać ze sobą jedzenia, wodę znajdziemy na pniu... jeszcze sandały z hakami... strzałostrąki. Cieszę się, że je mamy... liczę na to, że haków wystarczy... co nam jeszcze będzie potrzebne? Czy Jinny wróciła?

– Nie. Po co ją posłałeś?

– Po kamienie. Dałem jej siatkę, ale będzie musiała przebyć całą drogę do dziupli. Mam nadzieję, że znajdzie nam dobry kamień do mielenia.

Jayan nie winiła dzieci. Też kochała Clave'a. Chciałaby zatrzymać go dla siebie, gdyby mogła... gdyby nie Jinny. Czasem zastanawiała się, czy Jinny też tak to odczuwa.

– Eee... zbierzemy trochę liści, zanim opuścimy kępę...

Jayan przerwała pracę.

– Clave, nigdy o tym nie pomyślałam. Na pniu nie ma liści. Nie będziemy mieć nic do jedzenia!

– Coś znajdziemy. Po to właśnie się wybieramy – rażno oznajmił Clave. – A co, rozmyśliłaś się?

– Za późno – odparła Jayan. Nie dodała, że właściwie nigdy nie chciała iść. Teraz to i tak nie ma znaczenia.

– Mogę cię uwolnić, Jinny też. Obywatele tacy jak wy nie pozwolą...

– Nie zostanę. – Nie z Mayrin i Przywódcą, a bez Clave'a. Podniosła wzrok i zauważyła: – Mayrin.

Żona Clave'a stała w półcieniu po drugiej stronie Rynku. Mogła tam tkwić już od jakiegoś

czasu. Była o siedem lat starsza od Clave'a, krepa, z kwadratową szczęką odziedziczoną po ojcu, Przywódcy.

– Clave, wielki łowco – zawołała. – W co się bawisz z tą młodą kobietą, zamiast szukać mięsa dla obywateli?

– Rozkazy.

Podeszła z uśmiechem.

– Ekspedycja. Mój ojciec i ja przygotowaliśmy ją razem.

– Jeśli sama w to wierzysz, twoja sprawa.

Uśmiech znikł.

– Manus! Za długo się ze mnie nabijałeś, Clave. Ty i oni. Mam nadzieję, że spadniesz w niebo.

– A ja mam nadzieję, że nie – odparł uprzejmie Clave. – Chcesz nam pomóc? Potrzebujemy koców. Najlepiej jeden zapasowy. Razem dziewięć.

– Weź sobie sam – odparła Mayrin i odmaszerowała.

Tu, w samym centrum gąszczy Kępy Quinna, tunele w listowiu prowadziły we wszystkich kierunkach. Chaty przylatywały się do pionowych gałęzi, a tunele biegły dalej. Harp i Gavving mieli teraz miejsce do marszu... albo czegoś w tym rodzaju. W słabym przyciąganiu podskakiwali na gałęziach, jakby byli lżejsi od powietrza. Gałązki wzdłuż tuneli były nagie, objęzione z liści.

Zmiany. Dni przed przejściem Golda były dłuższe. Przedtem pomiędzy snami mijały dwa dni, teraz aż osiem. Term próbował kiedyś wytłumaczyć Gavvingowi, dlaczego tak jest, ale przyłapał ich Uczony i sprzał Terma za rozgadywanie tajemnic, a jego za to, że słuchał.

Harp uważał, że drzewo umiera. Cóż, Harp to bajarz, a katastrofy na światową skalę stanowią świetny temat opowieści. Ale Term też tak uważał... a Gavving czuł się tak, jakby świat miał zamiar się skończyć. Prawie chciał, żeby tak się stało, zanim będzie musiał powiedzieć Przywódcy o jego synu.

Przystanął, aby spojrzeć na własny dom, długi, półcyldryczny dom kawalera. Był pusty. Plemię Quinna musiało zebrać się już na wieczorny posiłek.

– Mamy kłopoty – mruknął Gavving, pociągając nosem.

– Jasne, że mamy, ale nie widzę powodu, żeby tak się zachowywać. Jeśli się ukryjemy, nie dostaniemy jeść. Poza tym mamy to. – Harp uniósł martwego grzybla.

Gavving potrząsnął głową. To nic nie da.

– Trzeba go było powstrzymać.

– Nie mogłem. – Gavving nie odpowiedział i Harp dodał: – Pamiętasz, jak cztery dni temu całe plemię rzuciło liny do stawu? Stawu nie większego niż duża chata. Jakbyśmy mogli go ściągnąć do siebie. Nie wydawało nam się to głupie, dopóki staw nie przeleciał. Nikt inny oprócz Clave'a nie pomyślał, żeby wziąć kocioł, ale zanim wrócił...

– Nawet Clave’a nie wysłałbym po mieczoptaka.

– Pół na pół – wyszczerzył zęby Harp. Powiedzenie było archaiczne, ale jego znaczenie pozostało oczywiste. Każdy głupiec potrafi przewidzieć przeszłość.

Otwór w wacie: kurnik dla indyków, z jednym jedynym ponurym mieszkańcem. Nie będzie ich więcej, dopóki nie złapią w wietrze nowego dzikiego indyka. Susza i głód... Woda wciąż jeszcze od czasu do czasu spływała po pniu, ale nigdy w dostatecznej ilości. Wędrownie stworzenia wciąż przelatywały, można więc było wyłowić mięso z wyjącego wiatru, ale coraz rzadziej. Plemię nie przeżyje długo na cukrowych liściach.

– Czy opowiadałem ci kiedyś o Glory i indykach? – zagadnął Harp.

– Nie. – Gavving odprężył się trochę. Potrzebował rozrywki.

– To było dwanaście albo trzynaście lat temu, przed przejściem Golda. Wtedy jeszcze rzeczy nie spadały tak szybko. Zapytaj Terma, to ci powie, dlaczego, bo ja nie potrafię. Ale to prawda. Gdyby zatem spadła wprost na zagrodę dla indyków, na pewno by jej nie rozbiła. Ale Glory próbowała poruszyć kocioł. Trzymała go mocno w ramionach, a on waży trzy razy tyle co ona. Straciła równowagę i zaczęła biec, żeby go nie upuścić. Wtedy właśnie wpadła do zagrody. Wydawało się, jakby to sobie szczegółowo zaplanowała. Indyki były wszędzie, rozleciały się po kępie i w niebo. Udało nam się zwrócić może jedną trzecią. Dlatego odsunęliśmy Glory od gotowania.

Jeszcze jedno wgłębienie, tym razem duże: trzy pomieszczenia splecione z gałęzi drzewa. Puste.

– Przywódca już chyba przeszedł ten puch.

– Jest noc – zauważył Harp.

Noc wyglądała jak lekki półcień, kiedy odległy łuk Dymnego Pierścienia przesłaniał światło słoneczne, ale kłomter sześcienny listowia również blokował dostęp światłu. Ofiara puchu mogła wyjść w nocy na dość długo, aby wziąć udział w posiłku.

– Zobaczysz, kiedy wrócimy – zauważył Gavving. – Wolałbym, żeby dalej pozostawał w zamknięciu.

Zobaczyli przed sobą ogień. Przyspieszyli kroku. Gavving pociągał nosem, Harp włókł musruma na linie, ale kiedy wyłonili się na Rynku, twarze mieli pełne godności i nie unikali niczyjego wzroku.

Rynek był dużym, otwartym obszarem, ograniczonym plecionką z drobnych gałązek. Większość plemienia tworzyła szkarłatny krąg z kociołkiem pośrodku. Mężczyźni i kobiety mieli na sobie bluzy i spodnie zabarwione na szkarłatny kolor barwnikiem, który Uczeni robili z kępojałód. Ubrania często ozdabiali czernią. Czerwień jest doskonale widoczna z każdego punktu kępy. Dzieci nosiły tylko bluzy.

Wszyscy byli niezwykle milczący.

Ognisko już się wypaliło, a kocioł – pradawny zabytek, wysoki, przezroczysty cylinder z pokrywą z tego samego materiału – zawierał już nie więcej niż dwie garście potrawy.

Pierś Przywódcy wciąż była na pół pokryta puchem, ale plama zmniejszyła się i przybrała brunatną barwę. Był to smagły mężczyzna o kwadratowej szczęce, w średnim wieku. Wydawał się nieszczęśliwy i podenerwowany. Pewnie głodny. Harp i Gavving podeszli do niego i podali mu zdobycz.

– Jedzenie dla plemienia – odezwał się Harp.

Zdobycz wyglądała jak mięsista pieczarka, o półmetrowym trzonku, z organami czuciowymi i zwiniętą macką na szczycie kapelusza. Wzdłuż środkowej części trzonka-ciała biegło jedno płuco, stanowiące jednocześnie napęd stworzenia. Część kapelusza ktoś oddarł, pewnie jakiś drapieżnik, ale blizna była prawie zagojona. Zwierzę nie wyglądało zbyt apetycznie, ale Przywódca także był związany prawem plemiennym.

– Jutro na śniadanie – rzekł uprzejmie, biorąc zdobycz. – Gdzie Laython?

– Zginął – odparł Harp, zanim Gavving zdołał się odezwać. – Nie żyje.

Przywódca wydawał się zszokowany.

– Jak? – i zaraz: – Czekaj. Zjedzcie najpierw.

Była to zwykła grzeczność wobec powracających łowców, ale dla Gavvinga czekanie stanowiło torturę. Podano im wyłuskane strąki zawierające po kilka kęsów zieleniny i nieco indyjskiego mięsa w rosole. Zjedli, śledzeni przez głodne oczy, po czym oddali pojemniki tak szybko, jak to było możliwe.

– Teraz mówcie – odezwał się Przywódca.

Gavving uradował się, kiedy to Harp zaczął opowieść:

– Wyruszyliśmy wraz z innymi łowcami i wspinaliśmy się po pniu. Teraz mogliśmy już podnieść głowy i spojrzeć w niebo, widzieć nagi pień ciągnący się w nieskończoność...

– Mój syn nie żyje, a ty raczysz mnie poezją?

Harp podskoczył.

– Przepraszam. Po naszej stronie pnia nie było nic, ani niebezpiecznego, ani przyjaznego. Ruszyliśmy dookoła. Wtedy Laython zobaczył mieczoptaka, którego wiatr znosił w naszym kierunku z zachodu.

Przywódca z trudem panował nad głosem:

– Porwaliście się na mieczoptaka?

– W Kępie Quinna panuje głód. Znajdujemy się za blisko środka, za blisko Voy. Uczony sam tak powiedział. Zwierzęta już tu nie przylatują, woda nie spływa po pniu...

– Czy nie jestem dość głodny, żebym sam o tym nie wiedział? Nawet dziecko wie, że z mieczoptakiem nie należy zadzierać. Mów dalej.

Harp opowiedział wszystko po kolei, pilnując, żeby mówić zwięźle. Prześliznął się nad



nieposłuszeństwem Laythona, starając się przedstawić go jako poległego bohatera.

– Zobaczyliśmy Laythona, wleczonego z wiatrem przez mieczoptaka na wschód, jakiś klomter wzdłuż nagiej gałęzi, potem dalej. Nic nie mogliśmy zrobić.

– Ale ma swoją linę?

– Ma.

– Może gdzieś się zaczepi – westchnął Przywódca. – Jakiś las. Inne drzewo... może zaczepić się na medianie i zejść w dół... Cóż, dla Plemienia Quinna i tak jest stracony.

– Czekaliśmy w nadziei, że Laython znajdzie jakiś sposób, by powrócić – ciągnął Harp. – Że może zaczepi się gdzieś na pniu. Minęły cztery dni. Nie zobaczyliśmy niczego, oprócz unoszonego wiatrem musruma. Rzuciliśmy bosaki i złapaliśmy go.

Twarz przywódcy wykrzywił grymas wstrętu. Gavving nieomal słyszał jego myśli: „Wymieniliście mojego syna na mięso musruma?”. Ale Przywódca powiedział tylko:

– Wróciliście jako ostatni z łowców. Jeszcze nie wiecie, co się dzisiaj stało. Martal została zabita przez świerzaka.

Martal była starszą ciotką ojca Gavvinga. Pomarszczona, wiecznie zapracowana, zbyt zajęta, by rozmawiać z dziećmi, była najlepszą kucharką Plemienia Quinna. Gavving starał się nie wyobrazić sobie świerzaka wwiercającego się w jej wnętrzności. Zadrzał, gdy usłyszał głos Przywódcy:

– Po pięciu dniach snu zbierzemy się, aby odprawić dla Martal ostatni rytuał. Rada zdecydowała także, że wyśle pełną ekspedycję łowiecką w górę pnia. Niech nie wracają bez środków do dalszego życia dla nas. Gavving, dołączysz do ekspedycji. Poinformuję cię o szczegółach twojej misji po pogrzebie.

## ROZDZIAŁ II

### Przygotowania do wyprawy

Dziupła była lejkowatą dziurą, wyścieloną grubą warstwą martwych i na oko nagich gałązek. Obywatele Kępy Quinna zagnieździli się w zagłębieniu nad niemal pionową krawędzią. Było ich pięćdziesięcioro lub więcej, prawie połowę stanowiły dzieci. Przyszli, by pożegnać się z Martal.

Na zachód od dziupli było tylko niebo. Tu, na najbardziej wysuniętym końcu gałęzi, niebo otaczało ich ze wszystkich stron; nic nie chroniło przed podmuchami wiatru. Matki otulały niemowlęta fałdami tunik. Plemię Quinna przypominało kiść kępojagód w gęstym listowiu otaczającym dziuplę.

Martal była z nimi, na dolnej krawędzi leja, otoczona czworgiem krewnych. Gavving uważnie przyglądał się martwej twarzy kobiety. Pomyślał, że wydaje się spokojna, ale gdzieś w jej rysach pozostał wyraz przerażenia. Rana znajdowała się na biodrze: głębokie cięcie, które nie było dziełem świdrzaka, lecz noża Uczzonego, próbującego go wyjąć.

Świdrzak to małe stworzenie, nie większe niż duży palec u nogi mężczyzny. Leci z wiatrem, zbyt szybko, by je zauważyć, uderza i pogrąża się w ciele, wlokąc za sobą jelito jak nadmuchiwany worek. Jeśli się mu pozwoli, przebije się na drugą stronę i ucieknie, trzykrotnie większy, pozostawiając w porzuconym jelicie kupkę jaj.

Gavving poczuł, że od patrzenia na Martal robi mu się niedobrze. Zbyt długo leżał rozbudzony, spał za krótko, w brzuchu mu burczało, gdy żołądek próbował strawić śniadanie, które stanowiła potrawka z musruma.

Harp przysunął się bliżej. Sięgał Gavvingowi do ramienia.

– Przykro mi – rzekł.

– Dlaczego? – Gavving wiedział dobrze, o co chodzi.

– Nie wyruszyłbyś, gdyby Laython nie zginął.

– Myślisz, że to kara Przywódcy? Ja też tak sądziłem, ale... czy wtedy ty nie szedłbyś także?

Harp rozłożył ręce, nagle zapominając języka w gębie.

– Masz zbyt wielu przyjaciół.

– Jasne, umiem mówić. Może to właśnie to.

– Mogłeś zgłosić się na ochotnika. Pomyślałeś, jakie opowieści przyniosłbyś z wyprawy?

Harp otworzył usta, zamknął je i wzruszył ramionami.

Gavving nie nalegał. Domyślał się już przedtem, a teraz wiedział na pewno. Harp się bał.

– Nie mogę nic od nikogo wydobyć – rzekł Gavving. – Co ty słyszałeś?

– I dobre, i złe wieści. Jest was dziewięcioro, miało być ośmioro. Ciebie dołączono po namyśle. Dobra wieść to tylko plotka. Clave będzie waszym dowódcą.

– Clave?

– We własnej osobie. W każdym razie może to i prawda, że Przywódca pozbywa się tych, których nie lubi. On...

– Clave jest najlepszym łowcą kępy! Jest zięciem Przywódcy!

– Ale nie żyje z Mayrin. Poza tym... mogę się tylko domyślać.

– Czego?

– To zbyt skomplikowane. Może nawet się mylę. – Harp odplynał na bok.

Dymny Pierścień był białą linią wyłaniającą się z bladoniebieskiego nieba, zwiężającą się łagodnym łukiem ku zachodowi. Po drugiej jego stronie lśnił Gold, rozsuty kłęb splątanych burz. Spojrzenie Gavvinga powędrowało wzdłuż łuku i w dół, ku wnętrzu, gdzie łuk rozplątywał się w pobliżu Voy. Voy był na dole, rozżarzony punkcik, jak diament osadzony w pierścieniu.

Teraz wszystko było jaśniejsze i wyraźniejsze niż za czasów jego dzieciństwa. Wtedy Voy wydawał się bardziej przyćmiony.

Gavving miał dziesięć lat, kiedy przeszedł Gold. Pamiętał, jak nienawidził Uczonego za przepowiednie katastrofy, za strach, jaki te przepowiednie budziły. Wycie wiatru było wystarczająco przerażające... ale Gold przeszedł i burze ucichły.

Atak alergii nastąpił w kilka dni później.

Obecna susza trwała już od wielu lat, zanim osiągnęła szczyt, ale Gavving natychmiast wyczuł katastrofę. Oślepiający ból, jak sztylety zatopione w oczach, ciekący nos, ucisk w piersi. Rzadkie, suche powietrze – wyjaśniał Uczony. Niektórzy je tolerują, inni nie. Powiedziano mu, że Gold zmniejszył orbitę drzewa; drzewo przemieściło się bliżej Voy, za nisko w stosunku do mediany Dymnego Pierścienia. Gavvingowi kazano spać nad dziuplą, gdzie płynęły strumyki. Było to wcześniej, zanim strumyki tak drastycznie się skurczyły.

Wiatr także stał się silniejszy.

Zawsze wiał wprost do dziupli. Kępa Quinna rozpościerała szerokie zielone żagle na wiatr, łapiąc wszystko, co niósł ze sobą. Woda, pył, błoto, insekty i większe zwierzęta, wszystko było filtrowane przez ciasno splecione listowie lub zatrzymywane przez gałązki. Grubsze gałęzie powoli przesuwały się do przodu, na zachód, wzdłuż konaru, by zniknąć w ogromnej stożkowatej przepaści. Nawet stare chaty przesuwały się w stronę dziupli, która je miażdżyła i pochłaniała. Co kilka lat trzeba było budować nowe.

Wszystko ciągnęło w kierunku dziupli. Strumienie ściekające wzdłuż pnia chwymano wcześniej w studzienkę, ale woda i tak zniknęła w dziupli jako pomyje, a powracała jako woda z posiłków lub kiedy obywatele przychodzili tu, by pozbywać się odchodów, to znaczy „karmić drzewo”.

Poduszka z gałęzi już uniosła Martal kilka metrów w dół. Jej towarzysze cofnęły się na krawędź, gdzie czekał Alfin, strażnik dziupli.

Dzieci nauczono, jak opiekować się drzewem. Kiedy Gavving był młodszy, jego obowiązki obejmowały również noszenie ziemi, nawozu i śmieci, pakowanie ich do dziupli, usuwanie kamieni, które można było jeszcze wykorzystać, wyszukiwanie i wrywanie chwastów. Nie lubił tej pracy – Alfin był paskudnym szefem – ale pamiętał, że niektóre chwasty są jadalne. Rosły tu także ziemskie rośliny – tytoń, kukurydza i pomidory. Trzeba było je zebrać, zanim drzewo zdąży je wchłonąć.

W tych mrocznych czasach przelatująca zdobycz zdarzała się bardzo rzadko. Nawet insekty wymierały. Nie było żywności dla plemienia, a co dopiero śmieci, by żywić insekty i drzewo. Rośliny niemal obumarły. Gałąź, naga do połowy, nie wypuszczała nowych liści.

Alfin opiekował się dziuplą przez okres dłuższy niż całe życie Gavvinga. Skwaszony starzec z różnych powodów nienawidził połowy plemienia. Kiedyś Gavving lękał się go. Alfin bywał na wszystkich pogrzebach, ale dopiero dziś wydawał się naprawdę zdruzgotany, jakby z trudem powstrzymywał wybuch rozpaczy.

Dzień dobiegał kresu. Jasny punkt – słońce – opadał i zachodził mgłą. Niedługo pojaśnieje i rozmyje się na wschodzie. Tymczasem... oto nadchodzi Przywódca, starannie odziany i zakapturzony, by osłonić się przed światłem, w otoczeniu Uczonego i Terma. Term, jasnowłosy chłopak o cztery lata starszy od Gavvinga, wydawał się dziwnie poważny. Gavving zastanawiał się, czy żałuje Martal, czy siebie.

Uczony miał na sobie starodawny kombinezon, wskazujący na jego rangę. Był to dwuczęściowy, źle dopasowany strój z obrazkami na ramieniu. Spodnie sięgały mu ledwie za kolana, bluza odsłaniała kawał porośniętego szarym włosom brzucha. Przez niewyobrażalną liczbę pokoleń dziwna, lśniąca tkanina zaczynała się przecierać i Uczony nosił ją już tylko na specjalne okazje.

Term miał rację, pomyślał nagle Gavving. Stary mundur doskonale pasowałby na Harpa.

Zabrał głos Uczony, wychwalając ostatni przyczynek Martal do zachowania zdrowia drzewa. Przypomniawszy, że i oni także pewnego dnia będą musieli spełnić ten obowiązek. Nie mówił długo – wkrótce ustąpił miejsca Przywódcy.

Przywódca przemówił. O krewkim temperamentem Martal powiedział niewiele, za to rozwodził się nad jej umiejętnościami kulinarnymi. Wspomniał też o innej ofierze, o synu, który był już stracony dla Kępy Quinna, gdziekolwiek się znalazł. Mówił długo, a myśli Gavvinga błądziły bez celu.

Czterej młodzieńcy wyglądali jak wcielenie pełnej szacunku uwagi, ale palcami stóp gmerali w kępie koptera. Dojrzałe rośliny reagowały wyrzuceniem strąków nasion uzbrojonych w wirujące śmigielka. Chłopcy stali nieruchomo w brzęczącej chmurze kopterów.

Dziuplowe rozrywki. Pozostali mieli kłopoty z zachowaniem powagi, ale Gavvingowi jakoś wcale nie było do śmiechu. Miał czterech braci i siostrę, i wszyscy umarli, zanim ukończyli

sześć lat, podobnie jak wiele innych dzieci Kępy Quinna. Teraz, w czasach głodu, umierały jeszcze częściej... Gavving był ostatni z rodziny. Wszystko, co dzisiaj zobaczył, wywlekało na wierzch stare wspomnienia, jakby widział to po raz ostatni.

To tylko wyprawa łowiecka! Jego rozdygotany żołądek wiedział jednak swoje. Jak Gavving, bohater jedynej, i to zakończonej klęską wyprawy, mógłby zostać wybrany na ekspedycję ostatniej nadziei?

Zemsta za Laythona. Czy inni także zostali za coś ukarani? Kim byli? Jak będą wyekwipowani? Kiedy wreszcie skończy się ten pogrzeb?

Przywódca mówił o suszy, o potrzebie ofiary, i dopiero teraz jego wzrok spoczął na wybranych osobach, również na Gavvingu.

Zanim przemówienie dobiegło końca, Martal przebyła kolejne dwa metry w dół. Przywódca pospiesznie odszedł. Dzień jeszcze nie powrócił.

Gavving pędził w stronę Rynku.

Sprzęt złożono na siatce z suchych gałązek, którą Plemię Quinna nazywało ziemią. Harpuny, zwoje liny, haki, bosaki, sieci, brunatne worki z szorstkiej tkaniny, pół tuzina strzałostrąków, sandały do wspinania... krzepiący stosik rzeczy, które utrzymają ich przy życiu. Z wyjątkiem... prowiantu? Prowiantu nie było.

Inni już tu byli. Nawet na pierwszy rzut oka wydawali się dziwacznym zbiorowiskiem. Gavving ujrzał znajomą twarz i zawołał:

– Term! Ty też idziesz?

Term skreślił i podszedł.

– Tak. Sam pomagałem przy planowaniu wyprawy – rzekł dumnie. Term był rześkim, radosnym chłopcem uprawiającym poważny i wymagający skupienia zawód. Przybył wyposażony we własną linę i harpun. Wydawał się tryskać nerwową energią. Rozejrzał się i zawołał:

– Och, drzewne żarcie!

– Co to ma znaczyć?

– A nic. – Trącił stopą stos koców i mruknął. – Przynajmniej nie wyruszamy nago.

– Za to głodni.

– Może na pniu znajdziemy coś do jedzenia. Lepiej, żeby tak było.

Term od dawna był przyjacielem Gavvinga, ale słaby z niego łowca. A Merrill? Merrill byłaby wysoką kobietą, gdyby nie krótkie i pokrzywione nogi. Miała długie, mocne palce, długie, silne ramiona. Dlaczego nie? Używała ich do wszystkiego, nawet do chodzenia. Teraz też wisiała na trzciniowej ścianie Rynku, spokojna, cierpliwa.

Jednonogi Jiovan stał obok niej, jedną ręką trzymając się gałązek, aby nie stracić równowagi.

Gavving pamiętał Jiovana jako energicznego, śmiałego łowcę. A potem coś go zaatakowało, coś, czego nigdy nie opisał. Jiovan wrócił na pół żywy, z połamanymi żebrami i urwaną lewą nogą, z kikutem podwiązanym liną. W cztery lata później stare rany wciąż go bolały i nigdy nikomu nie pozwolił o tym zapomnieć.

Glory była grubokościstą, poczciwą kobietą w średnim wieku, bezdzietną. Niezgrabność przyniosła jej niechcianą popularność. Winiła o to gawędziarza Harpa, zresztą nie bez racji. Krążyła opowieść o klatce na indyki, a także druga, dotycząca różowej blizny biegnącej wzdłuż prawej nogi Glory – pamiątka z czasów, kiedy wciąż zajmowała się gotowaniem.

Nienawiść w oczach Alfiny sięgała czasów, kiedy strzeliła go w ucho drewnianą pałką; mówiła wiele o jego skłonności do chowania urazy. Ogrodnik, śmieciarz, grabarz... nie, nie był łowcą, a tym bardziej zdobywcą, a mimo to znalazł się tutaj. Nic dziwnego, że wydaje się zdruzgotany.

Glory czekała ze skrzyżowanymi nogami i spuszczonego wzrokiem. Alfin gapił się na nią z serdeczną nienawiścią. Merrill wydawała się spokojna, nieprzenikniona, za to Jiovan coś bez przerwy mamrotał pod nosem.

I to mają być jego towarzysze? Żołądek Gavvinga boleśnie zacisnął się wokół musruma.

I wtedy na Rynek różnym krokiem wszedł Clave z młodą kobietą u każdego ramienia. Rozejrzał się wokoło z taką miną, jakby był zadowolony z tego, co widzi.

Więc to prawda. Clave szedł z nimi.

Obserwowali, jak szturcha stopą kupę ekwipunku.

– Dobrze – rzekł z uśmiechem i powiódł wzrokiem po twarzach towarzyszy. – Będziemy musieli nieść całe to drzewne żarcie. Zaczynajcie się dzielić. Pewnie zechcecie nieść wszystko na plecach, szczerzone liną, ale wybór należy do was. Jeśli ktoś zgubi bagaż, wyślę go do domu.

Musrum nareszcie ułożył się w brzuchu Gavvinga. Clave był idealnym łowcą: wysoki, o długim, smukłym ciele – dwa i pół metra kości i mięśni. Był w stanie podnieść człowieka, owijając palce jednej dłoni wokół jego głowy, a długimi palcami stóp mógł rzucić kamień równie skutecznie, jak Gavving ręką. Jego towarzyszami były Jayan i Jinny, bliźniaczki, ciemne, ładne córki Martal i dawno zmarłego łowcy. Bez polecenia zaczęły ładować ekwipunek w worki. Inni podeszli, by pomóc.

– Przyjmuję, że ty jesteś dowódcą? – przemówił Alfin.

– Zgadza się.

– A co właściwie mamy z tym wszystkim zrobić?

– Ruszamy w górę pnia. Po drodze musimy odnawiać znaki Quinna. Będziemy szli tak długo, aż znajdziemy coś, co uratuje plemię. Może jedzenie...

– Na nagim pniu?

Clave zmierzył go wzrokiem.

– Spędziliśmy całe życie na dwóch klomterach gałęzi. Uczony powiada, że pień ma sto klomterów długości. Może więcej. Nie wiemy, co tam jest. Tu nie mamy tego, czego potrzebujemy.

– Wiesz, dlaczego idziemy. Wyrzucają nas – odparł Alfin. – O dziewięć gęb mniej do żywienia i popatrz tylko, kto...

Clave wpadł mu w słowo. Przerwałby nawet piorunowi, gdyby zechciał.

– Chcesz zostać, Alfin? – zapytał. Czekał, ale Alfin nie odpowiedział. – Zostań, proszę bardzo. Ty będziesz się tłumaczył, dlaczego nie poszedłeś.

– Idę. – Głos Alfina brzmiał niemal niedosłyszalnie. Clave nie groził. Nie musiał tego robić. Zostali wyznaczeni. Każdy, kto zostanie, będzie oskarżony o bunt.

To zresztą też nie miało znaczenia. Jeśli Clave idzie, to... Alfin się mylił, a i brzuch Gavvinga także nie miał racji. Znajdą to, czego potrzebuje plemię, a potem wrócą. Gavving zaczął zbierać swój bagaż.

– Mamy sześć par sandałów do wspinania – oznajmił Clave. – Jayan, Jinny, Term... Gavving. Ja wezmę ostatnie. Zobaczymy, kto ich będzie potrzebował. Każdy zabiera cztery haki do cumowania. Weźcie też parę kamieni. Nie żartuję. Będziecie potrzebowali co najmniej jednego, żeby wbić haki, może się też przydadzą do rzucania. Czy wszyscy mają sztylety?

Zanim wychynęli z listowia, zapadła noc, a mimo to światło poraziło ich oczy. Pień wydawał się nieskończenie długi. Odległa kępa była prawie niewidoczna, zamglona i zblękitniała niemal do barwy nieba.

– Nie spieszcie się, jedzcie – zawołał Clave. – Napełnijcie plecaki liśćmi. Nie zobaczymy liści przez długi czas.

Gavving oderwał gałązkę ciężką od zielonej waty cukrowej. Wsadził ją pomiędzy worek i plecy, po czym ruszył w górę pnia. Clave był już daleko.

Kora pnia różniła się od wędrującej kory gałęzi. Nie miała gałązek, ale była gruba na kilka metrów, o pęknięciach na tyle szerokich, że bez trudu mieściły wspinającego się człowieka. Mniejsze pęknięcia dawały dobry uchwyt dla dłoni.

Gavving nie był przyzwyczajony do sandałów do wspinaczki. Musiał potrząsać stopą, żeby się ułożyły, inaczej się ślizgały. Plecak ciągnął go w tył. Może powinien zawiesić go niżej? Powiew trochę pomagał, bo pchał go nie tylko w dół, ale i w stronę pnia, jakby ten był nieco pochyły.

Term szedł szybko, ale ciężko dyszał. Chyba zbyt wiele czasu spędzał na nauce. Ale jego plecak był większy od innych. Czyżby niósł coś jeszcze oprócz normalnego ekwipunku?

Merril nie miała plecaka, tylko linę. Dotrzymywała im kroku, używając samych ramion. Jiovan, z dwójgiem ramion i jedną nogą, szedł szybciej niż sam Clave, choć zaciskał szczęki

z bólu.

Jayan i Jinny, uczone grubej kory nad głową Gavvinga, zatrzymały się obie jak na komendę. Spojrzały w dół, potem po sobie. Wydawało się, że zaraz się rozplaczą. Nagła, daremna, fala tęsknoty za domem ścisnęła Gavvinga za gardło. Marzył o tym, żeby znaleźć się z powrotem w chacie kawalerów, wciśnięty w koję, z twarzą wtuloną w ścianę listowia...

Bliźniaczki podjęły na nowo wspinaczkę. Gavving ruszył za nimi.

Idziemy w dobrym tempie, pomyślał Clave. Wciąż martwił się o Merrill. Spowalnia marsz, ale przynajmniej się stara. Będzie jej łatwiej wędrować przy użyciu samych ramion, kiedy znajdą się bliżej środka pnia. Tam w ogóle nie ma wiatru: przedmioty się unoszą, nie opadając... oczywiście, jeśli wierzyć bajaniu Uczzonego.

Alfin wyłaniał się właśnie samotnie z ostatnich gałęzi kępy. Clave spodziewał się z jego strony kłopotów, ale nie takich. Alfin był najstarszy z grupy, po czterdziestce, ale muskularny i zdrowy.

Atak na jego dumę? Zawołał w dół:

– Chcesz sandały do wspinania, Alfinie?

Alfin rozważał przez chwilę różne odpowiedzi, ale wreszcie krzyknął:

– Może.

– Zaczekam. Jiovan, ruszaj przodem.

Clave otworzył plecak, podczas gdy Alfin powoli go doganiał. Wspinał się z przymkniętymi oczami. Coś tu się działo dziwnego, coś było nie tak.

Miałem nadzieję, że dasz radę dogonić przynajmniej Merrill – mruknął Clave, podając Alfinowi sandały.

Alfin nic nie powiedział. Zapiął jeden sandał i nagle rzucił:

– A co to za różnica? I tak wszyscy jesteśmy martwi. Ale to i tak nic temu manusowi nie pomoże! Pozbył się kalek...

– Kto?

– Przywódca, nasz drogocenny Przywódca! Kiedy ludzie głodują, rzucają się najpierw na tego, kto wydaje rozkazy. Wyrzucił kaleki, takich, którzy i tak nic by mu nie zrobili. Zobaczymy, co zrobi, kiedy pozostali kopną go tak, że wyleci w niebo.

– Jeśli uważasz, że jestem kaleką, spróbuj mnie przegonić – beztróska rzucił Clave.

– Wszyscy wiedzą, dlaczego tu jesteście, ty i twoje kobiety.

– O, na pewno – odparł Clave. – Ale jeśli myślisz, że chciałbyś żyć z Mayrin, możesz spróbować, kiedy wrócimy. Ja nie umiałem. A jej się to nie podobało, jej ojcu zresztą także nie. Ale wiesz, ona naprawdę była zbudowana tak, żeby produkować dzieci, tymczasem ja miałem zaledwie dość lat, żeby to dostrzec.



Alfin prychnął.

Wiem, co mówię – upierał się Clave. – Jeśli zostało cokolwiek, co może uratować plemię, jest tam, nad naszymi głowami. Jeśli to coś znajdziemy, być może sam zostanę Przywódcą. Co o tym sądzisz?

Alfin, zaskoczony, spojrział w twarz Clave'a.

– Może. Żądny władzy, co?

– Jeszcze nie zdecydowałem. Powiedzmy, że jestem dość wściekły, żeby ruszyć na Gold. Cały ten szalony... no, Jayan i Jinny umieją o siebie zadbać, a jeśli nie, ja to zrobię. Musiałem zabrać Merrill, zanim Przywódca da mi strzałostrąki, a potem w ostatniej chwili wsadził mi na głowę Gavvinga i to była ostatnia kropla...

– Gavving nie był gorszy od innych dzieci, które musiałem uczyć. Ciągłe zadawał pytania... jego wścibstwa wystarczyłyby na obdzielenie dwóch innych.

– To nieważne. Właśnie zaczęła mu rosnać broda. Nigdy nie zrobił nic złego, poza tym jednym razem, kiedy ten cholerny idiota Laython dał się połknąć... Daruj sobie, Alfinie. Ktoś z naszej grupy stanowi dla innych duże zagrożenie.

– I ty o tym wiesz.

– Jak ty byś to załatwił?

Uśmiech Alfina był doprawdy rzadkim widokiem. Długo obmyślał odpowiedź.

– Merrill się zabije, wcześniej czy później. Ale Glory może zabić kogoś innego. Pośliznie się w niewłaściwym momencie. Bez trudu można temu zaradzić. Poczekajmy, aż będziemy wyżej, gdzie powiew jest słabszy. Potrącić ją, kiedy straci równowagę. Niech wraca do domu na skrót.

– Właśnie, ja też tak myślałem. Ale to ty jesteś zagrożeniem dla naszej grupy. Chowasz urazy. Mamy dość problemów bez pilnowania własnych tyłków przed tobą. Jeśli będziesz spowalniał, jeśli będziesz sprawiał jakiegokolwiek kłopoty, to ciebie wyślę do domu na skrót, Alfinie.

Alfin pobladł, ale odpowiedział:

– Masz inne kłopoty. Pozbądź się Glory, zanim strąci kogoś z pnia. Spytaj Jiovana.

– Nie mam zamiaru słuchać twoich rozkazów – prychnął Clave. – Jeszcze jedno. Tracisz za dużo energii na gniew. Oszczędź sobie. Prawdopodobnie będziesz potrzebował całej swojej złości potem. A teraz ruszaj przodem.

Alfin posłusznie zaczął się wspinać. Clave ruszył w ślad za nim.

### ROZDZIAŁ III

#### Pień

Dzień pojaśniał, potem ściemniał i znów pojaśniał, a oni szli. Mężczyźni zdjęli tuniki i upchnęli je w plecakach, nieco później kobiety uczyniły to samo. Clave gapił się jednakowo oblesnie na Jayan i na Jinny. Gavving się wprawdzie nie gapił, ale ich widok przeszkadzał mu we wspinaczce.

Jayan i Jinny były dwudziestoletnimi, identycznymi bliźniaczkami o bladej skórze, ciemnych włosach, ładnych twarzach w kształcie serca i zgrabnych, stożkowatych piersiach. Niektórzy z obywateli mówili, że są głupie, bo nie miały daru prowadzenia konwersacji, ale Gavving nie był tego pewien. W innych sytuacjach wykazywały zdrowy rozsądek. Tak jak teraz: Jinny wspinała się równo z Clave'em, ale Merrill pozostała daleko w tyle i Jayan dołączyła do niej, aby nadawać tempo.

Jiovan stracił oparcie, gdy Clave z powrotem wyszedł na prowadzenie. Piał się w górę, klnąc równo i monotonicznie wszystko: wiatr, szczeliny w korze, brak nogi. Alfin, zdaniem Gavvinga, mógł być jednym z pierwszych, ale wciąż zatrzymywał się i spoglądał w dół.

Gavving także czuł palące zmęczenie w ramionach i nogach. Co gorsza, zaczął popełniać błędy: źle ustawiał sandały, tak że zbyt często się ślizgały.

Zmęczenie zawsze prowadzi do błędów. Gavving ujrzał, jak Glory traci równowagę i wymachując ramionami spada z hukiem dwa lub trzy metry w dół, by wreszcie uchwycić się krawędzi szczeliny. Rozpaczliwie tuliła się do pnia. Gavving przesunął się trochę, aż znalazł się u jej boku.

Była sztywna ze strachu.

– Idź dalej – szepnął Gavving. Będę za tobą. Złapię cię.

Spojrzała w dół, przytaknęła z drżeniem i podjęła wspinaczkę. Wydawało się, że pełźnie w konwulsjach, wkładając w każdy krok zbyt wiele wysiłku. Gavving trzymał tempo.

Glory się pośliznęła. Gavving uchwycił się kory. Gdy tylko znalazła się dość blisko, podsunął jej rękę pod pośladki i mocno pchnął w górę. Jęknęła, przylgnęła do kory i ruszyła dalej.

– Czy komuś chce się pić? – rzucił w dół Clave.

Nie mieli tchu, żeby się odezwać, ale odpowiedź była oczywista. Jasne, wszystkim chciało się pić.

– Skręćcie na wschód. Napijemy się czegoś.

Spadająca woda wyłobiliła kanał wzdłuż wschodniej strony pnia. Kanał miał pięćdziesiąt

metrów szerokości i był prawie suchy na całej wygładzonej przez wodę powierzchni. Ale drzewo wciąż jeszcze zahaczało o przypadkowe chmury, więc mgła przylegała do kory, a wiatr i siły Coriolisa sprawiały, że spadając, spływała na wschód. Woda ściekała w stronę Kępy Quinna w kilku żalonych strumyczkach.

– Uważajcie – ostrzegł Clave. – Jeśli trzeba, użyjcie haków. Tu jest bardzo ślisko.

– Tutaj – zawołał Term sponad ich głów.

Mozolnie ruszyli w jego stronę. W tym miejscu musiał kiedyś uderzyć w drzewo ogromny kamień, pogrążając się do połowy i z czasem obrastając korą. Tworzył doskonałą platformę, zwłaszcza że strumień opływał go z obu stron. Zanim Merrill i Jayan dogoniły grupę, Clave wbił haki w drewno nad kamieniem i przywiązał liny.

Merril i Jayan powoli wspięły się na kamień. Merrill leżała, dysząc. Jayan przyniosła jej wody.

Glory przylgnęła płasko do kamienia z zamkniętymi oczami. Po chwili podpełzła do strumienia.

– Ograniczenia? – zawołała do Clave'a.

– Co?

– Ile możemy pić? Woda płynie...

Clave roześmiał się na głos. Jak Przywódca, wodzący rej w czasie święta Środka Roku, ryknął:

– Pijcie! Kąpcie się! Pluskajcie! Kto nas powstrzyma? Gdyby Plemię Quinna nie chciało używanej wody, nie byłoby nas tutaj! – Wyciągnął z plecaka jedyny garnek, jaki mieli ze sobą, i wylewał strugi wody w wybranych przez siebie kierunkach: na Merrill, która piszczała z zachwyty, Jiovana, który zareagował płuciem i parsaniem, Jayan i Jinny, które natychmiast skierowały się ku niemu z mordem w oczach.

– Nie będę walczył na tym niebezpiecznym gruncie – zawołał i padł bezwładnie. Sturlali go do strumienia, trzymając za ręce i nogi, żeby nie spadł.

Teraz wspinali się po spirali. Ich zadaniem była nie tylko wspinaczka, lecz i poszukiwania. Gavving słyszał monotonne przekleństwa Alfina, gdy szli pod wiatr, dopóki nie utonęły w jego świetle.

Sięgnął po garść zielonej waty i wepchnął ją do ust. Gałąź zwisająca mu z plecaka była teraz prawie naga. Na niebie nie widział nic, z wyjątkiem kilku smug chmur i mniej więcej tuzina kropek, które mogły okazać się stawami, lecz znajdowały się o tysiące kłomterów od nich. Zanim przyjdzie czas snu, będą umierali z głodu.

Właśnie mijał bliznę w korze – narośl, która wrastała głęboko w drewno. Stara rana, którą kora na próżno usiłowała zaleczyć... dość duża, by do niej wejść, ale w dziwnym położeniu.

Nagle Term zawołał:

– Stop! Zatrzymajcie się!

– Co się stało? – zapytał Clave

– Znaki Plemienia Quinna!

Gdyby Term mu tego nie pokazał, Gavving nigdy nie domyśliłby się, że to pismo. Rzadko widział litery, a te miały trzy do czterech metrów. Nie dawało się ich odczytać. Trzeba było się domyślać: DQ z zawijasem wokół D.

– Musimy je na nowo wyźłobić – powiedział Term. – Prawie już zarosły. Ktoś powinien tu przychodzić częściej.

Clave krytycznym okiem obrzucił swoją załogę.

– Gavving, Alfin, Jinny, zacznijcie ryć. Term, ty nadzorujesz. Wytnijcie tylko Q, D zostawcie w spokoju. Reszta odpoczywa.

– Mogę pracować – zaproponowała Merrill. – Jeśli o to chodzi, mogę nawet więcej nieść.

– Powtórz mi to jutro – prychnął Clave. Przeszedł po korze i klepnął ją w ramię. – Jeśli możesz wziąć większy ładunek, dostaniesz go. Zobaczmy, co powiesz jutro, kiedy stwierdzisz, że wszystkie mięśnie masz całkiem zdrętwiałe.

Wycinali korę i żłobili drewno końcami harpunów. Term kręcił się pośród nich. Q nabierało kształtu.

– Czemu te litery są takie duże? – zapytał Gavving, gdy Term znalazł się w pobliżu niego. – Prawie nie można ich odczytać.

– Nie są dla nas. Mógłbyś je odczytać z odległości kłomtera – odparł Term.

Alfin podsłuchiwał ich rozmowę.

– Jak? Spadając? Czy robimy je dla mieczoptaków i triunów?

Term uśmiechnął się i minął go w milczeniu. Alfin skrzywił się za jego plecami, po czym podszedł do Gavvinga.

– Czy on zwariował?

– Może. Ale jeśli nie będziesz żłobił tak głęboko jak Jinny, znak będzie wyglądał głupio nawet dla mieczoptaków.

– Powie ci pół tajemnicy i pozostawi w niepewności – żalił się Alfin. – Robi tak przez cały czas.

Pozostawili za sobą insygnia plemienne, wyrzeźbione głęboko i wyraźnie w drewnie. Wiatr uderzał w nich teraz od góry. Gavving poczuł znajomy ból w uszach. Poruszył szczęką, szukając w pamięci dawnych wspomnień, a kiedy wreszcie odblokował uszy, przypomniał sobie: ciśnienie i ból w kilkanaście dni po przejściu Golda, w noc poprzedzającą atak alergii.

Wtedy rzadko się zastanawiał, czy następnego dnia zbudzi się z oczami i zatokami płonącymi bólem i ciekącymi. Po prostu przeczekiwał. Ale też nigdy nie budził się na pionowej

ścianie drzewa! Wyobraził sobie, jak wspina się na oślep...

Zamyślony, ledwie zauważył, że gruby, podobny barwą do drewna sznur uniósł się z kory i owinał wokół pasa Glory.

Glory wrzasnęła. Gavving ujrzał nagle, jak kobieta przywiera do kory i kryje w niej twarz, bojąc się spojrzeć. Sznur ciągnął ją w bok, dalej od Gavvinga.

Gavving wyciągnął błyskawicznie harpun z plecaka, zanim jeszcze wykonał jakikolwiek inny gest. Okrążył Glory i podpełził do żywego sznura.

Kobieta wrzasnęła znowu, gdy coś oderwało ją od drzewa. Teraz tylko żywy sznur chronił ją przed upadkiem. Gavving nie miał odwagi go przeciąć. Zamiast tego ruszył w stronę miejsca, skąd wyrastał. Sznur tymczasem owijał się wokół Glory, obracał nią i otaczał jak kokonem.

W drzewie była dziura. W panujących wewnątrz ciemnościach widać było jedynie grubszy koniec sznura i pojedyncze oko wznoszące się ku niemu na długiej łodydze. Gavving pchnął je harpunem. Oko skryło się pod powieką, łodyga usunęła się z drogi ostrza. Gavving i tak je dopadł. Poczul wstrząs w ramieniu i barku, gdy harpun wbił się w cel.

Ogromna paszcza rozwarła się z wrzaskiem. Żywy sznur zadrżał, próbując odrzucić Glory. Kobieta uratowała się sama – przebiła na wylot pulsującą brunatną linię i chwyciła ostrze z drugiej strony. Przywarła obu ramionami do uchwyty, podczas gdy sznur przeginał się w drugą stronę, aby zaatakować Gavvinga.

Paszczą pełną była trójkątnych zębów. Gavving wyrwał harpun z oka potwora, skręcając go tak, jakby praktykował ten gest przez całe życie. Dźgnął w paszczę, usiłując dosięgnąć gardła. Paszcza zatrzęsnęła się i harpun uderzył w zęby. Gavving jeszcze raz dźgnął w oko.

Coś poruszyło się konwulsyjnie w ciemności otworu. Paszcza otworzyła się znowu na niewiarygodną szerokość. Nagle z dziury wychyłała czarna masa. Gavving odskoczył w bok w samą porę, by nie zostać zmiażdżonym. Wielki jak dom potwór wyskoczył w niebo na trzech krótkich, grubych łapach zakończonych łukowato wygiętymi szponami. Krótkie skrzydła rozpostarły się szeroko, szpon świsnął Gavvingowi przed nosem, ale chybił. Gavving ze zdumieniem stwierdził, że sznur był nosem stworzenia.

Wydawało mu się, że zwierzę próbuje uciec. O dwa metry od jaskini nagle odwróciło się ze zdumiewającą prędkością. Gavving przywarł do kory z nadstawionym harpunem.

Skrzydła potwora trzepotały wściekle, próbując unieść go w kierunku przeciwnym niż nos... ale daremnie. Grupa poszukiwaczy powróciła w pełnej sile. Glory i sznurowaty nos potwora zostały oplatanie linami. Liny spętały mu też skrzydła. Clave wykrzykiwał rozkazy. On, Jinny i Term ciągnęli z całej siły, odciągając pazury potwora od drzewa. W tej pozycji kręcili nim tak długo, aż udało się harpunami dosięgnąć jego głowy.

Gavving wybrał sobie dogodny punkt i dźgał raz za razem, wwiercając się w kość, a potem w czerwonoszary mózg. Nawet nie zauważył, kiedy zwierzę przestało się poruszać. Przyszedł do

siebie dopiero na głos Clave'a:

– Gavving, Glory, dzisiaj wy stawiacie kolację. Zabiliście go, to teraz go oczyśćcie.

„Zabiliście go, to teraz go oczyśćcie”. Od tego zaszczytu dość łatwo mogli się wymigać. Trzeba było tylko się przyznać, że ofiara skrzywdziła łowcę...

Jayan i Jinny rozniecały ogień w legowisku potwora. Pracowały szybko, umiejętnie, niemal bez słów, jakby mogły czytać wzajemnie swoje myśli. Inni zostali na zewnątrz, rąbiąc korę na opał. Gavving i Glory przymocowali zwierzę linami i hakami tuż obok otworu i zabrali się do roboty.

Term nalegał, żeby im pomóc. Ściśle mówiąc, nie miał prawa, ale wydawało się, że mu na tym zależy, a Glory była zmęczona. Pracowali powoli, przyglądając się uważnie istocie, którą zabili.

Stwór miał w sobie coś z trójdzielnej symetrii, podobnie jak wiele innych zwierząt w Dymnym Pierścieniu, przynajmniej tak powiedział Term. Mniejsze, trzecie skrzydło znajdowało się daleko w tyle, jako płetwa sterująca. Przednia para stanowiła siłę napędową, a także (jak z dziką radością oznajmił im Terma) uszy. Otwory pod każdym skrzydłem, po rozcięciu ich przez Term, okazały się organami słuchu. Skrzydła można było zwinąć tak, by łowiły odgłosy.

Zwierzę było typowym mieszkańcem nory. Niewielkie skrzydła zaledwie dawały radę je ponieść. Wszystko, co żyło w Dymnym Pierścieniu, potrafiło w jakiś tam sposób latać, ale ten okaz wolał wykopać sobie norę i zacząć się na ofiarę. Nawet jego korpus nie był specjalnie mocny. Term po dłuższych poszukiwaniach odnalazł żądło, które znajdowało się na końcu tułowia. Teraz było wbite w plecak Glory, która na ten widok omal nie zemdląca.

Zachowali szpony. Clave wykorzysta je później do uzbrojenia bosaków. Tymczasem wycięli steki do smażenia, żeby podać je pozostałym, którzy czekali na zewnątrz, uczepli haków. Większe kawały mięsa pozostawili do uwędzenia w tylnej części jaskini.

Gavving zauważył, że oczy zachodzą mu mgłą ze zmęczenia. Glory aż parowała od potu. Otoczył ją ramieniem i oznajmił:

– Kończymy.

– Nie ma sprawy – zawołał Clave. – Bierz noże, Alfinie, powycinamy resztę mięsa.

Grupa Clave'a była najedzona, nawet przejedzona. Dryfowali na linach wokół jaskini. Mięso wędziło się wewnątrz. Ścierwo, z którego pozostały właściwie same kości, ustawili w wejściu, aby je zablokować.

– Obywatele, proszę o raport zawołał Clave. – Jak wygląda sytuacja? Czy nikt nie ucierpiał?

– Cierpię od góry do dołu – odparł Jiovan. Poparł go chór głosów.

– Od góry do dołu nie szkodzi. Glory, czy ta bestia nie złamała ci żeber?

– Nie sędzę. Mam tylko siniaki.

– Ooo! – Clave wydawał się zaskoczony. Nikt nie spadł, nikt nie odniósł obrażeń. Straciliśmy jakiś sprzęt?

Milczenie. Nagle przerwał je Gavving:

– Clave, co ty tu robisz?

– Badam pień, odnawiam znaki Quinna, może zatrzymam głód, kto wie. Dzisiejsza zdobycz to dobry pierwszy krok.

Gavving miał zamiar zakończyć rozmowę na ten temat, ale Alfin nie.

– Chłopak ma na myśli coś innego: co ty, właśnie ty, tutaj robisz? Dlaczego ciebie, wielkiego łowcę, wysłano na śmierć z bandą kalek?

Słowo „kaleki” wywołało niechętne szmery, ale żadnego otwartego protestu. Clave uśmiechnął się do Alfina.

– Popatrz na to z drugiej strony. Strażnik dziupli Plemienia Quinna. Dlaczego plemię pozbyło się właśnie ciebie?

W miarę jak się wspinali, zachodni wiatr stawał się coraz słabszy, ale i tak zdmuchiwał smugi dymu unoszące się wokół ścierwa. Alfin z trudem wydobywał z siebie słowa:

– Przywódca sądził, że to niezły żart. I nikt... nikt się za mną nie wstawił.

– Nikt cię nie kocha.

Alfin skinął głową i westchnął, jakby zrzucił z ramion wielki ciężar.

– Nikt mnie nie kocha. Twoja kolej.

Gavving wyszczerzył zęby. Clave był uziemiony i wiedział o tym.

– Mayrin mnie nie kocha rzekł po chwili. – Zamieniłem ją na dwie ładniejsze, bardziej kochające kobiety. Mayrin jest córką Przywódcy.

– To nie jest cała prawda i dobrze o tym wiesz.

– Skoro ty wiesz lepiej ode mnie, mów, proszę – spokojnie odparł Clave.

– Term może potwierdzić. Zna historię plemienia. Kiedy sprawy mają się źle, kiedy obywatele są nieszczęśliwi, Przywódca ma kłopoty, o mało nie wywalili samego Uczonego! Przywódca jest przerażony, ot co. Obywatele są głodni, a do tego istnieje oczywisty następca Przywódcy. Clave, on się ciebie boi.

– Term?

– Uczony wie, co robi.

– Zrzucił winę na ciebie! – krzyknął Alfin. – Byłem tam!

– Wiem. Miał swoje powody. – Term zauważył, że wokół panuje cisza, i roześmiał się. – Nie, nie sprowadziłem suszy! Okrążyliśmy Golda, a Gold przesunął się za daleko w stronę Voy, do miejsca, gdzie Dymny Pierścień jest cieńszy. To efekt grawitacji...

– Dzięki, że nam to tak dokładnie wyjaśniłeś – odparł Clave z wesołym sarkazmem. Gavving

był poirytowany, ale odczuwał też niejaką ulgę: inni także nie rozumieli bełkotu Terma.

– Czy jeszcze coś trzeba ustalić?

Głos Gavvinga głośno zabrzmiał w ciszy, która nagle zapadła.

– Jak spowodujemy potop?

Rozległ się czyjś śmiech.

– Term? – zagadnął Clave.

– Możecie o tym zapomnieć.

– To rozwiązałyby problemy wszystkich. Nawet Przywódcy.

– Co za głupota... no dobrze. Potop zdarza się wtedy, kiedy staw otrze się o drzewo w jakimkolwiek punkcie pnia. Dużo wody przykleja się do pnia z powodu wiatru, który spycha ją później w dół. Zazwyczaj ostrzegają nas oddziały łowców, a wtedy wycofujemy się na koniec gałęzi. Wielki potop był dziesięć lat temu... większość z nas zdołała uciec, ale spadająca woda zniszczyła kilka chat, większość ziemskich zbiorów i zagrody dla indyków. Zanim złapaliśmy nowe, minął rok. A teraz chciałbym, żeby przyszedł następny potop – dodał Term. – Bardzo bym chciał. Uczony uważa, że całe drzewo... nieważne. Nie można złapać stawu. Jesteśmy za daleko w głębi pierścienia gazowego.

– Patrzcie – odezwał się Gavving, wskazując na wschód, w kierunku metalicznej kropki, za którą ciągnęły się różowe smugi obłoków. – Chyba jest większy niż był.

– I co z tego? Podejdzie tu albo i nie. Jeśli przepłynie obok, to co zrobicie? Będziemy rzucać bosakami? Dajcie sobie spokój. Po prostu dajcie spokój.

– Dość – wtrącił Clave. – Mięso już chyba jest dobre. Wywietrzmy jamę i wejźmy.

Gavving obudził się w nocy i zaczął się zastanawiać, gdzie jest.

Wydawało mu się, że pamięta czyjeś jęki. Czyżby ktoś rzeczywiście cierpiał? Dźwięki wiatru, odgłosy oddechów wielu ludzi... Wszędzie wokół niego ciepłe ciała. Duszny zapach dymu i potu. I wszędzie ból, jakby ktoś go pobił.

Nad uchem usłyszał kobiecy głos:

– Ty też nie śpisz?

I drugi, męski.

– Nie. A chciałbym.

– Alfin?

Milczenie. I Gavving przypomniał sobie: po wyrzuceniu w niebo szczątków linonosa jaskinia okazała się dość duża, aby pomieścić dziewięcioro wyczerpanych wędrowców. Być może teraz szczątki dotarły już do Kępy Quinna, aby nakarmić drzewo.

Tulili się do siebie, ciało do ciała. Gavving nie mógł nie słyszeć, gdy Alfin przemówił, choć odezwał się szeptem: „Nie mogę spać. Wszystko mnie boli”.



Glory:

– Mnie też.

– Słyszałaś jęki?

– Clave i Jyan. I wierz mi, na pewno nic ich nie boli.

– Och. To dobrze dla nich. Glory, dlaczego ze mną rozmawiasz?

– Miałam nadzieję, że się zaprzyjaźnimy.

– Ale nie wspinaj się w pobliżu mnie, zgoda?

– Jasne.

– Boję się, że mnie zrzucisz.

– Alfin, nie boisz się być tak wysoko?

– Nie.

– A ja tak.

Pauza.

– Boję się spać. Nie bać się to szaleństwo.

Przez chwilę panowało milczenie. Gavving zaczął zauważać własne obolałe mięśnie i stawy.

To chyba one nie dają mu spać... ale jednak drzemał, kiedy Alfin odezwał się znowu:

– Przywódca o tym wiedział.

– O czym?

– Że boję się spać. Dlatego ten manusowy bękart zawsze wysyłał mnie na łowy pod gałęzią.

Nic stałego pod stopami, tylko wisisz i próbujesz jeszcze rzucać harpunem... ale się zrewanżowałem.

– Jak? – zapytała Glory, a Gavving pomyślał: „Przywódca też”.

– Nieważne. Glory, pójdziesz ze mną?

Pełen napięcia szeptał:

– Nie, Alfin, nie możemy być sami!

– Miałas kogoś, tam, w kępie?

– Nie.

– Większość z nas nie miała. Nikogo, kto by nas chronił przed Przywódcą, kiedy to wymyślił.

Pauza, jakby chwila zastanowienia.

– I tak nie mogę. Nie tutaj.

Głos Alfina podniósł się niemal do krzyku.

– Clave! Clave, powinieneś być zabrać ze sobą masażystkę!

– Zabrałem dwie! – odparł Clave z ciemności.

– Drzewne żarcie – odparł Alfin, ale bez emocji, a może nawet z rozbawieniem.

Zapadła cisza.

## ROZDZIAŁ IV

### Błyskacze i grzyb-wachlarz

Rano bolało ich wszystko. Po niektórych widać to było bardziej niż po innych. Alfin spróbował się ruszyć, stęknął z bólu i zwinął się z twarzą ukrytą w ramionach. Twarz Merrill była bez wyrazu i spokojna, gdy zginała i rozprostowywała ramiona, a potem stanęła na rękach. Jayan i Jinny użalały się nad sobą, wymasowując sobie wszystkie bóle. Oblicze Jiovana wyrażało najpierw ból i zdumienie, a następnie pretensję. Rzucił Clave'owi spojrzenie osoby zdradzonej przez przyjaciela.

Glory miała w oczach dziką panikę. Gavving poklepał ją po łopatce (przy okazji sam też skrzywił się z bólu):

– Wszyscy jesteśmy obolali. Nie widzisz? Czym się martwisz? Nie zostaniesz z tyłu. Nikt nie ma dość siły.

Jej oczy przybrały powoli normalny wyraz. Szepnęła:

– Nie myślałam o tym. Byłam przekonana, że to tylko mnie wszystko boli. To normalne, prawda?

– Pewnie. Ale nie jesteś kaleką.

– Dziękuję, że wczoraj się mną zająłeś. Naprawdę jestem ci wdzięczna. Teraz pójdzie mi lepiej, obiecuję.

Term wtrącił, nawet nie próbując się ruszać:

– Przejdzie nam. Im wyżej będziemy wchodzić, tym mniej będziemy ważyć. Wkrótce zaczniemy latać.

Clave ostrożnie dreptał pomiędzy obywatelami, którzy wprawdzie nie spali, ale nie mogli się ruszyć. Gavving poczuł ukłucie zazdrości. Clave'a nic nie bolało. Z kupy wędzonego mięsa linonosa wyciął kawałek, postrzępiony od ciosów harpuna.

– Nie spieszcie się ze śniadaniem – polecił. – Jedzcie. To najlepszy sposób przenoszenia prowiantu.

– Wczoraj spaliliśmy mnóstwo energii – dodał Term. Pokuśtykał w stronę Clave'a i zaczął szarpać za metrowy kawał czegoś, co było kiedyś żebrzem linonosa. Gavvingowi wydało się to sensownym rozwiązaniem i natychmiast do nich dołączył. Mięso wydzielalo dziwny, stęchły odór, ale uznał, że można się do niego przyzwyczaić, zwłaszcza jeśli zależy od tego życie.

Clave spacerował między nimi, żując swój kawał mięsa. Odciął kawałek i zmusił Merrill, żeby go wzięła. Posłuchał, jak Jiovan opisuje swoje objawy, po czym przerwał mu bezceremonialnie:

– Doszedłeś już do siebie. To świetnie. Teraz jedz. – Podał mu jeszcze jeden kawał steku.

Resztę przeciął na pół dla Jayan i Jinny, po czym, przy wtórze jęków i grymasów, spędził kilka minut na masowaniu ich ramion i bioder.

Teraz, kiedy wszyscy się posilili, Clave objął grupę spojrzeniem.

– Skręcimy teraz na wschód i dojdziemy do wody w ciągu pół dnia. Nie ma tu miejsca na rozgrzewkę. Musimy po prostu ruszyć w drogę. A więc na koń, obywatele. Będziemy musieli „karmić drzewo” na otwartej przestrzeni, a czy naprawdę uda się wam je nakarmić, zależy od kierunku wiatru. Alfin, idziesz przodem.

Alfin poprowadził ich okrężną drogą w górę i w lewo. Gavving stwierdził, że jego bóle stopniowo ustępują. Zauważył też, że Alfin nie patrzy w dół. Nic dziwnego, jeśli Alfin ma gdzieś tych, którzy podążają za nim. On nie oglądał się nigdy.

Gavving przeciwnie, obejrzał się i zachwyił szybkim postępowaniem. Kępę Quinna można było teraz przesłonić dwiema złączonymi dłońmi.

Zatrzymali się, aby naprawić Q ze znaku DQ. Zanim rozpoczęli, słońce znajdowało się już nisko na wschodzie, a gdy dotarli do drewna wygładzonego przez wodę, sięgnęło Voy.

Wzdłuż krętego rowka ciałował niewielki strumyczek wody. Tym razem nie było tu naturalnej półki. Dziewięciu spragnionych obywateli wbiło się hakami w drewno. Wisieli na linach, pijąc, myjąc się i mocząc, a potem wykręcając tuniki.

Gavving zauważył, że nieco niżej Clave rozmawia z Alfinem. Nie słyszał, o czym mówili. Widział tylko, co Alfin zrobił.

– A jeśli nie?

– No to nie. – Clave wskazał na górę, gdzie wisiła reszta grupy. – Patrz na nich. Ja ich nie wybierałem. Co mam zrobić, jeśli jeden z moich obywateli okazał się tchórzem? Jakoś to przeżyję. Ale muszę wiedzieć.

Alfin był blady z wściekłości. Nie czerwony z gniewu. Nie ma czegoś takiego, jak „blady z wściekłości” – bledość oznacza strach, jak Clave dowiedział się dawno temu. Przerażony człowiek może zabić... ale dłonie Alfina były zaciśnięte na linie, zaś harpun Clave’a znajdował się w jego zasięgu, na ramieniu.

– Muszę wiedzieć. Nie mogę postawić cię na czele, jeśli nie zmusisz się, żeby obejrzeć się na nich i sprawdzić, jak im idzie. Widzisz? Muszę umieścić cię gdzieś, gdzie nikogo nie skrzywdzisz, jeśli coś spieprzysz. Maruder. A jeśli skrewisz, chcę wiedzieć, że nikt...

– Dobrze. – Alfin pogrzał w plecaku, wyjął hak i kamień. Wbił drugi hak obok tego, na którym wisiął.

– Zrób tak, żebyś mógł na nim polegać. To twoje życie.

Drugi hak wszedł głębiej niż pierwszy. Alfin przywiązał luźne końce liny do obu haków i związał ze sobą.

- Mam cię tu zostawić?
- Zaryzykujesz albo nie. Ale ja muszę wiedzieć.

Alfin skoczył wprost przed siebie, ciągnąc pętlę liny. Uderzył w drzewo i zakrył twarz ramionami.

Spadał powoli. Wszyscy jesteście lżejsi, zauważył Gavving. To prawda. Myślałem, że to tylko ja czuję się lepiej, ale naprawdę ważymy mniej... Alfin ciągle spadał, ale teraz już odkrył twarz. Wściekle machał ramionami, żeby obrócić się na plecy. Gavving zauważył, że Clave przykrył dłonią haki mocujące linę Alfina. Lina napięła się i Alfin zakołysał się obok drzewa.

Gavving przyglądał się, jak stary wspina się z powrotem. I znowu skacze, z kończynami rozpostartymi tak, jakby próbował latać. Wyglądało na to, że mu się uda, tak wolno spadał. Teraz jednak wiatr zaczął znowu spychać go na drzewo.

- To naprawdę wygląda zabawnie – zauważyła Jayan.
- Najpierw spytaj – dodała Jinny.

Alfin nie skoczył już więcej. Kiedy wspiał się z powrotem do pozycji Clave'a i obaj dołączyli do grupy, Jinny zapytała:

- Czy możemy spróbować?
- Alfin rzucił jej spojrzenie jak harpun.
- Nie, czas ruszać – odparł Clave. – Zbieramy się.

Alfin znowu znalazł się na czele. Tym razem starał się często zatrzymywać i oglądać na pozostałych. A Gavving dumał. Wczoraj Alfin rzucił się na linonosa, szarpiąc go jak oszalały maniak, jak sam Gavving. Trudno było uwierzyć, że Alfin boi się Clave'a, wysokości czy czegokolwiek.

Słońce okrążyło niebo, powędrowało za Voy i wróciło do zenitu, zanim znów się zatrzymali. Tu wygładzone wodą drewno było miękkie, tak miękkie, że mogli po nim przejść z hakami w rękach. Wbić, podciągnąć się, wbić, podciągnąć się i tak dalej. Przywierali do pnia, by uniknąć stad ptaków skupionych na korze. Poza szkarłatnymi ogonami, ptaki miały szarobrazowe upierzenie, podobne do barwy samego drewna.

Kiedy dotarli do strumyka, okazało się, że jest jeszcze mniejszy niż poprzedni, ale wystarczył. Zawisli w wodzie, chłodząc się i pozwalając, by spływała im po twarzach i ustach. Clave dzielił wędzone mięso. Gavving poczuł, że jest potwornie głodny.

- Term jadł i przyglądał się ptakom. Nagle wybuchnął śmiechem.
- Popatrz, odprawiają taniec godowy.
  - No i co?
  - Zobaczysz.

Gavving rzeczywiście zobaczył, inni zresztą tak samo, sądząc z tubalnego śmiechu Clave'a i chichotów Jayan i Jinny. Szarobrazowy samiec zbliżał się do samicy i nagle rozpościerał szare skrzydła jak pelerynę. Pod szarością kryła się jaskrawa żółć i rurka wystająca z plamy szkarłatnych piór.

– Uczony mówił mi o nich kiedyś. Błyskacze – wyjaśnił Term. Nagle uśmiech znikł mu z twarzy. – Ciekawe, co one jedzą.

– A co to za różnica? – zapytał Alfin.

– Może żadna. – Term ruszył w górę, w kierunku ptaków. Ptaki odleciały, ale wróciły po chwili i zaatakowały go lotem nurkowym, wrzeszcząc obelżywie. Term zignorował je kompletnie. Po chwili wrócił.

– No i co? – zapytał Alfin.

– Drzewo jest podziurawione jak sito. Jak sito. Dziury są pełne insektów. Ptaki żywią się nimi.

– Zakochałeś się – zaczepnie prychnął Alfin. – Zakochałeś się w myśli, że drzewo umiera.

– Wolałbym myśleć, że jest inaczej – odrzekł Term, ale Alfin tylko prychnął.

Okrążyli zachodnią stronę drzewa. Słońce zapadło już za Voy i teraz zaczynało wznosić się znowu. Wiatr był znacznie mniej ostry, ale wędrowcy czuli już zmęczenie. Prawie ze sobą nie rozmawiali. Często odpoczywali w rozpadlinach kory.

Odpoczywali, gdy Merril zawołała:

– Jinny? Zaczepiłam się.

Kleszcze wielkości pięści Clave'a wczepiły się w tkaninę prawie pustego plecaka Merril. Merril szarpnęła w swoją stronę. Z otworu w korze wysunął się stwór pokryty twardymi, brunatnymi, segmentowymi łuskami. Pysk stanowiła jedna wielka łuska z osadzonym pośrodku pojedynczym okiem. Ciało ukryte pod łuskami wydawało się miękkie.

Jayan cięła w miejscu, gdzie stworzenie stykało się z korą, oddzielając je od drzewa. Wciąż jednak z idiotycznym uporem pozostało wczepione w plecak Merril. Jayan podważyła kleszcze i wrzuciła stwora do plecaka.

Kiedy znów okrążyli pień w poszukiwaniu wody, Clave nastawił mały kociołek z pokrywą. Zrobił herbatę, znów napełnił kociołek i ugotował zdobycz Merril. Wystarczyło po kęsie dla każdego.

Zaklinowali się w szerokiej szczelinie w kształcie błyskawicy i starannie umocowali linami. Razem, ale rozdzieleni, od stóp do głów pogrążeni w korze, nie mieli możliwości ani ochoty rozmawiać. Cztery doby marszu od śniadania za bardzo ich zmęczyły. Marzyli tylko o śnie.

Po przebudzeniu zjedli znów po kawałku wędzonego mięsa.

– Poszukajmy jeszcze kilku tych skorupiaków – zaproponował Clave. – Są smaczne.

Nie musiał ich do tego namawiać. Nie musiał od czasu, gdy nie mogli wstać u wodopoju.

Tym razem to Jiovan szedł na czele. Poprowadził ich spiralą w prawo, dzięki czemu znaleźli się po zawietrznej. Tu drewno było również miękkie i pełne robactwa, a błyskacze uwijały się wokół. Po zawietrznej Alfin i Glory mieli problemy z utrzymaniem się przy drzewie. Jiovan powiedział na głos coś na ten temat i został nagrodzony pełnym tępej nienawiści spojrzeniem Alfina.

Sekret polegał na tym, że Alfin dłużej i staranniej wbijał haki niż pozostali, a Glory nie, toteż traciła dużo czasu na ślizganie się i odzyskiwanie równo wagi.

Alfin spostrzegł coś wysoko nad ich głowami: szare bryłki wystające z kory po obu stronach strumyczka. Wspiął się, uparcie wbijając haki w drewno i za chwilę powrócił z grzybem w kształcie wachlarza, jasnoszarym, otoczonym czerwoną falbanką, wielkości mniej więcej połowy plecaka.

Może być jadalny – oznajmił.

– Chcesz spróbować? – zapytał Clave.

– Nie. – Zamachnął się, żeby go wyrzucić.

Merril powstrzymała go.

– Mamy znaleźć coś, co uchroni plemię przed głodem – przypomniała. Odłamała czerwony kawałek falbanki i ugryzła na próbę. Niespecjalnie aromatyczny, ale może być. Uczonemu by smakował. Można go żuć bez zębów. – Ugryzła kolejny kawałek.

Alfin odłamał kęs białawego mięszu i włożył do ust z taką miną, jakby połykał truciznę.

– Smakuje nieźle – skinął głową.

W tym momencie znalazło się więcej ochotników, ale Clave zaoponował. Zanim odeszli, Clave wszedł na górę i zebrał cały bukiet wachlarzowatych grzybów. Jeden z wachlarzy, o powierzchni metra kwadratowego, powiewał mu z plecaka jak flaga.

Słońce wznosiło się po wschodniej stronie nieba poniżej Voy – można było patrzeć wzdłuż całego pnia, poza zielonym kłębuszkiem Kępy Quinna, i zobaczyć jasną iskrę Voy na krawędzi łagodnego blasku słońca. Zachodni wiatr wiał delikatnie poprzez bruzdy w korze, kiedy Gavving usłyszał krzyk Merril:

– I komu potrzebne są nogi?

Trzymała się na odległość ramienia od drzewa. Jedną ręką.

– Merril? Czy z tobą wszystko w porządku? – zawołał w jej stronę,

– Czuję się fantastycznie! – Puściła uchwyt, spadła nieco niżej i znów się przytrzymała. – Term miał rację! Możemy latać!

Gavving podpełzł do niej. Jinny była już obok i wbijała hak w drewno. Gdy Gavving dotarł do nich, Jayan opierała się na haku, drugą ręką trzymając przygotowaną linę. Pchnęli Merril z powrotem w kierunku drzewa.

Nie opierała się, zapytała tylko:

– Gavving, dlaczego mieszkamy w kępie? Przecież tu jest jedzenie, woda i nie potrzeba nóg. Zostańmy tutaj. Niepotrzebna nam jaskinia linonosa, możemy wyryć własną. Mamy mięso linonosa i te skorupiaki, i grzyby-wachlarze. Jeśli chodzi o mnie, najadłam się już liści na całe życie! Ale jeśli ktoś ma jeszcze na nie ochotę, można tam posłać kogoś, kto ma nogi.

Musimy uważać z tymi grzybami, pomyślał Gavving. Wbijał haki w drewno, Jiovan robił to samo po drugiej stronie Merrill. A gdzie Clave?

Clave był z Alfinem, wysoko nad ich głowami, tocząc niesłyszalną, ale zaciętą dyskusję.

– Chodźcie, idziemy dalej. Co wy robicie? – pytała Merrill, gdy Gavving i Jiovan przywiązywali ją do kory. – Albo wiecie co, mam świetny pomysł. Wracajmy. Mamy wszystko, czego nam trzeba. Zabijemy jeszcze jednego linonosa, i jeszcze, i jeszcze, i będziemy hodować te grzyby w kępie, a tutaj założymy kolejne plemię. Clave! – wrzasnęła, gdy Clave i Alfin zeszli na tyle nisko, aby ją usłyszeć. – Czy nadaję się na Przywódcę kolonii?

– Byłabyś świetna. Obywatele, pozostaniemy tu przez jakiś czas. Przyczepcie się. Nie próbujcie latać.

– Nawet nie myślałam, że może być tak fajnie – zawołała Merrill. – Kiedy byłam mała, moi rodzice czekali tylko, kiedy umrę, ale nie chcieli nakarmić mną dziupli. Sama też o tym czasem myślałam, ale nigdy tego nie zrobiłam. Cieszę się. Nieraz myślę, że jestem przykładem... czymś, czego ludzie potrzebują, by być szczęśliwi. Szczęśliwi, że mają nogi. Nawet jedną nogę – szepnęła chrapliwie do Jiovana. – Nogi! Co komu po nogach?

Jiovan zwrócił się do Clave'a:

– Jak długo będziemy musieli to wytrzymywać?

– Nie musisz. Weź... eee... Terma i znajdźcie sobie lepsze miejsce do spania.

– Na przykład? – Jiovan rozejrzał się wokół siebie.

– Jaskinię, szczelinę, występ kory... cokolwiek, żeby tu nie wisieć jak mięso do wędzenia.

– Ja też pójdę – zaproponował Alfin.

– Zostaniesz.

– Clave, nie musisz traktować mnie jak dziecko. Zjadłem tylko trochę ze środka, czuję się dobrze!

– Merrill też!

– Co?

– Nieważne. Jesteś upierdliwy i to jest w porządku. Merrill czuje się świetnie i to nie...

– Alfinie, tak się cieszę, że mnie nie zatrzymałeś. – Merrill uśmiechnęła się do niego promiennie. W tym momencie Gavving uznał, że jest piękna. – Dzięki, że przynajmniej próbowałeś. Chce mi się spać – oznajmiła i zasnęła.

Alfin zobaczył wokół pytające spojrzenia. Niechętnie wyjaśnił:

– Myślałem... myślałem, że odwiodę Przywódcę od tej głupoty. Wysłać bez... beznogą kobietę na drzewo! Clave, ja naprawdę czuję się dobrze. Całkiem trzeźwy i głodny. Daj mi jeszcze trochę.

Clave wyjął wachlarz z plecaka. Oderwał szkarłatne obrzeże i dał Alfinowi kawałek mięszu wielkości dłoni. Jeśli nawet Alfin się zawahał, trwało to najwyżej ułamek sekundy. Zjadł cały kawałek z teatralnym apetytem, który wywołał szeroki uśmiech na twarzy Clave'a. Dowódca oderwał resztą czerwonej falbanki i schował oddzielnie.

Wrócili Jiovan i Term. Znaleźli znak DQ, porośnięty grzybem podobnym do białawych włosów.

– Zakazony. Trzeba będzie wypalić – odezwał się Term.

– A jeśli nie przestanie się palić? Nie mamy wody zaproponował Clave. Nieważne. Jayan, Jinny, zostaniecie z Merril. Jedna z was zawoła mnie, gdyby się obudziła.

Z powątpiewaniem przyjrzeni się plamie grzyba. Zdrapywanie szarych kudłów byłoby trudne i monotonne. Clave wyrwał kłęb grzyba i podpalił. Grzyb płonął powoli, niechętnie.

– Spróbujemy. Wypróżnijcie jednak plecaki, na wypadek gdybyśmy musieli go gasić.

Plama płonęła powoli. Zachodni wiatr nie był na tej wysokości zbyt silny, dym miał tendencję do osiadania we „włosach” grzyba, tłumiąc płomień i gasząc go czasami. Pomimo to płomyki pełzały w żarzących się frędzlach, odradzając się co chwilę. Musieli się cofnąć, bo cuchnący dym ogarnął całą okolicę.

Po chwili dym zaczął się rozwiewać. Gavving podszedł i stwierdził, że większość grzyba znikła, pozostawiając jedynie czarną spaleniznę. Q miało teraz dwa metry głębokości.

Clave zrobił pochodnię z kawałka kory i wypalił kilka pozostałych plam.

– Zedrzyjcie to, bo będziemy mogli spędzić tu noc. Gavving, Jinny, wróćcie po Merril.

Obudziła się natychmiast, zaledwie jej dotknęli, szczęśliwa, aktywna i pełna planów. Zwabili ją na drugą stronę, gotowi na wszystko, i natychmiast przywiązali na wyskrobanym dnie Q.

Dopiero teraz wszyscy mogli rozłożyć się na wczesną drzemkę.

Merril spała jak dziecko, ale pozostali wierzili się niespokojnie. Krótkie, niechętnie rozmowy nawiązywały się na chwilę i milkły. Wreszcie Clave zapytał:

– Jiovan, jak się czujesz?

– Co masz na myśli?

– Całą drogę. Jak się czujesz?

Jiovan prychnął.

– Głodny, ale akurat do tego jestem przyzwyczajony. Mogę się wspinać. Chodzi ci o to, jak się wszyscy czujemy? Nie dowiemy się, dopóki nie dotrzemy do domu. Na razie Merril straciła rozum, ale może ma rację.



Clave był zaskoczony.

– Chodzi ci o to, żeby tu zamieszkać?

– Nie, to szaleństwo. Mówię o tym, żeby wracać. Zabić coś, uwędzić, zebrać więcej grzybów i wracać do domu. Będziemy bohaterami, tak samo jak każda grupa łowiecka wracająca do domu z mięsem, a nie wstydę się powiedzieć, że jestem na to gotowy. Drzew-nie mnie znudziło bycie... kaleką. Kiedyś to ja karmiłem plemię... a gdyby grzyb-wachlarz rósł w kępie...

Teraz już cała grupa słuchała go uważnie. Clave wiedział, że Jiovan mówi pod publiczność.

– Merrill może teraz chorować, wiesz o tym – dodał.

– Czuje się świetnie.

– Nooo, zobaczymy, jak się będzie czuła, kiedy minie działanie grzyba. Może sam chciałbym tego spróbować. – Clave zachichotał. Miał nadzieję, że na tym się skończy.

Nie wtedy, gdy słucha Alfin.

– A może jednak pójdziemy do domu? Mamy już to, po co przyszliśmy.

– Nie sądzę. Na pewno nie wyczyściliśmy wszystkich znaków plemiennych, prawda, Term?

– Powinny biec wzdłuż całego pnia.

– Więc dojdźmy przynajmniej do połowy. Wiemy już, jak się możemy pożywić. Kto wie, co jeszcze znajdziemy? Linonos może być i smaczny, ale znaleźliśmy tylko jednego i nie da się go hodować w kępie. Możemy w powrotnej drodze zebrać trochę grzybów. Co jeszcze? Czy błyskacze nadają się do jedzenia? Może uda nam się przenieść te zwierzaki w skorupach?

Term zaczął się zapalać.

– Można by je hodować tuż nad kępą. To się może udać. Pewnie, że chciałbym iść dalej. Chcę się dowiedzieć, jak to jest, kiedy w ogóle nie ma wiatru.

– Wiemy już, co powie Merrill. Ktoś jeszcze?

Alfin stęknął. Nikt więcej się nie odezwał.

– Idziemy dalej – oznajmił Clave.

## ROZDZIAŁ V

### Wspomnienia

Była tam znowu – specjalna częstotliwość światła, której Sharls Davis Kendy szukał przez pięćset lat. Znalazł ją pięćdziesiąt dwa lata temu, i czterdzieści osiem, i dwadzieścia, i... Miał za sobą sześć pewnych obserwacji i jeszcze dziesięć prawdopodobnych. Lokalizacja ulegała zmianie. Tym razem znajdowało się ono na zachodzie, za ledwie przeświecając przez zupę z kurzu, gazu, śmieci i życia roślinnego: światło wodoru płonącego z tlenem.

Kendy skupił uwagę na drżącym punkcie w Dymnym Pierścieniu. MONT rzadko potwierdzał, że sygnał Kendy'ego przedostawał się przez maelstrom, ale Kendy nigdy nawet nie pomyślał, żeby nie spróbować.

– Kendy w imieniu Państwa. Kendy w imieniu Państwa.

Główny silnik MONT-a pracował już od wielu godzin. Przyspieszał powoli, zbyt powoli, pchając przed sobą coś masywnego. Co oni tam robią?

Czyżby całkiem zapomnieli o „Dyscyplinie” i Sharlsie Davisie Kendym?

Kendy też zapomniał wiele, ale to, co w nim pozostało, było równie żywe jak w momencie, gdy się zdarzyło. Poszukał ucieczki we wspomnieniach.

Docelowa gwiazda była białozółta, z widmem bardzo podobnym do Sol. Okręzał ją niewidoczny towarzysz. Przy masie nieco większej od Słońca T3 była odrobinę jaśniejsza i bardziej błękitna niż Sol, mniej więcej G0 lub G1. Jej towarzysz, połowa masy Słońca, był gwiazdą, nie planetą i powinien być przynajmniej widoczny.

Państwo miało dane teleskopowe z wcześniejszych misji do innych gwiazd. W tym systemie musiało być jeszcze przynajmniej jedno, trzecie ciało wielkości planety. Mogła to być planeta przypominająca pierwotną Ziemię, a wówczas „Dyscyplina” spełniłaby swoje zadanie: zapłodnienie atmosfery algami produkującymi tlen. Pewnego odległego dnia Państwo powróci tu, znajdując świat gotowy do kolonizacji.

Kto jednak przyjechałby tutaj, by przyjrzeć się temu dziwnemu miejscu?

„Dyscyplina” była statkiem zaradczym, nakierowanym na krąg żółtych gwiazd, które mogły posiadać planety podobne do pierwotnej Ziemi. Jej druga misja była tajna, znana jedynie Kendy'emu, ale badania zdecydowanie znajdowały się dopiero na trzecim miejscu listy. „Dyscyplina” się tu nie zatrzyma. Kendy minie T3, zrobi zdjęcia i zapisy, a potem zniknie w przestrzeni. Może zatrzyma się tylko po to, by wyrzucić raketę z głowicą pełną modyfikowanych alg, jeśli znajdzie docelowy świat.

Czworo z załogi znajdowało się w module sterowania. Mieli uruchomiony system

teleskopowy; na wielkim ekranie widniał wodnisty obraz żółtobiałej gwiazdy z maleńkim, oślepiającym, błękitno-białym punktem światła na krawędzi. Sam Goldblatt miał na niniejszym ekranie wyświetlone widmo T3.

Sharon Levoy podawała dane do zapisu, ale nikt jej nie słuchał: „To rozwiązuje sprawę. Levoy jest starą gwiazdą neutronową, pół miliarda do miliarda lat po fazie pulsara. Wciąż jest jeszcze gorąca jak piekło, ale ma tylko dwadzieścia kilometrów średnicy. Powierzchnia promieniowania jest w zasadzie pomijalna. Przez cały ten czas prawdopodobnie wytraca ruch obrotowy i ciepło. Nie widzimy jej, ponieważ nie emituje dość światła”.

– Żółte karłowate gwiazdy mogą mieć planety, ale należy oczekiwać, że ich atmosfery wyparowały przez wybuch supernowej, której Gwiazda Levoy jest pozostałością..

Goldblatt warknął:

– Mielśmy być tutaj pierwszą ekspedycją. Co na to Kendy?

Załoga miała nie wiedzieć, że komputer pokładowy i jego zarejestrowana osobowość może ich podsłuchiwać. Dlatego Kendy odezwał się:

– Halo, Sam. Co się dzieje?

Sam Goldblatt był potężnym, okrągłym mężczyzną z krzaczastymi, starannie wypielegnowanymi wąsami. Żuł je od chwili, gdy Levoy znalazła i nazwała gwiazdę neutronową. Teraz jego frustracja znalazła cel.

– Kendy, masz zapisy z poprzedniej ekspedycji?

– Nie.

– Dobra, sprawdzaj mnie. To są linie absorpcyjne dla tlenu i wody, tutaj, prawda, czy nie? Co oznacza, że gdzieś w tym systemie istnieje zielone życie, mam rację? I że Państwo przesłało już tutaj statek zaradczy?

– Zauważyłem widmo. Właściwie dlaczego życie roślinne nie miałyby się rozwinąć samo z siebie? Na Ziemi tak się stało. Poza tym te linie nie mogą przedstawiać świata ziemskiego typu. Są zbyt ostre. Za dużo tlenu, za dużo wody.

– Kendy, jeśli to nie planeta, to co to jest?

– Dowiemy się, kiedy podejdziemy bliżej.

– Hmm... nie przy tej prędkości. Kendy, sądzę, że powinniśmy zwolnić. Zwolnij do minimum, przy którym będzie działać silnik raketowy Bussarda. Nie stracimy paliwa na pokładzie, przyjrzymy się trochę i zaraz będziemy mogli przyspieszyć, kiedy dostaniemy wiatr słoneczny do paliwa.

– Niebezpieczne – odparł Kendy. – Nie zalecam tego.

I na tym powinno było stanąć.

Przez pięćset dwadzieścia lat Kendy usuwał z pamięci strzępy doświadczeń, jeśli sądził, że

nie będą mu więcej potrzebne. Nie pamiętał, czy zgodził się w końcu z sugestią Goldblatta. Prawdopodobnie Sam przekonał Kapitana Quinna i resztę załogi, a Kendy ustąpił... im? Czy własnej ciekawości?

Kendy pamiętał.

Gwiazda Levoy i T3 okręwały wspólny punkt w mimośrodowych orbitach, w odległości średnio  $2,5 \times 10^8$  kilometrów, z okresem orbity 2,77 lat ziemskich. Gwiazda neutronowa znajdowała się za żółtym karłem, gdy „Dyscyplina” wkraczała do systemu. Teraz znów stała się widoczna dla systemu teleskopowego „Dyscypliny”.

Ujrzał pierścień białych chmur z odcieniem zieleni, z jasną iskrą pośrodku. Linie widma wody i tlenu pochodziły stamtąd. Pierścień był niewielki jak na standardy astronomiczne: region największej gęstości okręwał gwiazdę neutronową w odległości dwudziestu sześciu tysięcy kilometrów około cztery razy większej od promienia Ziemi.

Jak wieniec bożonarodzeniowy – westchnęła Claire Dalton. Pani socjolog miała ciało długonogiej, ślicznej blondynki, ale jej humanusowe wspomnienia sięgały bardzo daleko wstecz... Co ona zresztą robi na mostku? Kapitan Dennis Quinn mógł ją zaprosić, jeśli sądzić po tym, jak stoją obok siebie. Oznaczało to rozluźnienie dyscypliny, której Kendy miał pilnować.

Załoga „Dyscypliny” badała dalej archaiczny wieniec bożonarodzeniowy. Nagle Sam Goldblatt ryknął:

– Świat Goldblatta! Kendy, zarejestruj to. Świat Goldblatta! Tam jest planeta!

– Nie jestem na tyle blisko, żeby to sprawdzić, Sam.

– Musi tam być. Wiesz, jak działa pierścień gazowy?

Kendy miał to w pamięci.

– Tak. Nie wątpię, że masz rację. Mogę zbadać radarem ten kłębek burz, gdy będziemy przelatywać.

– Przelatywać? Musimy się zatrzymać i zbadać to! – Goldblatt rozejrzał się, szukając oparcia w towarzyszach. – Zieleń oznacza życie! Życie za to bez planety! Musimy się wszystkiego dowiedzieć. Claire, Dennis, rozumiecie to, prawda?

Załogę stanowiło dwunastu obywateli i osiem humanusów. Humanusy mogły się sprzeczać, ale nie miały praw obywatelskich, zaś obywatele mieli ich mniej niż sądzili. Ze względu na morale Kendy podtrzymywał złudzenie, że to oni tu rządzą.

Sugestia Goldblatta nie była warta rozważenia. Kendy powiedział:

– Pomyśl. Mamy paliwo tylko na jedno jedyne zwolnienie. Będziemy go potrzebować, gdy wrócimy na Ziemię.

– Tam jest woda – w zamyśleniu odezwał się Dennis Quinn. – Możemy zatankować. Jestem pewny, że ta woda ma dość deuteru i trytu. Dlaczego nie, w końcu okręga resztki supernowej!

Claire Dalton gapiała się na ekran, na doskonały pierścień dymu z maleńkim świetlnym

puncikiem pośrodku.

Gwiazda neutronowa wystygła, straciła większość prędkości obrotowej i ciepła, i tego silnego pola magnetycznego, jakie mają pulsary. Jest jasna, ale zbyt mała, by dawać dużo prawdziwego ciepła. Pewnie my sami moglibyśmy tam żyć. – Rozejrzała się dokoła. – Czy nie po to przybyliśmy? Dziwność wszechświata... Jeśli się tu nie zatrzymamy, równie dobrze możemy wracać na Ziemię.

Pogarda w jej głosie była bardzo wyraźna.

W tym momencie wspomnienie Kendy'ego zamarło. Nic dziwnego. To właśnie musiał być prawdziwy początek buntu.

Pamiętał, że sprawdzał i poprawiał pliki dotyczące mechaniki pierścienia gazowego.

Bliźniaczą gwiazdę okrążały szeroko dwie planety: giganty typu Jowisza, bez księżyców. Stara supernowa zdmuchnęła chyba wszystkie mniejsze kamienie.

Ciało okrążało gwiazdę neutronową. Jeden fragment Dymnego Pierścienia był skreślony, jak zniekształcony wir sztormu. We wnętrzu wiru ukryte było kamiennie-metaliczne jądro o masie dwa i pół razy większej od Ziemi. Gęsta, gorąca atmosfera zawierała trochę tlenu i wody. Świat Goldblatta, zablokowany wiatrem, nie nadawał się do zamieszkania. Bez takiej atmosfery mógłby pewnie utrzymywać życie podobne do ziemskiego, ale ta niesamowita atmosfera, rozpływała się w nieskończoność w Dymny Pierścień.

Silne linie tlenowo-wodne pochodziły z pierścienia gazowego.

Pierścień gazowy stanowi wynik lekkiej masy orbitującej wokół ciężkiej masy, tak jak Tytan obiega Saturna. Może być i tak, że lekka masa jest zbyt lekka nawet na to, aby utrzymać własną atmosferę. Szybsze cząsteczki powietrza uciekają – ale wchodzą na orbitę wokół ciężkiej masy. I tak Tytan okrąża Saturna wraz z pierścieniem własnej, uciekającej atmosfery, tak też Io orbituje wokół Jowisza w pierścieniu siarki zjonizowanym straszliwym polem magnetycznym Jowisza.

Pierścień gazowy jest rzadki. Gaz musi być tak rozrzedzony, że każda cząsteczka może być uważana za oddzielną orbitę. Można się spodziewać, że okrąży ona masę pierwotną do połowy, zanim spotka się z inną cząsteczką. W takich warunkach pierścień gazowy jest stabilny. Okazjonalny zabłąkany foton wypchnie cząsteczkę w przestrzeń międzyplanetarną, ale pozostałe cząsteczki wciąż będą się natykać na orbitujące ciało.

Tytan – mniejszy niż Mars, nie większy niż Ganimed – ma atmosferę o ciśnieniu półtora raza większym od ziemskiego na poziomie morza. Oczywiście, ciągle ją traci, ale część jej stale wraca z pierścienia gazowego.

Gwiazda Levoy stanowiła przypadek skrajny i nieco odmienny w proporcjach.

Dymny Pierścień stanowił najgrubszą część pierścienia gazowego wokół Gwiazdy Levoy. W medianie był prawie tak gęsty jak ziemska atmosfera kilometr nad poziomem morza: zbyt

gęsty, by być stabilny. Ale pierścień gazowy był stabilny: gęsty, lecz utrzymywany w granicach stromego gradientu grawitacyjnego. Cząsteczki ciągle wracały z pierścienia gazowego do Dymnego Pierścienia, a z Dymnego Pierścienia do burzliwej atmosfery otaczającej Świat Goldblatta.

– Świat Goldblatta musiał rozpocząć istnienie jako planeta-gazowy gigant, taki jak na przykład Saturn. Prawdopodobnie nie wpadł w zasięg, dopóki pulsar nie stracił większości obrotów i ciepła – mówił głos Sharon Levoy w pamięci Kendy’ego. – Potem pochwyciły go silne wiatry Roche’a. Mógł znaleźć się dość blisko, by stracić wodę, glebę i gaz. Przez jakiś miliard lat Świat Goldblatta sączył gaz do Dymnego Pierścienia, a Pierścień do przestrzeni międzygwiazdnej. Nie jest zupełnie stabilny, ale, do licha, planety też nie są aż takie stabilne na dłuższą metę.

– Nie będzie stabilny wiele dłużej – wtrącił Dennis Quinn. – Większość Świata Goldblatta już nie istnieje. Dziesięć milionów lat, sto milionów, i Dymny Pierścień rozrzedzi się.

Kendy pamiętał te szczegóły. Zapisy wykonywano wtedy, gdy przyrządy „Dyscypliny” sondowały Pierścień z bliskiego zasięgu. Część załogi już badała Dymny Pierścień poprzez MONT-y. Raporty były entuzjastyczne: istniało życie oparte na DNA, a powietrze nie tylko nadawało się do oddychania, ale miało miły smak...

Kendy nie pamiętał, jak sprowadził „Dyscyplinę” na orbitę wokół Gwiazdy Levoy. Musiał zużyć całe paliwo na pokładzie, opóźniając o wiele lat dotarcie do innych gwiazd na swoim kursie. Dlaczego?

Głos Claire Dalton:

– Musimy wyjść z tego pudła. Zaczyna się psuć. Odrobina każdej substancji, jaką przetwarzamy, gubi się przy każdym cyklu. Tam jest nie tylko woda, lecz także powietrze, a pewnie nawet świeży nawóz dla naszych zbiorników hydroponicznych!

To Sharls Davis Kendy rządził „Dyscypliną”. Dwudziestoosobowa załoga nie była potrzebna, aby prowadzić statek: Państwo wybrało ich jako zapas ludzkości, maleńki fragment samego siebie, z dala od wszelkich lokalnych katastrof. Jedna planeta, jeden system słoneczny, są zbyt delikatne, aby zapewnić przetrwanie Państwa ludzkości. Każdy statek w przestrzeni miał załogę wystarczającą, by dać początek nowej rasie ludzkiej: to była ich druga misja, gdyby kiedykolwiek okazała się konieczna. Państwo nie oczekiwało takiej katastrofy, ale inwestycja w porównaniu z nagrodą była minimalna.

Kiedy stracił kontrolę? Może zagrozili, że ominą komputer i przejdą na sterowanie ręczne? Nie mogli tego zrobić, ale morale mogłoby ulec rozkładowi, gdyby się dowiedzieli, jak mało mają naprawę do powiedzenia. Na tej podstawie Kendy mógł się poddać.

A może po prostu był ciekawy.

Nie pamiętał nic z tego, co musiało być buntem. Może zrobili z niego idiotę, a może nie

chciał tego pamiętać. Załoga wyruszyła z ośmioma MONT-ami i zniszczyła w tym celu hydroponiki! Na to nie można było pozwolić.

Kendy miał pewność, że siedem z MONT-ów nie działało. Część urządzeń pewnie odratowano... a ostatni MONT już nie tryskał fontanną płonących oparów wodnych. Kendy przestał wysyłać komunikat. W dole biało i obojętnie lśnił Pierścień.

Pewnego dnia się dowie. Czy będą go w ogóle pamiętać?

Kendy czekał.

## ROZDZIAŁ VI

### Teren Środka

Kępka „siwizny” powinna była już dawno zostać wykarczowana. Miała pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt metrów wielkości i na pół metra wżarła się w żywe drewno. W powstałym w ten sposób kompoście zadomowiły się parasolowate rośliny; dojrzały i teraz rozpościerały jaskrawe kwiaty, przyciągając przelatujące owady.

Minya patrzyła, jak płomień rozprzestrzenił się krętymi ścieżkami po łacie grzyba. Bryza miotła dławiący dym w nieprzewidywalnych kierunkach. Dym wypędzał z grzyba chmury muszek. Miała nadzieję, że triada Thanyi wkrótce wróci z wodą.

W Szwadronie Triunów były trzy triady. Minya, Sal i Smitta znajdowały się najbliższej mediany, triada Jeel przemierzała pień w górę i w dół, przenosząc zaopatrzenie z kępy, zaś triada Thanyi przynosiła wodę z zawietrznej.

Ogień zwykle nie stanowił problemu, ale zawsze może zdarzyć się błąd.

– Uwielbiam te wspinaczki – oznajmiła Smitta. Pływała z palcami stóp wczepionymi w krawędź kory. Tak blisko mediany tyle wystarczyło, aby utrzymać ją na słabym powiewie. – Lubię pływać... No i z jakiego innego miejsca można zobaczyć cały Dymny Pierścień?

Minya skinęła głową. Nie chciała rozmawiać. Jeśli problem nie chce odejść sam, a nie można go rozwiązać, co zrobić, jeśli nie uciec? Uciekła tak daleko, jak może uciec ludzka istota. Pomogło. Tutaj, na granicy dwóch nieskończoności, czuła się spokojnie.

Drzewo wydawało się ciągnąć w nieskończoność w obu kierunkach. Ciemna Kępa, podświetlona przez Voy i słońce, była niby aureola zielonego puchu z czarnym jądrem. Na zewnątrz Kępa Daltona-Quinna wydawała się niewiele większa. Kilka zabłąkanych chmur, smużki zielonego lasu, wiry sztormu – wszystko zostało na zewnątrz. Na wschodzie widniał punkt jaskrawego światła nie całkiem pośrodku ciemnego obrzeża; ten sam mały staw, który już od kilku dni kusząco unosił się coraz bliżej nich.

Może, może się zbliży. Nie rozmawiały o tym. To przynosi pecha.

Między suszą a ostatnimi rozruchami politycznymi Szwadron Triunów nie miał czasu zajmować się pielęgnacją drzewa. Były potrzebne w charakterze policji. Można by mieć nadzieję, że egzekucje uporały się na razie z zamieszkami, ale teraz triady znajdowały pasożyty i łąty siwizny na całym pniu. Dzisiaj spaliły już całe pole tego paskudztwa.

Minya pochwyciła kątem oka jakiś ruch na zewnątrz, w kierunku, w którym wiał wiatr. Błękit na błękit, trudny do zobaczenia, coś wielkiego. Słońce było prawie w nadirze, oślepiało ją. Zmrużyła oczy, osłoniła je dłonią i oznajmiła:

– Triun.



Smitta poderwała się natychmiast.

– Interesuje się nami? Sal!

– Widzę – zaśpiewała Sal spod obłoku dymu.

– Są zainteresowane – dodała Minya. – I całkiem blisko... Smitta podciągnęła się na pniu i już szykowała broń.

– Kiedyś walczyłam z triunem. Są sprytniejsze niż mieczoptaki. Można je odstraszyć. Pamiętajcie, jeśli zabijemy jednego, trzeba zabić wszystkie trzy.

Obiekt o kształcie torpedy był coraz bliżej. Miał barwę nieba i obracał się z wolna. Sześć ogromnych oczu pojawiało się po kolei na obwodzie, a trzy wielkie, przejrzyste płetwy... jedna była mniejsza od pozostałych: to pewnie młode.

– Czego potrzebujemy? – szeptem zapytała Minya.

– Łuki i strzały gotowe? Przywiąż strzałę i wbij w koniec trochę płonącej siwizny. Dobrze, że mamy ogień. Pamiętajcie, gdzie są strzałostrąki. Mogą się przydać.

Minya poczuła, że serce bije jej w gardle. Druga jej podróż na pień... ale Smitta i Sal były tu już wiele razy. Obie zahartowane i doświadczone. Sal, krępa, ruda czterdziestolatka, dołączyła do Szwadronu w wieku dwunastu lat. Smitta urodziła się mężczyzną; kobietą została formalnie.

„Trzymaj się z daleka od Smitty”, powtarzała sobie Minya. Smittę trudno było rozzłościć, ale pod presją coś w jej umyśle mogło się załamać. Wtedy walczyła jak obłąkana, nawet wśród swoich, a wówczas jedynym sposobem, aby ją powstrzymać, było przygnięcie jej do gruntu.

Minya napięła łuk z twarodrzewa i ostrzem strzały wydłubała kawałek płonącego grzyba. Gotowa... ?

Torpeda rozdzieliła się na trzy części: teraz trzy smukłe torpedy leniwie trzepotały na wietrze, pokazując małe boczne płetwy i jaskrawopomarańczowe brzuchy. Samiec i samica, na zawsze sparzeni, i młode, które szybko nabierało ciała, ale dojrzewało powoli. Dzieliły się jedynie na łowy lub żeby walczyć. Szwadron Triunów został tak nazwany, by podkreślić podobieństwo do wzajemnej zależności rodziny triunów.

Młode było najmniejsze, pozostało w tyle, stare ruszyły naprzód.

– Celuj w samca – odpowiedziała Smitta i wystrzeliła, a lina powlokła się za strzałą. Który to samiec? Minya odczekała chwilę, by zorientować się, gdzie celowała Smitta, po czym wypuściła własną strzałę. Uznała, że jeszcze są poza zasięgiem... i miała rację. Samiec zwinnie odpłynął z drogi ostrzy, samica ruszyła naprzód. Sal czekała. Teraz wystrzeliła i szarżująca samica dostała strzałę w płetwę.

Ryknęła. Zatrzepotała tylko raz i wyrwała grot. Sal wyłoniła się z dymu i skoczyła w niebo. Zwijanie wydawało się jej nie przeszkadzać, starodawny metalowy łuk spoczywał bezpiecznie na jej ramieniu. Żarząca się siwizna pozostała na ogonie samicy, która miotła się jak szalona.

Smitta posłała przywiązaną strzałę w młode.

Oba dorosłe osobniki wrzasnęły. Samica próbowała zablokować strzałę, ale była zbyt powolna. Młode chyba nie widziało nadlatującego pocisku. Smitta szarpnęła linę i zatrzymała ją w odległości metra.

Samica rozwarła paszczę.

Kobiety zwijały linę w wariackim tempie, ale nie musiały aż tak się spieszyć. Triuny z niezwykłym wdziękiem podplły do młodego. Wyciągnęły drobne łapki spod pomarańczowych brzuchów i szepiły się ze sobą. Odpływały w niebo jak jeden zamglony niebieski duch.

– Widzisz? Są cwane, można śledzić tok ich myśli – zauważyła Smitta.

Sal z jednej z licznych kieszeni biegnących od góry do dołu jej tuniki wyjęła strzałostrąk w kształcie łyzy. Ukręciła czubek. Chmurka nasion i pyłu wytrysnęła ze strąka, popychając Sal w stronę kory.

Zwinęła linę w kółko i poskładała broń, w tym również drogocenny luk. Wykonany był ze sprężystego metalu i przekazywany w Szwadronie Triunów z pokolenia na pokolenie od co najmniej dwustu lat.

– Dobra robota, żołnierze, ale wydaje mi się, że płomień zaczyna dobierać się do drewna. Chciałabym, żeby Tanya już tu była. Chyba nas nie przegapiła, jak sądzicie?

Zdaniem Minyi, ogień mógł dotrzeć do drewna lub nie. Trudno stwierdzić, gdzie kończy się siwizna, a zaczyna przegniłe drewno.

– Nie jest aż tak źle – stwierdziła.

– Nie lubię marnować strąków, ale... drzewne żarcie, chyba ich poszukam – zdecydowała Sal. Podwinęła nogi, chwyciła korę, odbiła się i skoczyła. Zamachała ramionami, aby obrócić się w stronę pnia. Jej towarzyszki patrzyły w ślad za nią, gdy płynęła w kierunku Kępy Daltona-Quinna.

– Ona się za dużo martwi – mruknęła Smitta.

Od czasu, gdy obywatele Clave'a odeszli z Kępy Quinn, minęło siedemdziesiąt dni.

Drzewo karmiło miriady pasożytów, pasożyty zaś karmiły grupę Clave'a. Bez trudu zabili kolejnego linonosa, obcinając mu nos i wbijając harpuny w jego legowisko. Wszędzie pełno było kęp grzybów-wachlarzy. Merrill znowu zjadła kawałek czerwonej frędzli wachlarza i spała potem przez pełne osiem dni. Pulsujący ból głowy, jaki był tego skutkiem, nie miał wpływu na tempo jej wspinania i wkrótce minął. Żywili się zatem wachlarzami, znaleźli też więcej norników w skorupach oraz inne jadalne zwierzęta...

Term widział w tym oznaki upadku drzewa.

Znaleźli krzak strzałostrąków, podobny do masy bąbelków na korze. Clave spakował tuzin dojrzałych strąków do sakiewki zrobionej z oczyszczonej skóry linonosa.

Rozbili obóz tuż obok splukanego przez wodę drewna. Clave śmiejąc się przyznał, że powinni byli tak zrobić już wcześniej. Spali na drzewie jeszcze trzy razy: raz w jamie linonosa, dwa razy w głębokich szczerbach w drzewie – pęknięciach zarośniętych „futrem”, które trzeba było najpierw wypalić. Ich odzież pod warstwą sadzy stała się całkiem czarna.

Nauczyli się, żeby nie gotować wody, która zmieniała się wówczas w bulgoczącą, gorącą, szybko puchnącą masę.

Grawitacja wiatrowa wydawała się zmniejszać, aż wreszcie zaczęli niemal płynąć w górę pnia. Merrill była zachwycona i nie mógł tego zmienić nawet kac po grzybie-wachlarzu. Nie można było spać. Wystarczyło krzyknąć i ktoś zaraz rzucał pomocną linę. Glory też czuła się szczęśliwa, nawet Alfin trochę się uśmiechał.

Zdarzały się jednak i minusy. Wody było coraz mniej. Wiatr nie wiał tak mocno i po zawietrznej nie znajdowali już strumienia. Nieraz trafiało się tylko mokre drewno, z którego mogli zlizać wilgoć. Woda była też w miąższu grzyba.

Oto stali teraz przed znakiem DQ, który znalazła Jinny. Wydawał się prawie czysty. A pół klomtera wyżej, na pniu, na tle nieba, niczym biała dłoń, wyraźnie odcinał się kształt grzyba-wachlarza.

– Kolacja? – Term wskazał na niego palcem.

– Pewnie obok rośnie wiele mniejszych – mruknął Clave.

– Ale czy nie wyglądałby pięknie, gdybyśmy weszli z nim na Rynek?

Term podciągnął się do znaku plemiennego, kiedy Clave zawołał:

– Zaczekaj.

– Co?

– Ten znak nie jest zarośnięty, jak wszystkie inne. Term, czy on nie wydaje ci się dziwny?

Taki... zadbany?

– Rośnie tu trochę futra, ale niewiele.

I nagle Term znalazł się wystarczająco blisko, żeby ujrzeć rzeczywistą różnicę.

– Nie ma śladu znaku wykreślenia. Obywatele, to nie jest terytorium Quinnów.

Gavving i Jiovan zostali w tyle, aby pilnować dymu do wędzenia. Widać było, że wiele się nauczyli. Za paliwo służyła im kora oderwana od skraju płata grzyba. Zdrowa kora była odporna na ogień. Krąg węgli, otwarty na kapryśną bryzę, otaczał mięso. Osłonięty ogień nie będzie się palił. Dym się nie podniesie, pozostanie, tłumiąc płomień. Nawet tu, na otwartej przestrzeni, dym wisiał nad nimi jak pulsująca chmura. Ciepło spalania pozostawało w dymie, ogień nie musiał być zatem duży. Gavving i Jiovan pozostali daleko w tyle. Zmiana kierunku wiatru mogła roztrzaskać o pień nieostrożnego obywatela.

Wkrótce trzeba będzie obrócić mięso. Teraz nadeszła kolej Gavvinga, ale nie musiał tego

robić natychmiast.

– Jiovan?

– Co?

Nawet Gavving nie spytałby Jiovana, jak stracił nogę. Nikt by się nie odważył, ale pewna sprawa nie dawała mu spać od wielu lat. Więc spytał:

– Dlaczego wtedy polowałeś sam? Nikt nie poluje sam.

– A ja tak.

– No, dobrze, temat zamknięty. – Gavving wyciągnął harpun. Nabrał powietrza w płuca i zanurzył się w dym. Prawie na oślep sięgnął rękojeścią harpuna nad węglami i obrócił łapy linonosa – jedna, dwie, trzy. Szarpnął mocno za linę, żeby wychynąć na świeże powietrze. Dym poszedł za nim; musiał go odpędzić dłonią, zanim zaczerpnął tchu.

Jiovan patrzył w stronę środka, na małą, zieloną kępkę, która kiedyś była całym jego życiem, na błękitną iskierkę o nazwie Voy. Podniósł głowę i Gavving napotkał jego mordercze spojrzenie.

– Nie jest to coś, o czym opowiadałbym każdemu, kto się napatoczy.

Gavving czekał.

– Dobra. Mam... miałem skłonność do drwin, jak mi mówili. Kiedy prowadziłem polowanie... no cóż, chłopcy mieli się uczyć, po to tam szli, a ja byłem ich nauczycielem. Jeśli ktoś popełnił błąd, nie oszczędzałem go.

Gavving skinął głową.

– Wkrótce zaczęli mi dawać samych niewydarzeńców. Nie mogłem tego znieść, więc zacząłem polować sam.

– Nie powinienem był pytać, ale bardzo mnie to męczyło.

– Zapomnij.

Gavving próbował zapomnieć o czymś innym. W ciągu ostatniego snu obudził się i stwierdził, że brakuje trójki obywateli. Poszedł za dźwiękiem i... ujrzał, jak Clave, Jayan i Jinny cumują liny na korze i unosząc się w powietrzu, produkują dzieci.

Głową miał teraz pełną żądzę i zazdrości, równoważonej nieco obawą przed gniewem Clave'a lub pogardą Jinny (skoncentrował się na niej właśnie, bo uznał ją za odrobinę ładniejszą). Może sobie co najwyżej pomarzyć. Wszystkie poważniejsze potencjalne partnerki pozostały w Kępie Quinna, a Gavving i tak nie mógłby się oświadczyć: nie miał dość lat ani majątku.

To się, oczywiście, zmieni. Powróci (naturalnie!) jako bohater (naturalnie!). A gniew Przywódcy... nie udało mu się wysłać Harpa. Może Clave też mógłby mu się sprzeciwić. Gdyby zdołali powstrzymać głód, Przywódca nie mógłby nic zrobić: byłiby wtedy bohaterami.

Gavving mógłby wybierać i przebierać w partnerkach...

– Dlatego polowałem sam – ciągnął Jiovan. – W dniu, kiedy Glory rozwalila zagrodę dla indyków.

Przez chwilę Gavving nie mógł sobie uzmysłować, o czym mówi Jiovan. Potem uśmiechnął się.

– Harp opowiadał mi o tym.

– Słyszałem. Byłem wtedy pod konarem, przywiązany jedną liną, druga zwisała luźno. Skubałem sobie listki z głową w niebie... no wiesz, czekałem sobie. Była pełnia nocy okluzji Nowego Roku. Słońce, duże i jasne, świeciło tylko dla mnie, a Voy dryfował dokładnie przez środek. I nagle pojawił się indyk, łopocząc pod wiatr, wciąż jeszcze w pełnym pędzie, tyłem. Założyłem szybko sieć na wolną linę i rzuciłem. Złapał się. Nadleciał następny. Miałem więcej siatek i w ciągu kilku chwil na każdym końcu liny miałem po indyku. Ale przyleciały dwa następne, potem cztery i wszystkie z góry. Domyśliłem się, że to nasze, więc rzuciłem koniec liny, do której byłem przycumowany, i złapałem trzeciego...

– Dobrze rzucasz – zauważył Gavving.

– O, pewnie, tego dnia rzucałem doskonale. Ale niebo było pełne indyków i większość i tak by uciekła, a ja wciąż uważałem, że to okropnie śmieszne.

– Aha.

– Dlatego nigdy wcześniej o tym nie opowiadałem.

Gavving nagle domyślił się, co było dalej.

– Chyba przeżyję, jeśli i teraz nie dokończysz tej historii.

– Nie, nie ma sprawy. Naprawdę, to było śmieszne – poważnie powiedział Jiovan. – Ale niebo pełne było indyków i nadleciała rodzina triunów, żeby coś zrobić z tym całym latającym mięsem. Rozdzieliły się i ruszyły za indykami. Nie mogłem zrobić nic innego, tylko ściągnąć moje trzy.

Jiovan nagle przestał się uśmiechać.

– Samiec rzucił się na jednego z moich indyków. Połknął go w całości i próbował odlecieć. Złapał nie tę linę... wyobraź sobie jeden koniec liny zaczepiony do haka tkwiącego głęboko w drewnie, i ta olbrzymia bestia ciągnąca za drugi koniec, a ja w pętli pośrodku. Nagle zobaczyłem, co się dzieje, rozluźniłem pętlę i próbowałem wyskoczyć, ale pętla złapała mnie za nogę, urwała mi ją, a potem wyleciałem w niebo.

– Drzewne żarcie...

– Tak właśnie myślałem, masz rację. Pamiętasz, że wciąż miałem linę w garści? Ale z indykiem na każdym końcu. Indyki miały się jak wściekłe, a ja spadałem. Próbowałem rzucić indyka, naprawdę, myślałem, że się zaczepi w gałęziach, ale gdzie tam! Tymczasem samiec triuna poczuł, że coś go zatrzymało, i nie wiedział co. Ciągnie za linę i czuje, jak mu się coś rusza w brzuchu, więc pluje i rzyga. Chyba tak to się stało. Wiem tylko, że coś plasnęło mi prosto

w twarz. Patrzę, a to martwy indyk pokryty jakąś masą. Złapałem go, przytuliłem do serca i wlałem po linie z powrotem do kępy.

Gavving bał się roześmiać.

– Wtedy podwiązałem to, co zostało z mojej nogi. To, co wisiało luzem, musiałem odciąć. I co, mały, czy Harp opowiedział ci kiedy taką historię?

– Nieee... Drzewne żarcie, oszalałby! Och...

– Byłbym sławny. Nie chcę być sławny w taki sposób.

Gavving przeżuł i to.

– Więc po co mi to teraz mówisz?

– Nie wiem. Moja kolej – poderwał się nagle Jiovan. Nabrał tchu w płuca i zanurzył się w dymie.

Gavving poczuł ogromny ciężar. Zawsze zadaje zbyt wiele pytań. Uśmiechnął się z poczuciem winy, bo właśnie wyobraził sobie Jiovana, usiłującego rzucić linę z indykiem uwiązanym na każdym końcu. Ale co, jeśli Jiovan pożałuje, że to opowiedział?

Ujrzał, jak zza krzywizny pnia wyłania się Clave.

Jiovan pojawił się również, wlokąc za sobą dym, i Gavving musiał wstrzymać oddech, dopóki powietrze się nie oczyści. Jiovan zakaszłał.

– To było tak dawno – rzekł. – Może już tak nie boli. Może po prostu chciałem to opowiedzieć. Może musiałem.

– Wracają – mruknął Gavving. – Ciekawe, co ich tak podnieciło?

Clave ryknął:

– Nie wrócę do domu, dopóki nie dowiem się czegoś o tamtych!

– Ja wiem na ich temat dość dużo – odparł Term. – Wszyscy kiedyś mieszkaliśmy razem w Ciemnej Kępie. Quinnowie odeszli po jakiejś różnicy zdań. Przedtem było to plemię Daltona-Quinna.

– Więc to rodzina.

Sprzeczką stawała się nieco mniej chaotyczna, ale to dlatego, że połowa grupy zawróciła. Nie straciła za to na gwałtowności. Alfin wrzasnął:

– Nie słuchacie. Wykopali nas! Nie wiemy, może nadal uważają, że są z nami w stanie wojny!

– Clave, znaki plemienne są wyczyszczone – wtrącił Term. – Ostatnio nie znajdujemy też tyłu grzybów ani tych skorupiaków. Wydaje mi się, że oni dbają o tę część pnia. Muszą wciąż być w pobliżu. Najlepiej zrobimy, jeśli się stąd wyniesiemy!

– Chcesz uciekać od czegoś, czego nawet nie widziałeś?

– Widzieliśmy insygnia plemienne – odparł Term. – Brak znaku przekreślenia na Q. Może

oni wciąż się nazywają Dalton-Quinn, a my okażemy się intruzami na ich drzewie? I tak minęliśmy równik, jesteśmy na ich terytorium. Clave, wracajmy do domu. Zabijmy jeszcze jednego linonosa, zbierzmy trochę wachlarzy i skorupiaków i wracajmy do domu ze stosem jedzenia. – Clave potrząsnął głową. – Plemię nie będzie już więcej ginęło z pragnienia! Przyniesiemy wodę z pnia...

Clave przekreślił jego słowa gestem dłoni.

– Ta woda i tak dojdzie do kępy. Nie. Chcę się spotkać z Daltonami. Minęły setki lat, nie wiem nawet, jak wyglądają... może znają lepsze metody hodowania roślin ziemskich albo sposoby zdobywania wody? Może hodują żywność, o jakiej nawet nie słyszeliśmy? Trzeba to sprawdzić. Cześć, Jiovan!

– Cześć. Co się dzieje?

– Znaleźliśmy znak plemienny, który nie jest nasz. Pytanie do obywateli: czy pójdziemy się przywitać, zanim zawrócimy do domu? Czy wiejemy od razu?

Term aż podskoczył.

– Nie widzicie, że nie możemy ani walczyć, ani negocjować? Mamy jednego dobrego wojownika, dwie kaleki, chłopca, cztery kobiety i strażnika dziupli i wszyscy zostaliśmy wywaleni z Kępy Quinna. Nie możemy nawet niczego obiecywać...

– Alfin, czy ty też chcesz odejść? – przerwał Clave.

– Tak.

– Jiovan?

– Od czego uciekamy?

– Może od niczego. Ten znak nie był odnawiany od dawna. Drzewne żarcie, przecież susza mogła ich wszystkich zabić! Może będziemy mogli zasiedlić drugą kępę...

Merril wpadła mu w słowo, choć dyszała ze zmęczenia wspinaczką.

– O, nie... Jeśli wszyscy zginęli... nie chcielibyśmy... tam iść... Choroba...

– Chcesz iść dalej czy wracać?

– Nie... chyba wracać, ale... najpierw zabierzmy ten wielki grzyb. To zrobi wrażenie na obywatelach! I uwędźmy jeszcze jednego linonosa... jeśli damy radę. Na razie... przynajmniej wiemy, że na pniu można upolować coś do jedzenia. Musimy o tym powiedzieć Przywódcy...

– Jayan? Jinny?

– Ona mówi do rzeczy – odparła Jinny, a Jayan skinęła głową.

– Gavving?

– Nie mam zdania.

– Drzewne żarcie. Glory?

– Wracamy – odparła. – Od dawna nie jadłam liści.

Clave westchnął.

– Gdybym był pewien, że mam rację, poszlibyśmy. W porządku – jego głos nabrał mocy, stał się dźwięczniejszy. – I tak mamy już dość do noszenia... jeszcze ten wielki grzyb i cokolwiek nam się mięsnego nawinie. Obywatele, zrobiliśmy bardzo wiele dla siebie i dla Kępy Quinna. Wrócimy do domu jako bohaterowie. Teraz nie chciałbym zgubić nikogo po drodze w dół, więc nie sądzcie, że wiatr jest wam dany na zawsze! Będzie silniejszy z każdym kłomterem. Większość drogi w dół pokonamy na linach, niosąc mięso i grzyba.

Ich cele stały się celem Clave'a. Gavving zauważył to i zapamiętał.

Powróciły błyskacze. Minya obserwowała, jak odprawiają swój taniec godowy. Dwa samce stanęły przed jedną samicą z rozpostartymi skrzydłami, a łebek samicy kręcił się od jednego do drugiego z niemal zawrotną szybkością. Decyzje, decyzje...

– Coś cię gryzie, kobieto?

... Decyzje. Co to obchodzi Smittę? Minya podjęła szybką decyzję. Musi z kimś porozmawiać... albo eksploduje.

– Zaczęłam się zastanawiać, czy... czyja się nadaję do Szwadronu Triunów.

Smitta zareagowała zaskoczeniem.

– Naprawdę? Osiem lat temu bardzo chciałaś do nas przystać. Co się zmieniło?

– Nie wiem.

Ale wiedziała. Smitta też to nagle pojęła.

– Nie rozmawiaj o tym z Sal. Nie zrozumie.

– Miałam tylko czternaście lat...

– Wydawałaś się starsza... bardziej dojrzała. I byłaś chyba najładniejszym rekrutem, jakiego mieliśmy.

Minya skrzywiła się.

– Każdy mężczyzna w kępie chciał robić ze mną dzieci. Usłyszałam to chyba na wszystkie możliwe sposoby. A ja po prostu nie chciałam tego robić z nikim. Smitta, przecież po to właśnie jest Szwadron Triunów!

– Wiem. Kim byłabym bez Szwadronu Triunów? Kobieta, urodzona jako mężczyzna, mężczyzna, który chce być kobietą...

– Czy kiedykolwiek chciałaś... – Jakiego słowa użyć? Na pewno nie „robić dzieci”, nie w stosunku do Smitty.

– Chciałam – odparła Smitta. – Z Risherem... kiedyś był znacznie ładniejszy... a potem z Mike'em, chłopakiem od Mistrza Łowczego. – Minya skrzywiła się lekko. Smitta chyba to zauważyła. – Z wszystkiego tego rezygnujemy, wstępując tutaj. Musisz to zdusić w środku. Wiesz przecież.

– Czy ktoś kiedyś...



– Co? Odchodzi? Oszukuje? Alse skoczyła w niebo wkrótce po moim przybyciu, ale nikt naprawdę nie wiedział dlaczego. To jedyny sposób, aby odejść. Jeśli ktoś złapie cię na oszustwie, znam takie, które rozdarłyby cię na strzępy. Jedną z nich jest Sal.

Zaciśnięte zęby utrzymały tajemnicę Minyi. Smitta dopiero teraz dodała:

– Nie daj się złapać na oszustwie. Może nie wiesz, jak obywatele reagują na szwadron. Tolerują nas. Nie chcemy dać plemieniu dzieci, więc wykonujemy wszelkie najbardziej niebezpieczne zadania, jakie ktoś sobie wymyśli. W ten sposób spłacamy dług. Nie prosz jednak zwykłego mężczyzny, żeby... no wiesz, pomógł ci pozostać po obu stronach.

Minya skinęła głową. Zasznurowane usta, zaciśnięte zęby. Trzeba je było tak trzymać wtedy, gdy była z Mike'em! Nie można się było go pozbyć, wtedy, osiem lat temu. Jak mógł się tak zmienić? Czy rozgada?

– Smitta...

– Zostaw. Sal wraca.

Minya podniosła wzrok. W dole widać było cztery sylwetki, cztery kobiety unoszące się na strumieniach gazu i nasion. Nie miały wody. Sal krzyczała coś, ale wiatr zwiewał jej słowa w drugą stronę.

– Marnują strąki – zauważyła Smitta.

Były coraz bliżej, mogły już chwycić się kory. I dopiero wtedy Minya usłyszała radosny wrzask Sal:

– Najeeeeżdźcy!

## ROZDZIAŁ VII

### Dłoń Checkera

Dwie triady ruszyły ku wnętrzu, od czasu do czasu kryjąc się w szczelinach kory. Denisse, ciemnowłosa, wysoka kobieta z triady Thanyi, mniej więcej co minutę wystawiała głowę, szybko rozglądała się dokoła i z powrotem chowała pod powierzchnią.

– Naliczyliśmy sześcioro wokół znaku plemiennego – wyjaśniała Thanya. – Ciemna odzież. Może z Ciemnej Kępy.

– Intruzi na drzewie! – Głos Sal był radosny i pełen zapału. – Nigdy przedtem nie walczyliśmy z najeźdźcami! Byli jacyś obywatele wyrzuceni za bunt, dawno temu... kilkoro z nich zabiło Przywódcę, reszta poszła za nimi. Może osiedli w Ciemnej Kępie? Buntownicy... Thanya, jaką mieli broń?

– Przecież nie pójdziemy i nie zapytamy, prawda? Denisse mówiła, że widziała coś podobnego do ogromnych strzał. Nie potrafiłyśmy nawet określić ich płci, ale jeden nie ma nóg.

Wyminęły szczelinę zarośniętą siwizną.

– Ich sześciu, nas sześć – policzyła Smitta. – Może przeoczyłyście kogoś... nie wiem, czy nie posłać po triadę Jeel.

Sal wyszczerzyła zęby jak wilczyca.

– Nie.

– I nie – dodała Thanya w imieniu swojej triady.

Minya nie powiedziała nic – przywódczyni triady przemówiła w jej imieniu – ale poczuła ogromną radość. Właśnie teraz najbardziej potrzebowała porządnej walki.

Denisse przycupnęła po kolejnym rekonesansie.

– Intruzi – powiedziała śmiertelnie spokojnym tonem. – Mamy tu intruzów, trzysta metrów w głębi naszego terytorium i sto na prawo, kierują się na zewnątrz. Co najmniej sześciu.

Idźmy powoli – zaproponowała nagle Thanya. – Chciałabym przesłuchać choć jednego. Nie wiem, czego oni tu chcą.

– A co nas to obchodzi? To, czego chcą, nie należy do nich.

Thanya odpowiedziała jej uśmiechem.

– Nie jesteśmy grupą dyskusyjną, tylko Szwadronem Triunów. Chodź, zobaczymy!

Mozolnie torowały sobie drogę przez korę. Wreszcie Denisse wystawiła głowę i szybko schowała się z powrotem.

– Dotarli do Dłoni Checkera.

Czyszczenie pnia z pasożytów było jednym z zadań Szwadronu Triunów. Grzyby-wachlarze były niebezpieczne dla drzewa i zarazem jadalne; ale jeden z nich cieszył się specjalnymi

przywilejami. Znalaziono go około dwudziestu lat temu i od tego czasu pozwolono mu rosnąć dalej. Minya słyszała o niezwykłym pupilku szwadronu. Wysunęła głowę nad korę...

Byli tam: mężczyźni i kobiety, o całkowicie ludzkim wyglądzie.

– Więcej niż sześciu: ośmiu... nie, dziewięciu, ubrani jak brudni cywile. Pokryte sadzą czerwone ubrania, bez kieszeni... Rąbią trzon! Zabijają go... Zabijają Dłoń Checkera!

Smitta wrzasnęła i rzuciła się w tamtą stronę.

Nie było rady. Sal ryknęła: „Naprzód w imię Golda!” i Szwadron Triunów rzucił się w kierunku intruzów.

Wachlarz sterczał z pnia niby gigantyczna dłoń, biała z czerwonymi paznokciami. Jego łodyga wydawała się z daleka nieproporcjonalnie cienka i delikatna, ale okazała się w rzeczywistości grubsza od torsu Gavvinga. Zaczął ją siec sztyletem. Jiovan zabrał się za drugą stronę.

– Ściągniemy go w dół pnia – dyszał Jiovan. – Ale jak przedzemy się z nim przez kępę do Rynku?

– Może nie będzie trzeba – wtrącił Clave. – Przyprawimy plemię do grzyba. Niech sami sobie z niego wycinają kawałki, takie, jakie im będą potrzebne.

– Najpierw odetnijcie brzeg – poradziła Merril.

Term zaoponował:

– Uczony będzie chciał dostać taki czerwony kawałek.

– I na kim go wypróbuje? No dobrze, zostawcie trochę frędzli dla Uczonego. Ale tylko trochę!

Trzon był twardy. Zrobili pewne postępy, ale ramiona Gavvinga nie nadawały się na razie do użytku. Wycofał się zatem, ustępując miejsca Clave'owi. Przyglądał się tylko, jak cięcie się pogłębia.

Może już go wystarczająco osłabili?

Wbił kołek w korę i przywiązał do niego linę. Skoczył na grzyb, uderzając całą siłą nóg.

Wielka dłoń pochyliła się pod jego ciężarem, po czym odskoczyła, psotnie podzucając go w niebo. Przekreślił się, chwycił linę i nagle ujrzał coś, czego nie dostrzegli inni, bo byli zbyt blisko pnia.

– Pożar!

– Co? Gdzie?

– Na zewnątrz, pół klomtera stąd, może mniej. Nie wygląda na duży.

Słońce skryło się za zewnętrzną kępą, częściowo pogrążając pień w cieniu. Gavving widział tylko pomarańczowy żar w otoczeniu chmury dymu.

Kątem oka pochwycił błysk. Mocno pociągnął za linę, zanim jego mózg odnotował, że koło

biodra ze świstem przeleciał miniaturowy harpun.

– Drzewne żarcie! – wrzasnął. Nie, to nie oddawało sytuacji. – Harpuny!

Jiovan chwiał się niezdecydowanie; spod łopatki wystawało mu ostrze. Clave walił obywateli po ramionach i pośladkach, żeby szybciej się chowali. Coś przeleciało nad nimi w pewnej odległości: kobieta, krępa, rudowłosa baba odziana w szkarłat, z kieszeniami od piersi po biodra, co sprawiało, że wyglądała jak w ciąży ze wszystkich stron. Lecąc przez niebo, rozłożyła coś w rękach – coś, co błyszczało, jak smuga światła.

Ich oczy spotkały się i Gavving wiedział, że to broń, zanim jeszcze zdążyła wystrzelić. Chwycił się kory i przetoczył. Coś przeleciało obok niego jak maleńka iskra i łupnęło w korę tuż obok jego kręgosłupa: miniharpun z żółtymi i szarymi piórami błyskacza na końcu. Przetoczył się jeszcze dalej, żeby skryć się za grzybem-wachlarzem.

Clave'a nie było w zasięgu wzroku. Odziani w purpurę wrogowie płynęli wzdłuż ściany kory, wrzeszcząc coś bez sensu i zadając śmiertelne ciosy. Czerwonowłosa kobieta miała nogę przebitą harpunem. Wyrwała go, odrzuciła i zaczęła rozglądać się za celem.

Wybrała najłatwiejszy: Jiovana, który nawet nie próbował się ukryć. Dostał drugi miniharpun prosto w pierś.

Używały strąków. Szczupły, odziany w purpurę mężczyzna zauważył Gavvinga, ale zbyt mocno napiął broń i cięciwa pękła. Wrzasnął z wściekłości i otworzył strąg, aby dostać się do Gavvinga. W drugiej dłoni trzymał metrowej długości nóg.

Gavving odskoczył z drogi, wyciągnął własny nóg i szarpnął linę, żeby się podciągnąć. Mężczyzna z hukiem uderzył w korę. Zanim doszedł do siebie, Gavving siedział mu na plecach. Ciągł po gardle przeciwnika. Nieludzko silne palce wpiły mu się w ramię niczym zęby mieczoptaka. Gavving zwolnił chwyt i wbił nóg w bok tamtego. Szybko! Uchwyt zelżał.

Drzewo zadygotało.

Gavving nie od razu to zauważył, bo sam dygotał z wrażenia. Ujrzał, jak ogromna ściana kory zaczyna się trząść, ale stwierdził, że to najmniejszy z jego problemów i rozejrzał się za przeciwnikiem.

Rudowłosa kobieta wylądowała na pniu opodal, nie zważając na krew plamiącą jej spodnie. Patrzyła tylko na dygoczące drzewo. Czy znajduje się poza zasięgiem? Gavving spróbował rzucić harpunem i natychmiast schował się za wielki wachlarz.

Niepotrzebnie. Przebił ją na wylot. Spojrzała w jego stronę ze zdumieniem i umarła.

Odziani w purpurę przeciwnicy krzyczeli do siebie, ale ich głosy tonęły w coraz głośniejszym huku. Jiovan nie żył, przebity dwiema pierzastymi strzałami. Jinny trzymała przed sobą mniejszy grzyb-wachlarz, w drugiej ręce dzierżyła harpun. Term wyturlał się z zagłębienia w korze, zobaczył, co robi Jinny, i poszedł w jej ślady. Miniharpun uderzył w tarczę Jinny. Dziewczyna wyszczerzyła zęby i rzuciła się w tamtym kierunku. Jayan i Term deptali jej po

piętach.

Gavving przyciągnął harpun, a wraz z nim martwą kobietę. Jej ramiona i nogi drgały lekko. Poczuł, jak gardło ściska mu fala mdłości. Wyrwał harpun i zajął się oglądaniem dziwnej, lśniącej broni, którą kobieta wciąż ściskała w dłoni. Nie dane mu było dokończyć oględzin.

Drzewo zadygotało znowu. Niski, stłumiony ryk trwał dalej, taki dźwięk musi towarzyszyć rozpadaniu się światów. Kora usunęła się spod nóg Gavvinga, rudowłosa trup przetoczył się, wymachując kończynami. Chłopak próbował stanąć na nogi, gdy ktoś skoczył na niego z boku.

Ciemne włosy, ładna, blada twarz w kształcie serca... i purpurowe ubranie! Gavving dźgnął harpunem wprost w oczy napastniczki.

– Ogień! – krzyknęła Tanya. – Odetnie nas od kępy! Musimy go wyminąć! – Odpalała strąk po strąku, przemykając po korze ku zewnętrznej stronie.

Minya usłyszała, ale nie przystanęła. Smitta nie żyje, Sal nie żyje, a zabił je jeden chłopiec. Zakradła się od tyłu.

Chłopak nosił szkarłatny strój, jak obywatele. Jego jasne włosy podwijały się lekko w kształt hełmu, broda była ledwie widoczna. Twarz wykrzywił mu grymas strachu i morderczej furii. Rzucił się na nią, odskoczył przed ciosem jej miecza, kora wymknęła mu się z palców stóp. Przez sekundę chciała się na niego rzucić, zabić go w imię honoru triady Sal, a potem wiać!

Nie było czasu. Thanya miała rację. Ogień mógł odciąć ich wszystkich, zablokować z dala od Kępy Daltona-Quinna... no i trzeba było odzyskać łuk Sal. Minya okręciła się na pięcie i odskoczyła, odpalając strąk, aby nabrać szybkości.

Ciało Sal unosiło się swobodnie, w martwej dłoni zaciskając plemienny skarb. Za plecami Minyi jasnowłosa młodzik uchwycił się kory dla równowagi i rzucił swoją ręczną strzałę. Minya wierzgnęła, aby zmienić kierunek i pozwoliła, aby broń ze świstem przeleciała obok. Odwróciła się i ujrzała jakiś kształt, który nagle przesłonił jej widok.

Nie był to normalny, ludzki kształt. Przez chwilę znieruchomiała, zdumiona; nadal nie pojmowała, co się z nią dzieje, kiedy czyjaś pięść grzmotnęła ją w twarz.

Gavving udał, że nie słyszy wrzasków odzianych w purpurę kobiet. Dwie z nich uciekały teraz, strzelając ze strąków, aby unieść się dalej, ponad pień. Trzecia skakała zygzakiem wzdłuż pnia. Za to ciemnowłosa, która próbowała go zabić, teraz cofała się bokiem do miejsca, gdzie Gavving pozostawił... pozostawił tę krępa, rudowłosą kobietę, ściskającą zakrzywiony kawał srebrzystego metalu.

Merril wyskoczyła ze szczeliny dosłownie przed nosem ciemnowłosej. Jej pięść wystrzeliła i ugodziła obcą w szczękę z takim trzaskiem, że Gavving usłyszał go nawet poprzez...

... przez niski, rozdzierający dźwięk, który do tej pory ignorował, walcząc o życie; dźwięk

przywodzący na myśl niebiosą pękające na pół. Teraz usłyszał wysoki, przenikliwy wrzask Terma, pełen paniki, choć słowa ginęły w huk.

Ale Gavving nie musiał ich słyszeć. On już wiedział.

– Clave! Clave!

Clave wyskoczył ze szczeliny i krzyknął:

– Gotów! Czego chcecie?

– Musimy skakać – wrzasnął Term. – Wszyscy!

– O czym ty mówisz?

– Drzewo pęka. Tylko tak przeżyjemy!

– Co?

– Każ wszystkim odskoczyć jak najdalej!

Clave rozejrzał się wokoło. Jiovan unosił się obok, martwy. Przywiązany, ale martwy. Term już płynął w powietrzu, zwińjąc linę. Gavving... Gavving przebiegł po drgającej korze, wyrwał coś z dłoni odzianego w purpurę trupa i ruszył dalej wzdłuż pnia. Jayan i Jinny nie było w zasięgu wzroku. Alfin warknął, widząc, że przeciwniczki znikają w zewnętrznej chmurze dymu. Glory i Merrill również wytrzeszczały oczy z niedowierzaniem.

„Podejmij decyzję. Teraz. Wiesz zbyt mało, ale musisz zdecydować. Właśnie ty. Jak zawsze ty”.

Gavving. Gavving i Term to starzy przyjaciele. Czy Gavving o czymś wiedział? Porwał broń napastniczki i biegł dalej po pniu... biegł po mięso, które pozostawili, idąc po grzyb. Oczywiście, będą potrzebowali jedzenia, jeśli opuszczą pień.

Umysł Terma mógł nie wytrzymać. Ale Gavving ufał mu... i wszystko działo się jednocześnie: drzewo dygotało i jęczało, obcy zabijali i uciekali... Clave miał w plecaku strąki. Będzie mógł sprowadzić obywateli z powrotem, kiedy wszystko się uspokoi.

– Term, wiązać liny do drzewa? – zawołał.

– Nieee! Drzewne żarcie, nie!

– Dobrze! – Przekrzykiwał hałas przypominający koniec świata. – Jayan, Jinny, Glory, Alfin, wszyscy skakać! Skakać z dala od drzewa! Nie przywiązujcie się!

Reakcje były różne. Merrill wytrzeszczyła na niego oczy, przemyślała to sobie i odepchnęła się. Glory tylko się gapiła. Jayan i Jinny wyskoczyły z ukrycia jak para spłoszonych ptaków zrywających się do lotu. Alfin wczepił się w korę, jakby walczył o życie. Gavving? Gavving walczył o uwolnienie grubej nogi linonosa z kawałka mięsa.

Kora dygotała w dalszym ciągu, dźwięk wypełniał drzewo i niebo, purpurowo odziani zabójcy zniknęli z pola widzenia i... nikt nie interesował się grzybem. Clave rzucił się do trzonu.

Wachlarz ugiął się pod jego ciężarem, oderwał i powoli obrócił się kapeluszem w dół. Palce

Clave'a pogrzyły się w białym miąższu. Masa zdawała się nabierać prędkości. Kora coraz szybciej tańczyła pod kręcącym się grzybem, ognisty wiatr powiał Clave'owi w twarz i ucichł, zanim ten zdążył nabrać tchu.

To niemożliwe. Oszołomiony Clave ujrzał, jak pęki płomieni cofają się w obu kierunkach. Nie ma drzewa. Obywatele unoszą się w powietrzu. Nawet Alfin w końcu skoczył. Ale drzewo, gdzie jest drzewo? Nie ma żadnego drzewa. Grzyb w zaciśniętych pięściach Clave'a zmienił się w półpłynną miazgę. Wrzasnął, otaczając ramionami trzon. Byli zagubieni w przestworzach.

## ROZDZIAŁ VIII

### Plemię Quinna

Drzewo pękało z hukiem, zasypując deszczem drzazg skaczącego po drgającej, pękającej korze Gavvinga. Miliony owadów wylały się z ogromnej, czarnej dziury, która sięgała pewnie na klomter do wnętrza drzewa. Gavving wrzasnął i zamachał rękami, by odpędzić brzęcząca chmurę. Usiłował oczyścić powietrze na tyle, by odetchnąć.

Drzewo było podstawą bytu, a teraz nastąpił jego koniec. Gdyby Gavving przestał myśleć, strach zmroziłby go na śmierć. Uczepił się jednej, jedynej trzeźwej myśli: „Łapać mięso i wiać!”.

Nogi linonosa latały luzem w chmurze płonących węgli. Jedna szynka była w zasięgu ręki. Gavving złapał linę, żeby ją wyciągnąć z węgla, i chwycił, opierając o ramię. Gorący tłuszcz sparzył mu kark. Wrzasnął i odskoczył.

Co teraz? Nie był w stanie myśleć w tym apokaliptycznym hałasie. Zapiął plecak, podwiązał do niego nogę linonosa, zaparł się nogami i skoczył w niebo.

Chmury owadów i drzewny pył skrywały częściowo rozedrgane, trzeszczące drzewo. Mijały go drzazgi i odłamki drewna wielkości sztyletów.

Gavving oparł jeden ze strąków o plecak i ukręcił czubek. Nasiona i zimny gaz ze świstem przeleciały obok. Strąk wyrwał mu się z rąk, plując w twarz nasionami, i znikł.

Drżącymi rękami wydobył drugi strąk. Krople krwi zaczęły spływać po twarzy i szyi. Powtórzył próbę, przygryzając język. Tym razem utrzymał strąk w rękach, dopóki nie ucichł.

Świat rozpadł się na części.

Gavving patrzył, a jego przerażenie powoli zmieniał się w nabożny lęk. Ognisty wiatr musnął go i pozostawił w przestworzach. Dwie ogniste kule rozstały się w przeciwne strony, a jego rodzinne drzewo stało się dwoma kawałkami puchu połączonymi tylko nieskończoną liną dymu.

Niewiarygodne! Kto miał nadzieję, że przeżyje tak ogromną katastrofę? Całe Plemię Quinna na pewno zginęło... ta myśl była zbyt niewiarygodna, by objąć ją rozumem. Wszyscy, z wyjątkiem obywateli Clave'a, a i oni stracili Jiovana. Kto więc pozostał? Rozejrzał się wokół siebie.

Nikt?

Użył obu swoich strąków i teraz unosił się w przestworzach, zagubiony. Przynajmniej nie będzie głodował...

Machanie ramionami nie przerwało obrotów Terma. Nie chciał marnować strąków tylko po to, by się zatrzymać. Rozpostarł nogi i ramiona jak rozgwiazda i to spowolniło wirowanie na tyle,



że mógł szukać tych, którzy ocaleli.

Poczuł, że lewą stronę twarzy ma wilgotną. Palcami namacał krwawiące rozcięcie od skroni po podbródek. Nie bolało. Szok? Pewnie tak, ale miał ważniejsze sprawy na głowie.

Obok unosiły się trzy ludzkie sylwetki: purpura naznaczona szkarłatem. Żołądek podszedł mu do gardła. Sami są sobie winni, on nie przybył tu, aby zabijać.

Gigantyczny grzyb-wachlarz płynął swobodnie, obracając się powoli. Do jego trzonu uczepiony był Clave. Dobrze. Clave wciąż miał na plecach plecak. Jeszcze lepiej. Wciąż mają swój magazyn świeżych strąków. Ale dlaczego Clave nic nie robi, żeby się uratować?

Czyjeś stopy nad głową. Jayan i Jinny obracały się powoli wokół własnych splecionych dłoni. Wyglądało to prawie jak taniec. Rozpostarły się tak, że znacznie zredukowały wirowanie. Potrafią myśleć – i ani śladu paniki.

Merrill była nieco bliżej. Odepchnęła się zbyt słabo samymi ramionami i ogarnął ją podmuch drzewa.

Ryk ginącego świata ucichł nieco, umożliwiając słyszenie słabszych dźwięków. Term usłyszał cichy jęk. Alfin na szczęście zdołał skoczyć. Miotał się, kręcił i krzyczał, ale był bezpieczny.

Term nie mógł trafić na Gavvinga ani na Glory, ani Jiovana. Ciało Jiovana musiało zginąć wraz z drzewem, ale gdzie byli pozostali? I dlaczego Clave nic nie robi? On i jego grzyb odpływali w dal.

Term westchnął. Zdjął plecak z ramion i odszukał strąki. Myśliwi nosili je ze sobą na wypadek, gdyby wypadli w niebo, ale tak naprawdę żaden z myśliwych, którzy spadli, nigdy nie powrócił, przynajmniej nie za pamięci Terma. Zrobił to bardzo ostrożnie: najpierw włożył plecak, chwycił strąk obiema rękami i oparł go o brzuch. Kiedy Clave był mniej więcej za jego plecami, szybko i zręcznie ukreślił koniec strąka.

Strąk wbił mu się w brzuch. Term jęknął. Manewrując końcem strąka, usiłował się zatrzymać, ale odrzut już się skończył. Puścił strąk, który odskoczył na resztkach gazu.

Obejrzał się przez ramię i stwierdził, że grzyb-wachlarz płynie w jego stronę. Clave wciąż nie zrobił nic konstruktywnego i jeszcze nie zauważył Terma.

Dym z katastrofy podzielił niebo od końca do końca. Gęste, migoczące chmury czerni uwalniały się z jaśniejszych obłoków. Te same owady, które wyżarły drzewo, odlatywały teraz w poszukiwaniu następnej ofiary.

W smudze dymu unosiły się szczątki drzewa. Term ujrzał duże kawałki kory i rozdartego drewna. Chmura błyskaczy krążyła w panice, a wśród nich jakiś łopoczący szczątek – może linonos wypłoszony z legowiska. W całym tym zamieszaniu chmura ciał i obywateli rozpraszała się powoli.

Daleko w stronę Voy Gavving manewrował kawałem wędzonego mięsa prawie tak dużym,

jak on sam. Trudno go będzie dosięgnąć. Daleko zaszedł, żeby to mięso uratować, a odrzut popchnął go pewnie jeszcze dalej. Gavvinga zostawimy sobie na koniec... miejmy nadzieję.

Grzyb otarł się o Terma, który natychmiast go złapał. Poczł, jak miąższ poddaje się jego dłoniom. Clave gapił się na niego jakby w zadumie.

– Co się stało? – zapytał.

Bezpieczny.

– Drzewo się rozpadło, Clave. Będę potrzebował czegoś z twojego plecaka. Musimy zacząć ratować obywateli.

Clave nie pomagał, ale też się nie opierał, gdy Term przeszukiwał jego plecak. Mogli użyć grzyba jako bazy operacyjnej: najpierw uratują Alfina, ponieważ jest najbliżej... Wziął sześć strąków. Przesunął się nieco bliżej środka ciężkości grzyba i odpałił najpierw jeden strąk, a potem drugi.

– Drzewo się rozpadło?

– Sam widziałeś.

– Jak? Dlaczego?

Term oceniał odległości. Szerokim zamachem rzucił linę. Lina musnęła plecy Alfina, który wykręcił się i chwycił ją z całych sił. Nie próbował jej związać. Term musiał to zrobić sam. Alfin patrzył tylko w bezmyślnym przerażeniu. Dopiero na ostatnim metrze rzucił się do przodu i owinał wokół trzonu, zatapiając palce w miąższu.

Długa dłoń owinęła się wokół szyi Terma. Smukłe, silne palce nakryły kciuk, zacieśniając się niczym stalowa obroza. Poczł w uchu gorący oddech Clave'a.

– A teraz powiesz mi wszystko!

Term zamarł. Clave zwariował.

– Powiedz, co się stało.

– Drzewo się rozpadło.

– Dlaczego?

– Może rozsadził je ogień, ale i tak nadszedł już jego czas. Clave, wszystko w Dymnym Pierścieniu znajduje jakiś sposób, aby przeżyć. Jakiś sposób, aby znaleźć się w medianie, gdzie jest powietrze i woda. A jak sądzisz, skąd są strzałostrąki?

Dłoń popuściła nieco. Term nie przestawał mówić.

– To jest sposób rośliny na przeżycie. Jeśli roślina zawędruje za daleko od mediany, za głęboko w rejon torusa gazowego...

– Czego?

– Na Ziemię, co się tu dzieje? – zapytał Alfin.

– Clave chce wiedzieć, co się stało. Alfin, czy możesz posterować grzybem i złapać jeszcze paru naszych? Masz... – podał mu zapas strąków.

Alfin wziął je i przez dłuższą chwilę zastanawiał się, co z nimi zrobić. Term nie zwracał na niego uwagi, tylko ciągnął dalej:

– Dymny Pierścień biegnie po medianie o wiele większego obiektu. Jest to torus gazowy, gdzie cząsteczki... kawałeczki powietrza mają długie uśrednione drogi swobodne. Powietrze w torusie jest bardzo rzadkie, ale trochę go jest. Robi się gęściejsze w okolicach mediany. Dlatego tu właśnie znajdujesz wszystkie rośliny, glebę i wodę. Tym właśnie jest Dymny Pierścień: najgęstszą częścią torusa gazowego, dlatego właśnie tu chcą pozostać wszystkie żywe istoty.

– Bo tu mogą oddychać. W porządku, wal dalej.

– Wszystko w Dymnym Pierścieniu może w jakiś sposób manewrować. Zwierzęta najczęściej mają skrzydła. Rośliny... no, przynajmniej niektóre z nich mają strzałostrąki. Wypluwają nasiona w stronę środka mediany, gdzie mogą się one rozwijać i rosnąć, lub wystrzelają jałowe nasiona w stronę torusa gazowego, a odrzut popycha wtedy roślinę w kierunku mediany. Są też rośliny, które wypuszczają długie korzenie, chwytające wszystko, co przelatuje po drodze. To latawce...

– A dżungle?

– Nie... nie wiem. Uczony nigdy...

– Zapomnij o tym. Co z drzewami?

– A, to jest rzeczywiście ciekawe. Uczony to wymyślił, ale nie potrafił udowodnić...

Dłoń zacisnęła się mocniej. Term wyrzucił z siebie bezładny strumień słów:

– Jeśli całkowite drzewo odpadnie za daleko od mediany, zaczyna obumierać. Umiera od środka. Robaki je zjadają. Są symbiontami, nie pasożytami. Kiedy drzewo przegnije, rozpada się. Patrz, połowa leci jeszcze dalej, a połowa kieruje się w stronę mediany. Część przeżywa, część obumiera... i tak to lepsze niż nic.

Clave przeżuwał to w zadumie.

– Która połowa? – zapytał wreszcie.

– Wschód kieruje cię na zewnątrz, z zewnątrz kieruje cię na zachód, zachód...

– Co robisz?

– Próbuję sobie przypomnieć. Byliśmy za daleko w kierunku Voy, więc nasz koniec drzewa... – Dopiero wtedy go to uderzyło. Nagłe objawienie ścisnęło go za gardło.

W chwilę później to samo uczyniły palce Clave'a.

– Mów, ty manusie. Mam już potąd twojego gadania szyfrem!

Term odezwał się schrypniętym głosem:

– Przywódco, możesz nazywać mnie Uczonym.

Dłoń rozluźniła chwyt.

– Plemię Quinna już nie istnieje. Teraz my jesteśmy Plemieniem Quinna.

Alfin przerwał długą ciszę, która nastąpiła po tak straszliwej deklaracji.

– Cieszysz się, Term? Miałaś rację. Drzewo umierało.

– Zamknij się – odparł Clave. Zdjął dłoń z szyi Terma. Może to błąd, może nie, ale będzie musiał teraz przeprosić. Na razie wspiał się na skraj wachlarza. Jayan i Jinny zbliżały się powoli, obserwując jego ruchy, w rytmie własnych obrotów.

Nigdy nie czuł się tak bezradny, tak przerażony koniecznością podjęcia decyzji. Martwiło go, że Term i Alfin widzieli go w takim stanie. Spróbował się odezwać i stwierdził, że mówi niemal normalnie.

– Są bardzo blisko. Dobra robota, Alfinie. Teraz polecimy po Merril. Nigdzie nie widzę Glory.

Term odezwał się cicho:

– Ja też jej nie widziałem od... od... – nerwowo potarł gardło.

– Mogła nie skoczyć. Zostało nas siedmioro... siedmioro. – Rzucił linę. Jinny chwyciła ją palcami stóp i Clave ściągnął je obie.

– Witajcie w tym, co pozostało z Plemienia Quinna – powiedział.

Uwiesiły się na nim bardziej z przerażenia niż z czułości. Jinny odsunęła się lekko, żeby spojrzeć mu w twarz.

– Zginęli? Wszyscy zginęli? – Zupełnie jakby już się tego wcześniej domyślała.

– Dlaczego Uczony nie widział, że to nadchodzi? – zapytał Alfin.

– Widział – odparł Term.

– Drzewne żarcie! Więc dlaczego został?

– Był starym człowiekiem. Nie potrafiłby wspinać się pięćdziesiąt kłomterów w górę drzewa. Alfin otworzył szeroko usta.

– Ale, ale to tak, jakby zamordować wszystkich tych, którzy mogli się wspinać!

Nie było na to czasu. Clave rzucił tylko:

– Alfin, patrz, co robisz.

Alfin otworzył dwa strzałostrąki, potem jeszcze jeden. Wachlarz dryfował w stronę Merril, która czekała, o dziwo, ze stoickim spokojem. „Dzieci!” – mruknął pod nosem.

Gdzieś z boku spostrzegł ruch.

Ciało, które Clave wziął za dryfującego trupa, poruszyło się. Wskazał je palcem.

– Jeden zabójca żyje.

Patrzyli. Kobieta już się nie miotła. Przywiązała linę do długiego noża i rzuciła. Trafiła w martwą towarzyszkę i przyciągnęła ją ku sobie. Przeszukała ciało i z powrotem pchnęła w kierunku pozostałych.

Chyba nie znalazła wiele, ale musiały to być ważne rzeczy. Odpaliła dwa strąki po kolei.

Odrzut poniósł ją w kierunku Voy.

– Nie leci tutaj – mruknął Alfin. – Nie leci do domu. Ciekawe, co ona sobie myśli?

– Nie nasza sprawa.

Merril chwyciła linę rzuconą przez Alfina i przyciągnęła się bliżej. Na samym grzybie nie było już miejsca.

– Widziałaś gdzieś Glory? – zapytał Clave.

– Trzymała się kory jak topielec, kiedy ją widziałam po raz ostatni. Była na zewnętrznym kawałku. Gavving jest w kierunku wnętrza, dość daleko.

– Idziemy po niego. Mam nadzieję, że zdążymy.

W tej chwili sprawa stała się oczywista. Kobieta w purpurze minęła ich; zmierzała w stronę Gavvinga.

Gavving obserwował, jak się zbliża. Nie mógł zrobić wiele więcej. Widział, że kobieta go obserwuje. Jej twarz nie była już wykrzywiona grymasem gniewu. Gavving ujrzał króciutkie ciemne włosy, trójkątną twarz z dziwnie wąskim podbródkiem, zamyśloną, jakby go oceniała.

Zaraz go minie.

Nie wiedział, co robić w tej sytuacji. Nie chciał umierać sam, a już na pewno nie miał zamiaru zdychać przebity tymi miniharpunami. Była już bardzo blisko. Sięgnęła przez ramię i wyjęła przywiązany miniharpun. Gavving mógł tylko próbować zasłonić się mięsem, gdy rozkładała swoją dziwną broń. Spojrzała mu wprost w oczy i cisnęła ją.

Pierzasty harpun pogrążył się w ciepłym mięsie.

Gavving pospiesznie wyciągnął nóż i sięgnął w kierunku jej liny.

– Nie, nie, nie! – krzyknęła. – Pozwól mi żyć! Mam wodę! Mam strąki! Błagam!

Dziwnie przekreślała słowa, ale rozumiał, co mówi.

Może być. Odkrzyknął:

– Nie ruszaj się. Nie przyciągaj mnie. Muszę pomyśleć.

– Jestem posłuszna.

Wisiła w powietrzu na uwięzi, nieruchoma.

– Masz wodę, a ja mam jedzenie. A jeśli mnie zabijesz i zatrzymasz i jedno, i drugie?

– Mój miecz – odparła i wyjęła długi nóż. Rzuciła broń w jego stronę. Zaskoczony Gavving wyciągnął rękę i udało mu się chwycić miecz za rękojeść.

– Mój łuk – powiedziała i zaledwie miał czas wetknąć nóż w mięso, kiedy rzuciła mu tę rozciąganą broń. Złapał ją również.

I co teraz? Po prostu czekała.

– Czego chcesz?

– Chcę przyłączyć się do was, do waszych ludzi. Nie ma już nikogo innego.

Miał teraz tyle broni, że mógł się nią obwiesić, no i co z tego? Jeśli rozdziela ich tylko czterdzieści kilo wędzonego mięsa, każde z nich może zabić drugie w dowolnym momencie. Kiedyś przecież będzie musiał spać... a ona wciąż czeka.

Nagle pomyślał: „A dlaczego nie? I tak jestem martwy”.

– Chodź! – zawołał.

Zwinęła linę i podpłynęła. Gavving trzymał plecak, ale ona uwiesiła się na mięsie, nie zastanawiając się nawet, czym to się skończy dla jej purpurowego ubrania. Z jednej z tuzina kieszeni, które nadawały jej ciału dziwny, kłocowaty wygląd, wyjęła strąk, nastawiła i ukreśliła koniec. Kiedy się wyczerpał, ich prędkość zmieniła się nieco. Użyła kolejnego strąka. I jeszcze jednego.

– Skąd masz aż tyle? – zapytał.

– Zabrałam je moim towarzyszkom.

Ich ciałom. Gavving odwrócił się. Plemię Quinna wisiało teraz w jednym gronie wokół...

– Dłoń Checkera – powiedziała jego przeciwniczka. Miał problemy ze zrozumieniem jej dziwnej wymowy. – Wszyscy są przyczepieni do Dłoni Checkera. Bardzo dobrze. Grzyby są jadalne.

– Znam to słowo. Checker. Term go użył, ale nigdy nikomu nie powiedział, co oznacza.

– Nie powinniście byli atakować Dłoni Checkera. Hodujemy... hodowałyśmy go.

– Dlatego zabiłyście Jiovana? Z powodu grzyba?

– Za to, i za powrót z wygnania. Zostaliście wygnani za zamordowanie Przywódcy.

– To dla mnie nowina. Jesteśmy na Kępie Quinna od ponad stu lat.

Skinęła głową, jakby to nie miało większego znaczenia. Była dziwna... była obca. Gavving znał wszystkich mężczyzn i wszystkie kobiety i dzieci w Kępie Quinna. Ta obywatelka spadła na niego z nieba, kompletnie nieznana. Nie był nawet pewien, czy powinien jej nienawidzić.

– Chce mi się pić – powiedział.

Podawała mu bukłak ze strąką, do połowy wypełniony wodą. Napił się.

Gromadka stanowiąca Plemię Quinna była teraz odrobinę bliżej. Ale może mu się tylko zdawało.

– I co teraz zrobimy? – zapytał. – Używasz strąków z taką wprawą, że chyba lepiej czujesz się w przestworzach niż my. Możesz nam powiedzieć, co robić dalej? Kępa Daltona...

– Kępa Daltona-Quinna – poprawiła go.

– Wasza strona drzewa jest prawdopodobnie bezpieczna, ale wiatr wypycha ją na zewnątrz. Nie mam pojęcia, jak do niej dotrzeć. Jesteśmy zgubieni. – Nagle poczuł, że nie może dłużej walczyć z własną ciekawością. – A kim ty właściwie jesteś?

– Minya Dalton-Quinn.

– Jestem Gavving Quinn – powiedział po raz drugi w życiu. Pierwszy raz miał miejsce, gdy

odbywał rytuał wejścia w dorosłość. Spróbował jeszcze raz: – Kim jesteście? Dlaczego chcieliście nas zabić?

– Smitta była... gwałtowna. Niektóre z nas w Szwadronie Triunów są właśnie takie, a wy ścinaliście Dłoń.

– Szwadron Triunów. Głównie kobiety?

– Same kobiety. Nawet Smitta, formalnie. Służymy kępie jako wojownicy.

– Dlaczego chciałaś zostać wojowniczką?

Gwałtownie potrząsnęła głową.

– Nie chcę o tym mówić. Czy twoi obywatele mnie przyjmą, czy zabiją?

– Nie jesteśmy... – Zabójcami? Sam zabił dwie osoby. Przyszło mu do głowy, że jeśli Term dobrze go wyszkolił, to... chociaż Uczony złołby im obu skórę za takie gadanie... to znaczyłoby... że połowa drzewa należąca do Minyi, odpadając od Voy, wychodziła również ze strefy suszy. Właśnie.

– Czy mogę im to powiedzieć? – zapytał. – Jeśli wróciły do odległej kępy, zajmiesz się tym, abyśmy stali się członkami waszego plemienia. Będzie lepiej, jeśli ja im to powiem. No to jak?

Nie odpowiedziała od razu, dopiero po chwili.

– Muszę pomyśleć.

Mięso i grzyb mijaly się ze sporą prędkością, gdy Clave rzucił obciążoną linę. Zarezerwował na to ostatni strąk. Może to jeszcze jeden błąd. Teraz mają tylko jedną szansę... ale nieznajoma bez trudu złapała linę i szybko ściągnęła. Przygotowali się na odparcie wzajemnego wirowania.

Gavving krzyknął poprzez dzielącą ich odległość:

– To Minya z Plemienia Daltona-Quinna. Chce się do nas przyłączyć.

– Jeszcze nie ciągnij. Czy jest uzbrojona?

– Była.

– Chcę dostać jej broń.

Clave rzucił jeszcze jedną linę i ściągnął z powrotem imponująco gruby pęk broni. Przyjrzał się zdobyczy: nóż długości jego własnego ramienia i drugi, mniejszy, pęk miniharpunów i dwie rozciągane sztuki broni, jedna z drewna i jedna z metalu. Bardziej podobała mu się drewniana. Ta metalowa wydawała się wykonana z czegoś dziwnego. Na razie zastanawiał się, jak mogą działać i całkiem mu się to spodobało.

– Ona chciała nas wszystkich zabić – zaproponował Alfin.

– To prawda. – Clave podał Termowi ostatni strąk, nie bez oporu zresztą. – Zatrzymajcie nasze obroty. Widzicie ten kawał kory, na zewnątrz od nas? Nie porusza się zbyt szybko. Spróbujcie nas zatrzymać i skierować w tamtą stronę.

– Co chcesz zrobić? – upierał się Alfin.

– Wezmę ją, jeśli na to zasłuży – odparł Clave. – Siedmioro obywateli w plemienu to śmiechu warte.

– Nie ma miejsca, żeby jej pilnować.

– Gdzie mamy spędzić resztę życia?

Strąk wypuścił strumień gazu i nasion.

– Tak nie dotrzemy do kory – stwierdził Term. – Nie mamy dość odrzutu.

Alfin wciąż nie odpowiadał. Clave zwrócił się do niego:

– Skoro nie polubiłeś spadania, domyślam się, że chciałbyś zamieszkać w kępie całkowego drzewa. Mamy teraz więźnia, który mieszka w kępie. Jest szansa, by zapracować na jej wdzięczność.

– Dajcie ją tutaj.



## ROZDZIAŁ IX

### Tratwa

Staw był małą, ale doskonałą kulą i znajdował się około dwudziestu kłomterów od Dłoni Checkera: gigantyczna kropla wody, ciągnąca za sobą ogon szarej mgły w ucieczce od słońca. Kiedy słońce podświetlało ją od tyłu, tak jak teraz, Minya widziała wijące się w jej wnętrzu kształty.

Wyminie ich.

Końce drzewa były odległe od siebie i wciąż się oddalały. Kępa Daltona-Quinna dryfowała na zewnątrz i na zachód, a Ciemna Kępa ku środkowi i na wschód. Łącząca je smuga dymu stawała się coraz bledsza, poza ciemnymi pasmami, które składały się z chmur niezdecydowanych insektów.

Nagle coś wynurzyło się ze stawu i kropla w odpowiedzi zapulsowała i zmarszczyła się gwałtownie. Stworzenie wydawało się ogromne, nawet z tej odległości. Trudno było osądzić jego prawdziwą wielkość, ale wyglądało jak paszcza z płetwami. Minya obserwowała je niespokojnie.

Chyba nie miało zamiaru skierować się w ich stronę. Z trzepotem zdążyło w kierunku smugi dymu.

Rozproszona grupa mieszkańców unosiła się wokół Dłoni Checkera. Nie mogli się dobrze umocować. Nie było dość miejsca, a poza tym grzyb wcale nie był aż taki mocny. Przyczepili się za pomocą pik i uprząży, ale nie zamierzali zbliżyć się do Minyi.

Starzec Alfin uczepił się trzonu. Nie miał już na twarzy tego wyrazu przerażenia, ale w dalszym ciągu nie odzywał się i nie ruszał.

Term przyglądał się uważnie Minyi.

– Meen Ya. Dobrze mówię?

– Mniej więcej. Minya.

– Ach, Mineeya... gdybyśmy zdołali dotrzeć do twojego końca drzewa, czy pomogłabyś nam dołączyć do waszego plemienia?

Czuła na sobie ich wzrok. Stary wydawał się zdesperowany. Cóż, prędzej czy później tak to się musiało skończyć.

– Mamy suszę – odparła. – I tak już jest za dużo gąb do żywienia.

– Wasza susza chyba właśnie dobiega końca – odezwał się Term. – Teraz już będzie woda.

– Jesteś uczniem Uczonego z plemienia Quinna?

– Zgadza się.

– Przyjmuję to, co powiedziałaś. Ile potrwa, zanim woda pozwoli na wyhodowanie nowych roślin? W każdym razie...

– Teraz wiatr będzie przynosił również ptaki na mięso.

– Nie chcę wracać! – Wreszcie to wykrztusiła.

– Czy popełniłaś zbrodnię? – zapytał Clave.

– Chciałam popełnić zbrodnię. Musiałabym to zrobić. Proszę!

– Dobrze, dajmy temu spokój. Gdybyśmy jednak chcieli spędzić tu resztę życia, byłby to dość krótki okres. Każda przelatująca rodzina triunów weźmie nas za grzybową przekąskę. Albo ta latająca gęba, która przed chwilą wyskoczyła ze stawu...

– Czy nie dałoby się znaleźć innego drzewa, na którym nikogo nie ma? Wiem, że teraz nie możemy ruszyć się gdziekolwiek, ale gdybyśmy dotarli do Kępy Quinna-Daltona, na pewno udałoby się nam przedostać na inne drzewo. Jak sądzicie? – Zdaje się, że nie kupili tego. Może odwrócić ich uwagę? – W każdym razie stać nas na coś więcej. Powinniśmy jeść Dłoń, zamiast się jej czepiać. Teraz, kiedy została zerwana, nie utrzyma się długo. Musimy znaleźć miejsce, gdzie będziemy się mogli zaczepić. Tam – pokazała palcem.

„Tam” było postrzępionym kawałkiem kory, długim na dziesięć, szerokim na pięć metrów. Płat wytracił już szybkość wirowania dzięki tarcu powietrza. Clave... Przywódca?... rzekł:

– Obserwowałem go przez cały dzień. Nie zbliża się w naszą stronę. Drzewne żarcie, gdybyśmy mogli się ruszyć, już byłbym przy stawie.

– Drzewo powinno pozostawiać częściową próżnię – podsunął Term. – Może go wessie. Trzeba mieć nadzieję.

– Możemy zrobić coś więcej. Kora jest chyba dość blisko. – Minya sięgnęła po broń.

Długa dłoń chwyciła ją za przegub, otaczając palcami niemal dwukrotnie.

– Co ty robisz najlepszego?

Długie, silne palce i żadnych oporów przed dotknięciem innego obywatela. W Kępie Daltona-Quinna byli mężczyźni podobni do Clave’a. To oni sprawili, że Minya znalazła się w Szwadronie Triunów... Gwałtownie potrząsnęła głową. Była jego więźniem, przybyła jako zabójca. Odpowiedziała powoli, starannie dobierając słowa:

– Myślę, że zdołam wbić w to drewno strzałę z liną.

Zawahał się i po chwili puścił ją.

– Próbuj.

Użyła metalowego łuku Sal. Strzała zwolniła w locie i zaczęła unosić się w powietrzu. Ponowiła próbę. Teraz już dwie strzały płynęły na końcu luźnych lin. Młody Gavving z pomrukiem niezadowolenia zwinął liny.

– Chciałbym spróbować – odezwał się Clave i wziął łuk. Kiedy strzelił, cięciwa musnęła mu przedramię. Clave zaklął. Strzała zatrzymała się w miejscu.

Minya nigdy nie zastanawiała się zbyt długo. Równie szybko podejmowała ważne i nieważne decyzje. To również pomogło jej w dostaniu się do Szwadronu Triunów. Teraz odezwała się:

– Trzymaj ramię prosto i sztywno. Pociągnij najmocniej, jak potrafisz. Przesuń cięciwę nieco w prawo, wtedy nie uderzy cię w ramię. Patrz wzdłuż strzały. Teraz się nie ruszaj.

Podniosła zwój liny i z całej siły rzuciła w stronę arkusza kory. Teraz strzała będzie mniej obciążona.

– Strzelaj, kiedy chcesz.

Strzała pomknęła w kierunku kory i wbiła się w krawędź. Clave pociągnął linę, powoli, powoli... kora przybliżyła się nieco... strzała obluzowała się i wypadła.

Clave powtórzył wszystko od początku bez cienia zniecierpliwienia. Kora była już o kilka metrów od nich. Trafił znowu i pociągnął za linę, jakby walczył z gigantycznym ptakiem.

Kawał kory zbliżył się jeszcze bardziej. Clave wystrzelił jeszcze jedną strzałę, która pograżyła się głęboko w drewnie. Przedostali się na linie. Minya zauważyła, że Alfin z drzeniem wypuścił powietrze, gdy znalazł się bezpiecznie przywiązany do kory.

Zauważyła też komentarz Clave'a: „Dobra robota, Minya” i to, że zatrzymał łuk.

– Aby pójść na stronę, będziemy korzystać z drugiego krańca kory – pouczył ich Clave. – Kora jest teraz wszystkim, co mamy, i nie należy jej zanieczyszczać. Kiedy będziecie chcieli nakarmić drzewo, nawóz powinien kierować się na zewnątrz.

– Będzie latać dookoła nas – zaproponował Alfin. Były to jego pierwsze słowa od wielu godzin. Na pewno zauważył spojrzenia, jakimi go obdarzyli. – Ależ tak, mam lepszy pomysł. Karmiąc drzewo, stawajcie na krawędzi. Wtedy ruch obrotowy odrzuci to w drugą stronę. Mam rację, Term?

– Tak. Dobrze myślisz.

Minya żuła grzyb-wachlarz. Był włóknisty i prawie bez smaku, ale miał w sobie wilgoć i to było pyszne. Tęsknie spojrzała w kierunku stawu, który wcale się nie zbliżał. Tak blisko, a tak daleko...

Ogryzli wędzone mięso dumba do samej kości, żeby się nie zepsuło. Chyba to był błąd. Brzuchy mieli pełne, może nawet zbyt pełne, ale tym bardziej chcieli im się pić. Pewnie umrą z pragnienia.

Poza tym wszystko szło jak z płatka.

Ten złotowłosy chłopak, Gavving – chyba dokonała dobrego wyboru. Pewnie sądzi, że zawdzięcza jej życie. Może to i prawda. Wydawał się nieszkodliwy, ale dwa razy widziała, jak zadawał śmierć. Lepiej, by był jej sprzymierzeńcem niż wrogiem.

Alfina nie potrafiła rozgryźć. Jeśli naprawdę tak boi się spaść, i tak niedługo będzie martwy.

Merril była jeszcze inna. Bez nóg, ale waliła pięścią równie dobrze jak inne kobiety kopią. Po tym wszystkim, co przeżyła, musi być twarda. Co więcej, z jej kalectwem bez przyjaciół byłaby już trupem. A zatem na pewno jest lubiana. Minya postanowiła, że zaprzyjaźni się z Merrill.

Term to marzyciel. Nie zauważyłby, czy Minya żyje, czy jest martwa.

Clave był dominującym samcem. Pewnie wciąż jeszcze uważał ją za wroga. Ale to przecież ona przywiodła ich na tę tratwę i pozwoliła, aby Clave zebrał za to pochwały. To nie zaszkodzi. Jeśli Clave uważa, że jest mu potrzebna, nieważne, czy jej ufa, czy nie.

Ale czego jeszcze mógłby od niej chcieć?

Jayan i Jinny: obie zachowują się tak, jakby Clave należał do nich, albo odwrotnie. Dwie kobiety dzielące się jednym mężczyzną to nic nowego. Wydawało się, że akceptują decyzje Clave'a. Czy jednak zaakceptują także „tę trzecią”? Lepiej unikać Clave'a, jeśli się da.

Może potrafiłaby rozwiązać ten problem, może...

Merril odezwała się, tłumiąc potężne ziewnięcie:

– Nie wydaje wam się, że czas na sen? Czuję się tak, jakbym dostała w łeb.

– Chciałbym, aby zawsze ktoś czuwał: po jednej osobie z każdej strony drzewa – odparł Clave. – Czy jest ktoś, komu nie chce się spać?

– Ja – odezwał się Alfin.

W ten sposób Alfin i Jayan objęli pierwszą wachtę. Później zmieniają ich Gavving i Merril, a potem... Minya nie wiedziała, co dalej.

Była wykończona – fizycznie i psychicznie. Ułożyła się do snu zwinięta w kłębek, unosząc się tuż obok kory.

Słońce mijało właśnie Voy od strony pomocnej. Minya ledwo zauważała, jak obywatele po kolei udają się na drugą stronę kory, by karmić drzewo. Clave i Jinny iskali się z robactwa, Jayan właśnie zniknęła za krawędzią, a Alfin... Alfin stał tuż nad nią.

– Mineeya? – zagadnął.

Wyprostowała się.

– Alfin? Czego chcesz?

– Chcę, żebyś została moją żoną.

Natychmiast odechciało jej się spać. Nie mogła sobie teraz pozwolić na wrogów.

– Nie brałam pod uwagę małżeństwa – odparła ostrożnie. Jak mógł nie rozpoznać jej munduru?

Byłabyś głupia, gdybyś mnie odrzuciła. Znasz lepszy sposób, aby stać się jedną z nas?

– Wezmę pod uwagę to, co powiedziałaś – odparła i zamknęła oczy.

– Jestem szanowanym człowiekiem. W Kępie Quinna nadzorowałem utrzymanie dziupli.

Otoczyła kolana ramionami, mimowolnie zwijając się w ciasny kłębek.

Alfin potrząsnął jej ramieniem.

– Mineeya, nie masz wielkiego wyboru tu, na tym kawałku kory. Przybyłaś między nas jako zabójca. Niektórzy wciąż pewnie tak cię postrzegają.

Nie zostawi jej w spokoju. Próbowała zachować zimną krew, ale nie była w stanie

zapanować nad głosem.

– Twój argument jest dobry – powiedziała głucho. – Powinam wyjść za jednego z was. Clave jest już po słowie, prawda?

– Potrójnie – zaśmiał się Alfin.

– Zdumiewające. A Term?

– Igrasz ze mną. Rozważ lepiej moją propozycję. – Wtedy dopiero zauważył, że Minya szlocha.

Była tym przerażona, ale nie potrafiła przestać. Płacz wstrząsał nią niczym konwulsje. Nie mogła stłumić rozpaczliwego szlochu. Chciała mężczyzny, tak, ale nie tego!

Czy miała wybór? Być może okaże się, że będzie zmuszona do parzenia się z tym brzydkim, szorstkim staruchem tylko po to, aby Plemię Quinna jej nie zamordowało. Albo opowie o swojej przysiędze złożonej Szwadronowi Triunów i nie będzie się parzyć już nigdy i z nikim. To dla niej zbyt wiele.

– Ja... wróć, kiedy się lepiej poczujesz – usłyszała pełen rozpacz i poczucia winy głos Alfina, a potem zapanowała cisza. Gdy zmusiła się, aby podnieść wzrok, ujrzała, jak Alfin ostrożnie – a może skrycie? – wymija śpiących, zdążając ku drugiej krawędzi kory.

Straciła dom, rodzinę, przyjaciół, była zagubiona w przestworzach, sama pośród obcych. Kopsik! Jak może zmuszać ją do podjęcia takiej decyzji? Brudny, karmiący drzewo kopsik!

Łzy obsychały na jej policzkach. Przynajmniej żadna z jej towarzyszek ze Szwadronu Triunów nie widziała jej w tym poniżeniu. Pomyślała, że to pewnie jej płacz odstraszył Alfina... tak samo jak w wieku czternastu lat, płacz był jej pierwszym odruchem obronnym.

Co jednak może zrobić? Nie była zupełnie uczciwa w stosunku do tego starego człowieka. Powiedział jednak prawdę: ślub był dla niej jedyną drogą do Plemienia Quinna.

... I nagle stwierdziła, że właśnie podjęła decyzję.

Czy teraz odważy się zasnąć? Musi – słońce minęło już Voy na szerokość dłoni. Zwinęła się w kłębek i zasnęła.

Obudziła się, gdy słońce znowu zbliżało się do Voy. Niektórzy mają taki talent. Minya potrafiła nakazać sobie, kiedy ma spać i kiedy się zbudzić.

Rozciągnęła stopniowo mięśnie. Czuła pragnienie. Wokół panował dziwny, pełen niepokoju ruch – Term chyba miał jakieś koszmary. Przyglądała mu się, dopóki się nie uspokoił.

Alfin potrząsnął Gavvingiem, potem Merril. Usiadł, a chłopak podążył na swój posterunek po drugiej stronie. Minya odczekała nieco dłużej, dopóki Jayan i Alfin nie zasnęli.

Alfin wpił się w korę wszystkimi palcami rąk i nóg, a nawet zębami, o ile Minya mogła zauważyć. Przycisnął twarz do kory, odwracając się od nieba. W ten sposób nigdy nie usnie, ale też nie będzie jej widział.

Wyprostowała się i ruszyła na krawędź kory. Merrill patrzyła za nią. Minya machnęła jej ręką i przeciągnęła się na gładką stronę płata kory.

Gavving zobaczył ją i ruszył w odwrotnym kierunku... Czyżby chciał zapewnić jej chwilę intymności?

– Zaczekaj, Gavving! – zawołała.

Przystanął.

– Gavving, chcę z tobą pomówić.

– Dobrze odparł czujnie.

Nie chciała, żeby się niepokoił.

– Nie mam broni – powiedziała cicho i zaraz dodała: – Udowodnię ci to.

– Nie musisz...

Ściągnęła bluzę przez głowę i przymocowała do kory. Podeszła bliżej, marząc, by jej palce u nóg znalazły dobre oparcie, żeby mogła iść prosto. Pełzanie nie miało w sobie godności, której tak potrzebowała. Przynajmniej straciła ten pękaty, ciężarny wygląd, charakterystyczny dla Szwadronu Triunów.

– W spodniach nie mam kieszeni – oświadczyła. – Widzisz przecież. Chcę ci powiedzieć, dlaczego nie mogę wrócić do Kępy Daltona-Quinna.

– Dlaczego?

Próbował nie gapić się na jej piersi, tylko w twarz.

– To znaczy... chciałem powiedzieć, że chętnie posłucham. Zadając kłopotliwe pytania, dorobiłem się już nawet przezwiska. – Próbował się roześmiać, ale śmiech uwiązł mu w gardle. – Ale czy inni też nie powinni tego usłyszeć?

Potrząsnęła głową.

– Mogliby mnie zabić, gdyby nie ty, Gavving. Pozwól, że ci opowiem o Szwadronie Triunów.

– Już mi mówiłaś. Jesteście wojownikami i wszystkie jesteście kobietami, nawet mężczyźni.

– To prawda. Jeśli mężczyzna chce być kobietą, albo kobieta nie chce nigdy w życiu zajść w ciążę, wstępują do Szwadronu Triunów. Mogą wtedy służyć plemieniu, nie robiąc dzieci.

Gavving przetrwał to przez chwilę.

– Jeśli nie chcesz robić dzieci, każą ci walczyć?

– Zgadza się. I nie tylko walczyć. Musimy robić wszystko, co jest niebezpieczne. To... – pociągnęła w dół pasek spodni i Gavving aż się wzdrygnął, a może nawet skrzywił na widok prawie półmetrowej blizny, biegnącej od żeber aż po biodro. – Koniec ogona mieczoptaka. Gdyby strzałostrąk nie wypalił, rozniósłby mnie po całym niebie.

Nagle zaczęła się zastanawiać, czy chłopak nie postrzeża blizny jako wady, zamiast powodu do dumy. Za późno... zresztą lepiej, żeby zobaczył ją teraz niż potem...

– Kilka czuwań temu trójka naszych walczyła z mieczoptakiem. Wróciło tylko dwóch.

– Są niebezpieczne.

– Są. A więc nie lubisz mężczyzn?

– Nie lubiłam. Gavving, ja wtedy miałam czternaście lat.

Wytrzeszczył na nią oczy.

– Dlaczego czternastoletnia dziewczynka miałaby obchodzić mężczyzn?

Nie przypuszczała, że jeszcze jest w stanie się śmiać, a jednak...

– Może to z powodu mojego wyglądu, ale... obchodziłam ich wszystkich. Jedynym sposobem ucieczki był Szwadron Triunów.

Czekał.

– A teraz mam dwadzieścia dwa lata i chciałabym zmienić zdanie. I nie mogę. Nikt nie zmienia zdania po wstąpieniu do Szwadronu. Mogliby mnie zabić nawet za to, że o to proszę... a ja poprosiłam. – Przyłapała się na tym, że podnosi głos. Nie szło tak, jak to sobie zaplanowała. Szepnęła: – Powiedział mi, że powinnam się wstydić. Może nawet wszystkim rozgada. Nie szkodzi. Nie wracam.

Wyciągnął dłoń, jakby chciał ją poklepać po ramieniu i nagle zmienił zdanie.

– Nie martw się tym. I tak nie możemy się ruszyć. Gdybyśmy mogli, i tak lepiej byłoby znaleźć sobie jakieś puste drzewo.

– A ja chcę robić dzieci – wyrzuciła z siebie i czekała.

Przecież musiał zrozumieć. Ale się nie poruszył.

– Ze mną? Dlaczego właśnie ze mną?

– Och, drzewne żarcie, dlaczego nie możesz po prostu... no dobrze, a z kim innym? Term żyje tylko tym, co ma w głowie, Alfin boi się spać... Clave? Cieszę się, że tu jest, bo dobry z niego przywódca. Ale właśnie taki... Clave popchnął mnie do Szwadronu. Boję się go, Gavving. Widziałam, jak zabiłeś Sal i Smitę, ale ciebie się nie boję. Chyba musiałeś to zrobić. – Od razu zdała sobie sprawę, że powiedziała nie to, co trzeba.

Zaczął drzeć.

– Nie czułem do nich nienawiści. Minya, to oni nas zabijali! Bez słowa. Byli twoimi przyjaciółmi, prawda?

Skinęła głową.

– To było złe, bardzo złe czuwanie. Ale nie wrócę tam.

– I wszystko dla jednego grzyba...

– Gavving, nie odtrącaj mnie. Ja... nie przeżyłabym tego.

– Nie mam zamiaru cię odtrącać. Po prostu nigdy wcześniej tego nie robiłem.

– Ja też nie.

Zdjęła spodnie. Nie miała haka, żeby je zaczepić. Gavving zauważył jej zakłopotanie

i wyszczerzył zęby. Wbił hak w korę i dodał dwa sznurki. Jednym przywiązał spodnie Minyi, a potem także własne spodnie i tunikę. Drugim przewiązał się w pasie.

– Widziałem, jak to robią – zwierzył jej się.

– Przynajmniej tyle. Ja nawet nie widziałam. – Wyciągnęła dłoń, by dotknąć tego, co ukrywały jego spodnie. Kiedyś jakiś mężczyzna zmusił ją, aby wzięła do ręki jego członek, ale tamten wyglądał zupełnie inaczej... nie, ten także zmieniał się w oczach. Właśnie.

Myślała, że po prostu należy pozwolić, aby sprawy potoczyły się własnym torem. Nie było to jednak takie proste. Korzystała ze stóp jak z drugiej pary dłoni i dzięki nim mogła przyciągnąć go ku sobie. Ostrzegano ją przed bólem; nie wszystkie z Triunów wstąpiły do Szwadronu jako dziewice. Bywało o wiele gorzej.

Zdawało się, że Gavving nagle oszalał, jakby próbował stopić dwoje ludzi w jedno... Trzymała go i pozwalała na to, gdy nagle poczuła, że i ją ogarnia to samo. Podjęła decyzję w chwili chłodnej reakcji na przerażającą katastrofę, ale teraz czuła, jak zachodzą w niej zmiany. Tak, chciała, żeby pozostali złączeni na zawsze, mogła zbliżyć ich jeszcze ku sobie piętami i rękami... ale nie, już się rozdzielali... już koniec... koniec...

– O tym nikt mi nie mówił – szepnęła, gdy odzyskała oddech.

– Mnie mówili. – Gavving odetchnął głęboko. – Mieli rację. Hej, nie bolało cię? – odsunął ją od siebie, tylko odrobinę, i szybko spojrzął w dół. – Krwawisz... Niedużo.

– Bolało. Jestem silna, Gavving. Tak się bałam. Nie chciałam umierać jako dziewica.

– Ja też nie – odparł poważnie.

Czyjaś dłoń pochwyciła kostkę Terma i potrzęsnęła, wrywając go z koszmaru.

– No! Co...?

– Term! Czy znasz jakiś powód, dla którego Gavving nie mógłby zrobić z kobietą dziecka?

– A co miałyby zrobić, musruma? – Głowę miał jak z waty. Rozejrzał się wokoło. – A kto to, nasza branka?

– Tak – potwierdziła Merrill. – Nie widzę żadnego powodu, żeby im przerwać, jeżeli nie chodzi jej po głowie coś całkiem innego. Będę ich tylko miała na oku. Ale ktoś musi stać na straży.

– Dlaczego właśnie ja?

– Bo jesteś najbliższej.

Term przeciągnął się lekko.

– W porządku. Ty stajesz na straży, ja pilnuję więźnia.

Merril najpierw spiorunowała go wzrokiem, ale zaraz się uśmiechnęła.

– Zgoda. Nie ma sprawy.

Term usłyszał głosy i wychylił się zza krawędzi kory, żeby spojrzeć na drugą stronę. Gavving i Minya unosili się na końcu liny, całkiem nadzy, i rozmawiali.



– Sto siedemdziesiąt siedem osób. Dwa razy tyle co was, prawda? – mówiła Minya.

– Mniej więcej.

– W każdym razie wystarczy, żeby w kępie był tłok. Szwadron Triunów to nie kara. Raczej ucieczka. Nie powinniśmy mieć dzieci częściej niż do tej pory. A ja byłam dobra, wiesz? Walczę jak demon.

– Chciałaś uciec przed... tym?

Śmiech.

– Przed tym i przed ciążą. Moja matka zmarła przy czwartym dziecku, to byłam ja.

– A teraz się nie boisz?

– Pewnie, że tak. Chcesz się tym dla mnie zająć?

– Jasne.

– No to w porządku. – Poruszali się razem. Term był zarazem zaintrygowany i zakłopotany. Odwrócił wzrok... i w tej samej chwili niebo rozwarło paszczę.

Wstrząs trwał tylko przez chwilę. Ogromna, pusta paszcza zamknęła się i znów otworzyła. Obracała się powoli. Znad jednej szczęki wychylnęło oko. Pod drugą widać było coś, co przypominało zwiniętą rękę szkieletu. Stwór znajdował się o kłomter od nich i mimo to wydawał się ogromny.

Bestia okręciła się powoli, nie przerywając wirowania. Jej ciało było krótkie, skrzydła szerokie, podobne do cienkiej tkaniny. To nie było złudzenie: potwór naprawdę składał się z samej paszczy i płetw i był dość duży, by połknąć całą tratwę. Przez skórę paszczy przeświecało słońce.

Polował na chmury insektów, unoszące się w pobliżu miejsca katastrofy. Nie był zatem drapieżcą, który właśnie wyszedł na łowy. Tym lepiej. Ale czy w rejestrach Uczonego nie znalazła się przypadkiem taka właśnie bestia? Miała dziwną nazwę..

Merril dotknęła ramienia Terma, aż podskoczył.

– Trochę się martwię tym owadożercą – powiedziała. – Pełno tu robactwa, zauważyłeś?

– Jak mógłbym nie zauważyć? – W istocie nauczył się je ignorować. Owady nie należały do gatunku kęsających, ale wszędzie wokół tratwy było ich pełno. Miliony i miliony skrzydlatych stworzeń różnej wielkości – od długości palca do ledwie widocznych drobinek.

– Jesteśmy trochę za duzi, żeby nas przypadkiem zjadł.

– Może. A co tam z...?

– Moim zdaniem Gavvingowi nie zagraża niebezpieczeństwo. Ale będę miał oczy szeroko otwarte,

– Dobry chłopak.

– Obserwują nas.

Ciało Minyi skurczyło się w odruchu przerażenia.

– Spokojnie! Spokojnie! – zawołał Gavving. – To tylko Term. Uspokoila się natychmiast.

– Pewnie pomyślą, że źle robimy.

– Chyba nie. Zresztą mogę się z tobą ożenić.

– Jesteś pewien, że tego właśnie chcesz? – W jej głosie zabrzmiało krótkie, ledwo dostrzegalne wahanie.

Prawdę mówiąc, nie był. W umyśle miał kompletny zamęt. Zniszczenie drzewa nie było dla niego wydarzeniem bardziej wstrząsającym niż pierwszy miłosny akt. Teraz kochał Minyie i bał się jej jednocześnie – za tę rozkosz, którą mogła mu dawać i odbierać. Czy nie pomyśli, że jest jej własnością? Lekcja małżeństwa Clave'a, to, co o nim wiedział... nie zapomniał ani słowa. Minya też będzie starsza od partnera, jak Mayrin...

I tak nie miało to żadnego znaczenia. W Plemieniu Quinna były cztery kobiety. Jayan i Jinny należały do Clave'a, pozostawały Merrill i Minya.

– Jestem pewien – odpowiedział. – Czy możemy już iść i powiadomić wszystkich?

– Niech śpią – mruknęła i przytuliła się do niego. Kątem oka śledziła latającą paszczę, która pochłaniała chmury owadów. Była coraz bliżej. Nie miała zębów, jedynie wargi i język, poruszający się nieprzerwanie niczym wędrowny wąż. Obracała się powoli – był to jeden ze sposobów, by obserwować całe niebo w poszukiwaniu niebezpieczeństwa.

– Ciekawe, czy jest jadalny – mruknął Gavving.

– Mnie się chce pić.

– No to musimy jakoś dotrzeć do tego stawu.

– Gavving... kochany... musimy też spać. Czy twoja warta już się przypadkiem nie skończyła?

Ziewnął, aż trzasnęło mu w szczękę, i zakończył ziewnięcie szerokim uśmiechem.

– Muszę przecież komuś powiedzieć.

Term leżał skulony jak embrion, pochrapując z cicha. Gavving dwukrotnie szarpnął jego uwięzia i zawołał.

– Pobieramy się.

Term szeroko otworzył oczy.

– Niezły pomysł. Teraz?

– Nie, zaczekamy, aż minie czas snu. Twoja wachta.

– W porządku.

## ROZDZIAŁ X

### Moby

Obudziły ją głosy. Ocknęła się całkowicie przytomna, spragniona i nerwowa.

Był młody. Dała mu to, czego chciał, właściwie to mu się narzuciła. Straci zainteresowanie. Będzie pamiętał, że próbowała go zabić. Miał kilka godzin, żeby zmienić zdanie.

Głosy były dość odległe, ale słyszała je wyraźnie.

-... dziesięć lat starsza od ciebie, nie masz wykupu... ale to drobiazg. Sześć czy siedem dni temu próbowała nas wszystkich zabić!

- Mogła wybierać i przebierać między nami – to mówi Clave. Jest rozbawiony. – Oprócz, oczywiście, mnie. Tego byście chyba nie chciały, co, słodziutkie?

- Myślę, że to cudowne – powiedziała Jayan albo Jinny. Druga bliźniaczka dodała: – To... nadzieja.

- Gavving, nie jesteś wystarczająco dorosły, żeby wiedzieć, co robisz!

- Nakarm tym drzewo, Alfinie.

Gavving zauważył Minyę, kiedy poruszyła się i wciągnęła z powrotem na kory.

- Halo – zawołał. – Gotowa?

- Tak! – Zbyt chętnie? Trochę za późno na przebiegłość. – Jaki rodzaj ceremonii wybierzemy? Nie możemy użyć mojej, pozostawiliśmy Uczzonego w kępie...

- I to także – wtrącił Alfin. – Uczony...

- Teraz ja jestem Uczonym – oznajmił Term.

Zignorował pogardliwe prychnięcie Alfina, otworzył plecak i rozłożył jego zawartość. W zapasową odzież owinięte były cztery małe, płaskie pudełka z gwiazdowego materiału, plastiku, oraz płaska, polerowana i szklista powierzchnia, podobna do lusterka Przywódcy, która jednak nie odbijała niczego.

Plemię Quinna wydawało się równie zaskoczone jak Minya. Gavving zapytał:

- Niosłeś to ze sobą przez cały czas?

- Nie, skąd, zmaterializowałem z czystego powietrza. My, Uczeni, mamy swoje sposoby, wiesz?

- No, pewnie.

Wyszczrzyli do siebie zęby. Term wziął lusterko i jedno z pudełek. Umieścił skrzynkę w grubej oprawie lustra.

- Prikazywat menu!

Sposób mówienia Terma uległ zmianie, był teraz taki... archaiczny. Minya słyszała taką mowę u Uczzonego Daltona-Quinna. Lustro zareagowało: zabłysło jak zaćmione nocne słońce

i zakwitło drobnym czarnym drukiem.

Minya nie potrafiła go odczytać. Term widocznie umiał. Wyjął skrzynkę i włożył drugą.

– Prikazywat menu... dobrze, Prikazywat rejestr – powiedział stanowczo. – Pierwszy dzień od czasu snu, pierwszy sen po rozpadnięciu się drzewa, rok trzysta siedemdziesiąty. Jeffer mówi jako Uczony. Plemię Quinna składa się z ośmiu osób. Prikazywat pauza.

Nic się nie działo, aż Minya nie wytrzymała.

– Co dalej?

Term spojrział na nią. Jego twarz była maską bólu. Z gardła wydarł się bolesny, żalony jęk. Na oczach zadrżały kryształowe soczewki. Tu, gdzie nie ma wiatru, łzy nie płyną.

Clave położył mu dłoń na ramieniu.

– Odczekaj minutę. Więcej, jeśli potrzebujesz.

– Próbowałem o tym nie myśleć. Uczony... on wiedział. Kazał mi je zabrać. Po co to wszystko, jeśli i my umieramy?

– Nie umieramy. Na razie chce nam się tylko trochę pić – stanowczo oznajmił Clave.

– Wszyscy zginęli, oprócz nas! Czuję, jakbym przez zapis uczynił to bardziej prawdziwym.

Clave rozejrzał się wokół siebie. Łzy były chyba zaraźliwe. Jayan i Jinny już pociągały nosami. Minya musiała sobie przypomnieć, że Kępa Daltona-Quinna wciąż żyje, niewidoczna, odległa.

– Dobrze już, Uczony – warknął Clave. – Musisz udzielić ślubu.

Term przełknął ślinę i skinał głową. Łzy wielkości kępojagód poleciały mu po policzkach. Odchrząknął i przemówił odpowiednio surowym głosem:

– Prikazywat rejestr. Drzewo zostało rozdarte na pół. Siedmioro z nas przeżyło, plus jeden uciekinier z drugiej kępy. Małżeństwo pomiędzy Minya Dalton-Quinn a Gavvingiem Quinnem istnieje od dzisiaj. Nie urodzono jeszcze żadnych dzieci. Zakończyć. – Wyjął pudełko i powiedział: – Jesteście małżeństwem.

– I to wszystko? – Minya była zaskoczona.

– Wszystko. Moje pierwsze zadanie jako Uczonego. Tradycja mówi, że powinniście skonsumować wasze małżeństwo w pierwszym dogodnym momencie...

– Co ty tam właściwie masz? – zapytał Alfin.

– Wszystko, co potrzeba – odparł Term. – Ta kasetka to niedawne zapisy. Kiedyś była tu medycyna, ale Uczony potrzebował miejsca i ją skasował. I tak byśmy nie wiedzieli, jak ją stosować. Ludzie z gwiazd chorowali na takie choroby, o jakich nigdy nikt nie słyszał, i stosowali lekarstwa, o jakich też nikt nie słyszał. Ta kasetka to formy życia, ta to kosmologia, a ta to stare zapisy. Wszystko, oczywiście, poufne.

– Poufne?

– Tajne. – Term zaczął zawijać wszystko w ubrania.

– Zaczekaj – rzucił Clave.

Term spojrział na niego.

– Czy w tej twojej poufnej wiedzy jest coś, czego moglibyśmy potrzebować, żeby przeżyć? – Clave zawahał się, ale nie na tyle długo, żeby Term mógł odpowiedzieć. – Jeśli nie, po co mamy pilnować tego wszystkiego albo pozwolić ci to nieść, żeby nas spowalniało? – Pauza. – Jeśli, ukrywasz przed nami potrzebną wiedzę... Dlaczego mielibyśmy cię chronić?

Term otworzył usta.

– Term, jesteś cenny. Jest nas tylko ośmioro, nie możemy pozbyć się choćby jednego. Ale jeśli wiesz, po co bardziej jest nam potrzebny Uczony niż łowca, lepiej udowodnij nam to już teraz.

Term zamarł z otwartymi ustami. Wreszcie przytaknął z drzeniem. Wybrał kasetę i wsunął w krawędź lustra. Powiedział:

– Prikazywat znaleźć moby. Em, o, be, ygrek.

Ekran zapłonął, wypełnił się literami.

Term zaczął czytać:

„Moby to stworzenie wielkości wieloryba o wielkiej paszczy i pionowych szczelinach policzkowych, porowatych i wykorzystywanych jako filtry. Karmi się, latając w chmurach owadów. Długość siedemdziesiąt metrów. Masa około ośmiuset ton metrycznych. Jedno główne oko. Dwoje mniejszych oczu, lepiej zabezpieczonych i chyba krótkowzrocznych, do bliższych działań, umieszczonych po obu stronach pojedynczego ramienia. Pozostaje w pobliżu stawów lub dżungli z waty cukrowej. Woli pozostawać w ciągłych obrotach, dla stabilności i aby obserwować zagrożenia, ponieważ w środowisku swobodnego spadku nie ma bezpiecznych kierunków. Moby unika dużych stworzeń i ucieka przed MONT-ami. Zaatakowany, walczy jak Kapitan Ahab: jego pojedyncze ramię wyposażone jest w cztery palce, a palce zakończone są harpunami rosnącymi niczym szpony”.

Clave obejrzał się przez ramię. Latająca paszcza była teraz widoczna z profilu. Pomimo roju owadów wokół tratwy potwór na razie ich omijał.

– To ten?

– Tak sędzę.

– Monty? Kapitan Ahab? Wielkości wieloryba?

– Nie wiem, co znaczą te słowa.

– To chyba i tak nie ma znaczenia. W porządku. Jest lękliwe i żywi się owadami, a nie obywatelami. Nie brzmi to groźnie.

– I właśnie dlatego potrzebujecie Uczonego. Bez kaset nie wiedziałbyś o nim zupełnie nic.

– A może... – odezwał się Gavving – może wcale nie chcemy, żeby nas minął...

Wyjaśnił, nieco się zacinając, o co mu chodzi. Nikt się nie roześmiał. Może za bardzo chciało

im się pić. Clave przyjrzał się ogromnemu owadożercy, zasnuował wargi i lekko skinął głową.

Clave stał w pozycji, w jakiej ustawiła go Minya. Lewą ręką trzymał stalowy łuk, odciągając cięciwę w pół drogi do policzka. Czuł się niezręcznie. Zamiast jednego z miniharpunów Minyi, trzymał przed sobą półtora metra własnego harpuna.

Moby obserwował go. Clave czekał, aż wirowanie stworzenia sprawi, że główne jego oko znajdzie się z drugiej strony ciała.

– Rzuć linę – polecił.

Gavving cisnął zwój liny w kierunku moby'ego. Clave pozwolił, aby rozwijała się przez chwilę, po czym wysłał w ślad za nią harpun.

Harpun zakołysał się w locie, ciągnąca się za nim lina wyprostowała jego lot. Stalowy łuk i mięśnie Clave'a powinny były wystarczyć, aby nabrał pędu i dotarł do samego moby'ego. Nie wystarczyły. Nawet nie doleciał w pobliże bestii.

– Ściągnij go i zwin linę – polecił Alfinowi. Innym rozkazał: – Strzały. Wypuście do niego kilka strzał. Niech się wścieknie. Niech zwróci na nas uwagę.

Strzała Terma chybiła o spory kawał i Clave nie pozwolił mu zmarnować następnych. Gavving i Minya trafili do celu. Każde z nich zdążyło już wystrzelić po dwie strzały, gdy Clave powstrzymał ich:

– Stop. Chcemy, żeby był wściekły, a nie ranny, nie przerażony. Term, czy on jest nieśmiały?

– Przeczytałem wam wszystko, co wiem.

Poufne! Niech no tylko się nadarzy okazja, Clave zapozna się z informacjami na wszystkich „kasetach”. Zmusi Terma, żeby mu je wszystkie przeczytał.

Zwiewny ogon moby'ego poruszał się lekko. Zwierzę zauważyło ruch harpuna i zaczęło się usuwać na bok, kiedy dosięgły go strzały. Jedna trafiła w płetwę, druga w pysk, ale bez wielkiego impetu.

Moby zadygotał. Zatrzepotał płetwami, okręcił się. Trzecia strzała trafiła go w okolice głównego oka. Stworzenie obróciło się w ich stronę.

– Alfin, zwinąłś linę?

– Jeszcze nie.

– To się pospiesz, manusie! Wszyscy są przywiązani?

Niebo rozwarło paszczę; wisiała nad nimi i rosła. Kościste ramię wysunęło się do przodu, prezentując cztery harpuny.

– Czy teraz go zranimy? – zapytał Alfin.

Clave odrzucił metalowy łuk, wziął harpun.

– Drzewne żarcie, chcę mu to wpakować w ogon.

Moby okazał się uprzejmy. Machnął ogonem – aż poczuli podmuch – i krążył wokół nich,

przyglądając się całej scenie. Zaledwie ogon znalazł się w jego zasięgu, Clave rzucił. Harpun utkwił mocno w mięsistej części, nad rozłożystą, przejrzystą płetwą. Moby zadrzał, ale się nie zatrzymał.

„Dłoń” śmignęła do przodu. Gavving wrzasnął i wyskoczył pomiędzy zamykających się rogowych harpunów prosto w niebo, aż trzymająca lina napięła się i pociągnęła go poza krawędź kory. Minya krzyknęła i cięła „dłoń”.

– Zupełnie jak kość! – poinformowała i zamierzyła się znowu.

Clave chwycił następny harpun i skoczył w kierunku potężnego pyska. Zanim lina pociągnęła go z powrotem, ukłuł stworzenie w wargę. Potężne, kościste palce zwinęły się za jego plecami. Miecz Minyi trafił w staw i jeden z palców-harpunów znalazł się w powietrzu obok nich.

Moby błyskawicznie cofnął „dłoń”. Paszcza zatrasnęła się i tak już pozostała. Stworzenie wycofało się, machając bocznymi płetwami.

Gavving przyciągnął się z powrotem do kory. Wszyscy obserwowali, jak moby obraca się i ucieka.

Tratwa z kory drgnęła. Moby zatrzymał się, żeby spojrzeć za siebie. Tratwa wędrowała za nim. Zwierzę ruszyło pędem pod wiatr.

Kropka słonecznego światła zaśniła na krawędzi stawu. Wędrowne wiatry pomarszczyły jego powierzchnię. Wewnątrz poruszały się cienie. Gdzieś w oddali nasienny strąk wysunął wąs długi na ponad kłomter, aby sięgnąć wody. Gavving tęsknie oblizał usta.

Dziesiątki tysięcy ton wody znikają w oddali.

Clave kłął monotonnie. Wreszcie przerwał i wyjaśnił:

– Przepraszam. Moby miał zanurzyć się w wodzie i próbować nas zgubić.

Gavving otworzył usta, przemyślał decyzję... ale i tak się odezwał:

– Mój pomysł. Dlaczego nie zwałeś wszystkiego na mnie?

– Bo to i tak moja wina. Jestem Przywódcą. Zresztą warto było spróbować! Chciałbym tylko wiedzieć, gdzie ta bestia nas ciągnie.

Czekali, żeby się dowiedzieć.

Oczy Gavvinga powędrowały wzdłuż Dymnego Pierścienia, który wylaniał się na tle nieba: błądy błękit oparów wody i odległości. Równo ułożone wykałaczkę mogły być zagonkiem całkowych drzew. Dziesiątki tysięcy kłomterów dalej widać było plamę białej burzy, zwanej Goldem. Zgrubienie na łuku w połowie drogi do Voy to odległy Kłęb.

I oto wszystkie ciała niebieskie, o których marzył jako dziecko. Harp powiedział mu, że pewnego dnia je zobaczy. Bardziej praktyczni twierdzili, że nie ma szans. Drzewo poruszało się zgodnie z kaprysmi sił natury, a przecież nikt nie opuszczał drzewa.

Gavving opuścił drzewo, ożenił się, a teraz był rozbitkiem i do tego spragnionym.

Plemię Quinna przylgnęło do przedniej krawędzi kory. Ulegając namowom Clave'a, włożyli plecaki. Wszystko mogło się zdarzyć... ale nic się nie działo, poza tym, że staw oddalał się coraz bardziej.

– Tak blisko, a przecież tak daleko – mruknął Term. – Czy mamy jeszcze kilka strzałostraków?

– Nie aż tyle. – Clave rozejrzał się wokół. – Przynajmniej nikogo nie straciliśmy. W porządku. Poruszamy się i to na zewnątrz. To dobrze, prawda, Uczony? Gęstsze powietrze?

– I wszystko inne – odparł Term. – Powietrze, woda, rośliny, mięso i drapieżnicy.

Moby zakreślał, kierując się powoli na wschód. Zwalniał. Był już zmęczony. Przycisnął płetwy do boku, kierując ku wiatrowi aerodynamiczny, jajkowaty korpus. W dalszym ciągu płynął na zewnątrz, holując za sobą tratwę. Staw stał się niewielkim klejnotem, błyszczącym odbitym niebieskim światłem Voy.

– Odetniemy się natychmiast, gdy tylko zbliżymy się do czegoś interesującego – oznajmił Clave. – Całkowite drzewo, staw, las... wszystko, co ma w sobie wodę. Nie chcę, żeby ktoś odciął linę za wcześniej.

– Przed nami chmura – zawołała Merril.

Odległy, skłębiony kłęb bieli rozplywający się w błękicie.

– Jak daleko? – warknął Clave. – Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt kłomterów? I tak nie jest przed nami, ale na zewnątrz. Jesteśmy skierowani prawie dokładnie na wschód.

– Może nie całkiem – odparł Term. – Jesteśmy skierowani na zewnątrz od wschodu i poruszamy się bardzo szybko. Gavving, pamiętasz? „Wschód wiedzie cię na zewnątrz, zewnątrz wiedzie na zachód, zachód wiedzie do wewnątrz, wewnątrz wiedzie na wschód, lewa i prawa burta wiodą z powrotem”.

– A co to za drzewne żarcie? – zapytał Clave. Gavving pamiętał, ale nie odpowiedział. Była to informacja „poufna”... i Term nigdy nie wyjaśnił mu, co oznacza.

Ale Minya odezwała się szybko:

– Przecież każde dziecko to zna. Podobno to jakiś sposób poruszania się, jeśli zgubisz się w niebie, ale masz strzałostraki.

Term radośnie potwierdził:

– Ciągnie nas na wschód. Poruszamy się za szybko dla naszej orbity, więc odpadniemy na zewnątrz i zwolnimy. Założę się, że moby kieruje się w stronę tamtych chmur.

Płetwy moby'ego rozpostarły się i teraz łopotały lekko. Przed nimi nie było zupełnie nic, aż do miejsca, gdzie z nieskończoności wyłaniał się Dymny Pierścień. Minya przesunęła linę, żeby znaleźć się w pobliżu Gavvinga. Przywarli do krawędzi kory i obserwowali kłaczek chmury na zewnątrz od nich, rozpamiętując własne pragnienie.



Słońce okrążyło Voy.

Jeszcze raz. Odpłynęli już wiele kłomterów na zewnątrz. Cykl dzień-noc był już znacznie dłuższy.

Kłęb chmur urósł. Jednak!

– Będzie próbował nas zgubić w tej mgłę – mruknął Term, bardziej z nadzieją niż z przekonaniem.

Moby nie poruszał się już od jakiegoś czasu. Hak, który mocował harpun, zaczął wysuwać się z kory. Clave wbił drugi i szybko owinął wokół niego luźną linę. Chmura przesłaniała już prawie całe niebo.

Widać było szczegóły: proste smugi, kłębki burzliwego mroku. Gdzieś w głębi migotały błyskawice.

Jayan i Jinny zdjęły koszule. Alfin, najwyraźniej uradowany tym widokiem, odezwał się nagle:

– One mają rację. Zdejmijcie koszule. Spróbujcie złapać trochę wilgoci.

Ciemność pojaśniała, gdy spoza krawędzi chmury wyjrzało słońce. Zachodziło. Zobaczyli pierwsze nieśmiałe smużki mgły i zaczęli machać koszulami.

– Czujecie wilgoć? – zawołał Gavving.

– Czuję – sarknęła Merril. – Czuję i wącham, ale nie mogę jej wypić! Ale już nadchodzi!

Od zachodniej strony mignęła błyskawica. Teraz i Gavving czuł mgłę. Próbował wyżyć wodę z koszuli. Nie da się? Trzeba machać dalej. Może już? Mocno wykręcił koszulę, próbując ją wysssać. Poczł wodę zmieszana z potem.

Wszyscy inni robili to samo. Zaledwie mogli się widzieć. Gavving nigdy w życiu nie widział takiej ciemności. Moby był niewidzialny, daleko. Czuli jednak szarpanie liny. Wywijali koszulami, ssali wodę i śmiali się jak szaleni.

Wokół nich pojawiły się grube krople. Coraz trudniej było oddychać. Gavving oddychał przez koszulę i łykał przesączającą się wodę.

Ciemność zanikała. Czyżby wydostawali się z chmury?

– Clave? Nie chcesz przypadkiem uciąć tej liny? Może tu zostaniemy?

– Czy komuś jeszcze chce się pić? – Milczenie. – Napijcie się do syta, ale nie możemy tu zostać, oddychając przez koszule. Zaufajmy moby'emu jeszcze przez chwilę.

Bładozielone światło było coraz silniejsze. Gavvingowi wydawało się, że przez rzadną mgłę widzi niebo... zielonkawe niebo o dziwnej fakturze. Zielone? A może to złudzenie wzrokowe, spowodowane zbyt długim przebywaniem w nienormalnej ciemności?

– Drzewne żarcie! – ryknął Clave i machnął nożem. Lina harpuna zaśpiewała nisko, przecięta kolejnym ciosem. Kawał kory zadygotał.

I oto wypływali z mgły w warstwę czystego powietrza. Gavving zauważył, że moby,

wreszcie wolny, odpływa z łopotem płetw. Poświęcił mu tylko przelotne spojrzenie, bo wpatrywał się w klomtery kwadratowe zieleni o dziwnej fakturze, coraz wyraźniej szej, coraz bardziej namacalnej. To dżungla, a oni zaraz w nią uderzą.

## ROZDZIAŁ XI

### Dżungla z waty cukrowej

Mont nie przypominał niczego innego we wszechświecie. Cały składał się z kątów prostych, wewnątrz i na zewnątrz, był z plastiku i metali, martwych, gwiazdnych materiałów. Białe światło jarzące się na górnej ścianie nie należało ani do Voy, ani do słońca. Jeszcze dziwniejsze światelka pełzały po pulpicie sterowniczym i po oknie dziobowym. Mont był ruchomy, a Drzewo Londyn poruszało się tylko z jego pomocą. Skoro Drzewo Londyn było czymś żywym, zamieszkanym przez żywe istoty, to Lawri uważała montaż za jeszcze jedną, odmienną formę życia.

Mont był potężnym sługą. Służył Klance'owi, Uczonemu oraz Lawri. Nieraz odchodził w niebo z ludźmi Floty, jego władcami. Tym razem zabrał również Lawri.

Nie była panią montażu i to działało jej na nerwy.

Dżungla, widziana przez panoramiczną szybę dziobową, była zielona, upstrzona wszystkimi możliwymi kolorami tęczy... w tym również szkarłatnymi punktami oznaczającymi źródła ciepła. Pilot Floty nacisnął przycisk i powiedział:

– Puścić.

Minęła chwila długości wielu oddechów, nim Lawri usłyszała:

– Jesteśmy wolni.

Pilot dotknął klawiszy silników manewrowych. Podmuch pchnął Lawri do przodu, aż oparła się o pasy. Wojownicy przywarli do sieci na powłoce. Teraz, gdy mont zwolnił, znaleźli się w zasięgu okna na dziobie. Chmura niebieskich jak niebo ludzików opadła w kierunku falującej chmury zieleni.

Pilot zwolnił przyciski po dwunastu oddechach (według obliczeń Lawri). Przyglądała się cyfrom migoczącym na ekranie. Zwolnił przy zerze. Dżungla przestała zbliżać się do okna dziobowego montażu.

– Dzicy jeszcze się nie poruszyli – poinformował pilot. Ignorował Lawri, a przynajmniej próbował, wciąż łypiąc oczami to na nią, to w bok. Wcześniej wystarczająco wyraźnie dał do zrozumienia, że pokład nie jest miejscem dla siedemnastoletniej dziewczyny, nieważne, co o tym sądzi Pierwszy. – Są tuż pod zielenią. Jesteś pewien, że chcesz to zrobić?

– Nie wiemy, kim są. – Starożytny mikrofon przekształcił głos Dowódcy Szwadronu w skrzek. – Jeśli to wojownicy, po prostu się wycofamy. Nie potrzeba nam wojowników. Jeśli to nie są wojownicy, tylko się ukrywają...

– Właśnie.

– Znalazłeś inne źródła ciepła?

– Jeszcze nie. Zieleń dobrze odbija, jeżeli nie patrzysz wprost. Może uda nam się wyłowić jakieś mięso... stada łososioptaków... Dowódco Szwadronu, widzę coś z boku. Coś, co spada w kierunku dżungli.

– Coś, to znaczy co?

– Coś płaskiego z przylepionymi do tego ludźmi.

– Widzę. A może to zwierzęta?

– Nie. Korzystam z nauki – odparł pilot.

Obraz nałożony na okno dziobowe pokazywał blisko stłoczone szkarłatne kropki. Ciepłejsze obiekty – na przykład łososioptaki – wydawały się na ekranie bardziej pomarańczowe. Wstęgototy były chłodniejsze: faliste linie ciemniejszej, bardziej krwawej barwy... Pilot obejrzał się i przyłapał Lawri na podglądaniu.

– Nauczyłaś się czegoś, skarbie?

– Nie nazywaj mnie skarbem – odparła Lawri na wpół dumnie, na wpół wymijająco.

– Wybacz mi, Asystencie Uczonego. Czy sądzisz, że nauczyłaś się dość, aby poprowadzić statek?

– Wolałabym nie próbować – skłamała Lawri. – A może chcesz mnie nauczyć?

Tak naprawdę marzyła o tym, by spróbować.

– Pufne – odparł pilot bez żalu. Wrócił do swojego mikrofonu. – To coś uderzyło w dżunglę bardzo mocno, wcale nie jak pojazd, moim zdaniem. Ci ludzie mogą być uciekinierami z jakiejś katastrofy... dokładnie to, czego nam potrzeba na manusy. Może nawet ucieszą się, że nas zobaczą.

– Porozumiemy się z tobą, kiedy będziemy mogli. – Dowódca Szwadronu wydawał się nieobecny myślami i nie bez powodu. Wyrośnięte dzikusy, większe niż człowiek ma prawo być, wysypywały się z zielonej chmury, siedząc okrakiem na większych od siebie zielonożółtych strąkach. Ubrania też mieli zielone, niełatwo ich było dostrzec.

Gdy armie zbliżyły się do siebie, w powietrzu zaroilo się od strzał. Wojownicy Drzewa Londyn korzystali z długich łuków nożnych: drzewce chwytali palcami jednej lub obu stóp, cięciwę rękami. Krótsze strzały wypuszczone przez dzikusów poruszały się wolniej.

– Kusze – mruknął pilot. Regulował silniki, odciągając montaż od walki. Lawri poczuła ulgę, dopóki nie zaczął skrętu.

– Narażasz całego montaż! Dzikusy mogą użyć sieci!

– Uspokój się, Asystencie Uczonego. Poruszamy się dla nich za szybko. – Mont zakręcił z powrotem w ognisko walki. – Nie chcemy dopuścić ich na tyle blisko, żeby walczyć na miecze... nie w swobodnym spadku.

Gdyby zastosować się do życzenia Uczonego, mont nigdy nie zostałby użyty do walki. Umieszczenie na pokładzie Asystenta stanowiło duże dla Uczonego zwycięstwo strategiczne.

Powiedział jej:

– Twoją jedyną troską jest mont, nie żołnierze. Jeśli mont będzie zagrożony, trzeba go usunąć z zasięgu niebezpieczeństwa. Jeśli pilot tego nie uczyni, musisz zrobić to ty.

Nie wyjaśnił jej, jak pokonać wyszkolonego wojownika ani jak latać starożytną maszyną. Uczony sam zresztą też nigdy nie latał.

Dzikusy leciały w kierunku dziobu. Lawri widziała ich przerażone oczy – później pilot obrócił mont. Coś zaczęło mocno walić w powłokę pojazdu. Lawri zadrżała. Tym razem nic nie zrobi. Prędzej zniszczyłaby mont niż go uratowała... i tak po powrocie na Drzewo Londyn będzie miała za swoje.

Dzikusy przegrupowały się, żeby znów zaatakować. Pilot ich ignorował. Ustawił mont pośród własnych żołnierzy.

– Dobrze posunięcie. Dziękuję – odezwał się głos z radia. Lawri obserwowała zbliżającą się grupę dzikich.

– Wszyscy na pokładzie – oznajmił Dowódca Szwadronu.

Mont obrócił się i ruszył przez zieloną watę na południowy zachód. Dzikusy goniły go z wrzaskami i pogrózkami. Nie mieli zresztą nadziei, że go schwytają.

Był jeszcze czas, żeby spojrzeć... i poczuć narastający strach. Gavving usiłował pochłonąć wzrokiem wszystko, zanim zginie.

Ściana kipiąca zielenią, obsypana kwieciami: żółtym, niebieskim, szkarłatnym, w tysiącach odcieni. Otaczały ją chmury owadów. Żywiły się nimi ptaki o różnorodnych kształtach. Niektóre wyglądały jak wstęgi i poruszały się, jakby powiewając na wietrze; inne miały trójkątne, płetwiaste ogony; inne całe były trójkątne, a z tyłu wyrastały im ogony podobne do rzemyków.

Daleko na wschodzie w zieleni widniało zagłębienie w kształcie lejka, o średnicy około kłomtera; trudno było ocenić odległości. Czyżby dżungla miała swoją dziuplę? Dlaczego ta dziupla była otoczona gigantycznymi srebrnymi płatkami? Zanim spadli, największy kwiat wszechświata zaszedł za horyzont dżungli.

Burza ukrywała dżunglę. Gavving wcześniej nie widział jej z bliska, ale co to innego mogło być? Uznał, że moby dobrze to sobie zaplanował.

Ptaki właśnie zauważyły spadającą masę. Nieruchome skrzydła i ogony zatrzepotały nagle tak szybko, że stały się niewidzialne. Wstęgi odfrunęły, jakby unoszone silnym wiatrem. Większe stworzenia, podobne do torped, oderwały się od zieleni, żeby przyjrzeć się spadającemu płatowi kory.

Clave wykrzykiwał rozkazy:

– Sprawdź uwięzi! Uzbroić się! Niektóre z tych stworzeń wyglądają na głodne. Kiedy uderzymy w dżunglę, możemy być oszołomieni. Czy ktoś zauważył coś, co pominąłem?

Gavving pomyślał, że już wie, gdzie uderzą. Zielona chmura. Czy jest taka miękka, na jaką

wygląda? Na północy i wschodzie, daleko, widać było więcej rojów... czego? Z tej odległości wyglądało to jak kropki. Ludzie?

– Ludzie, Clave. Dżungla jest zamieszкана.

– Widzę ich. Drzewne żarcie, oni walczą! Jeszcze jedna wojna, dokładnie to, czego nam potrzeba. A co to takiego? Term, widzisz to, co wygląda jak poruszająca się skrzynia?

– Tak.

– No i co?

Gavving zlokalizował przedmiot o zaokrąglonych kształtach. Obracał się jak istota rozumna, odsuwając się od bitwy. A zatem jest to pojazd... wielki... błyszczący, jakby wykonany ze szkła lub metalu. Jego boków czepiali się ludzie.

– Nigdy nie widziałem czegoś takiego – mruknął Term. – Gwiazdne śmieci.

Tyłna część pudła była ostro zakończona, ze stożkowatymi konstrukcjami: na czterech rogach i pośrodku. Z mniejszych... otworów buchnęły prawie niewidzialne płomienie, nie barwy ognia, lecz białobłękitne, jak światło Voy. Pojazd zatrzymał się w pół obrotu i ruszył w zamęt walki.

– To powinno załatwić sprawę – mruknął Clave. Gavving odwrócił się i zobaczył, co tamten robi: ustawiał strzałostrąki tak, aby tratwa uderzyła w dżungłę najpierw spodnią stroną. Wydawało mu się nawet, że to możliwe, ale dżungla właśnie zniknęła im z pola widzenia. Gavving przytrzymał się kory i czekał...

W głowie mu brzęczało, prawe ramię bolało od uderzenia, żołądek próbował znaleźć coś, czego mógłby się pozbyć, a sam Gavving nie pamiętał, gdzie jest.

Otworzył oczy i zobaczył ptaka.

Ptak miał kształt torpedy i wielkość człowieka. Zwisał nad nim z rozłożonymi, nieruchomymi skrzydłami, obserwując go blisko i głęboko osadzonymi ślepiami. Po drugiej stronie łba tkwił grzebień o ostrych jak piła zębach. Ogon tworzył żebrowany wachlarz, a każde z żeber kończyło się hakowatym pazurem.

Gavving rozejrzał się za swoim harpunem. Uderzenie wytraciło mu go z ręki i teraz leżał w odległości kilku metrów, obracając się powoli. Sięgnął po nóż i uwolnił się z zieleni, w której był do połowy pogrążony.

– Ja jestem mięso, a ty? – szepnął, mając nadzieję, że to zabrzmi groźnie.

Ptak się cofnął. Dołączyły do niego dwa inne. Pyski miały długie i bezczelne, ale zamknięte. Nie blefują, pomyślał Gavving.

Przez zieloną chmurę przebił się czwarty ptak i szybkim ślizgiem skierował wprost w jego głowę. Gavving na czworakach rzucił się do ucieczki; nagle ptak zanurzył pazury ogona w zieleni i zatrzymał się w miejscu. Gavving pozostał tam, gdzie był, to znaczy na pół ukryty pod

tratwą. Ptaki przyglądały mu się drwiąco.

Przywiązany harpun pogrążył się w boku jednego ptaka.

Ptak wrzasnął. W otwartym pysku nie miał zębów, tylko ostrza podobne do nożyc. Zawirował, usiłując dosięgnąć brzucha. Za grzebieniem znajdowało się trzecie oko, patrzące w tył.

Pozostałe podjęły decyzję i odleciały.

Przytrzymując się gałęzi palcami stóp, Alfin przyciągnął ptaka w zasięg ramienia z nożem. W tym czasie Gavving wyciągnął harpun. Przyszpilił nim ogon bestii, podczas gdy Alfin dokończył dzieła. Rękawy jego tuniki zalała różowa krew. Szeroki uśmiech rozciągnął pomarszczoną twarz starego.

– Obiadek – mruknął, potrząsając głową, jakby wypił za dużo piwa. – Nie wierzę. Udało nam się. Żyjemy!

Przez te wszystkie lata spędzone w Kępie Quinna Gavving nie przypominał sobie, żeby widział uśmiech Alfina. Jak Alfin mógł być takim ponurakiem, kiedy mieszkał w kępie, skoro teraz, zagubiony w niebie, wydawał się taki szczęśliwy?

– Gdybyśmy uderzyli z taką prędkością w coś stałego, bylibyśmy martwi. Miejmy tylko nadzieję, że szczęście nas nie opuści.

Z zielonego gąszczu wychynęli pozostali obywatele: Merril, Jayan, Jinny, Term... Minya. Gavving wrzasnął radośnie i chwycił ją w objęcia.

– Gdzie Clave? – zapytał Alfin.

Rozejrzeli się wokół. Term przywiązał się do kory i skoczył w kierunku burzy, obracając się powoli.

– Nigdzie go nie widzę! – zawołał.

Jayan i Jinny pogrążyły się w listowiu. Minya zawołała:

– Zaczekajcie, zgubicie się! – i ruszyła, żeby je dogonić.

– Tu jest!

Clave leżał pod płatem kory. Przesunęli kory, żeby go odsłonić. Był półprzytomny i cicho jęczał. Udo miało zgięte w połowie, z krwawej rany wystawała biała kość.

Term trwożliwie usunął się do tyłu, ale wszyscy spoglądali właśnie na niego. Najwidoczniej była to robota dla Uczonego. Postawił Alfina i Jayan, żeby trzymali Clave'a za ramiona. Gavving miał ciągnąć za kostkę, podczas gdy Term przesuwiał kości na miejsce. Długo to trwało. Clave ocknął się i zemdlął znowu, zanim skończyli.

– Ta latająca skrzynia tu leci – mruknął Alfin.

– Jeszcze nie skończyliśmy – upomniał go Term.

Skrzynia z gwiazdowego materiału leciała w ich stronę poprzez burzową chmurę i zielone liście. Mężczyźni odziani w jasny błękit wisieli na jej burtach. Szklisty przód wpatrywał się

w nich jak ogromne oko.

Clave otworzył oczy, ale chyba nie rozumiał, co się dzieje. Ktoś musiał coś zrobić. Gavving odezwał się:

– Alfin, Minya, Jinny... przynajmniej przeciągnijmy korę poza zasięg wzroku.

Obrócili ją na sztorc i wepchnęli w gąszcz. Gavving ruszył w tym kierunku, a Minya za nim, przepychając się przez gęstwinę w ciemnozielony mrok. Na powierzchni liście były gęste, ale tu, pod spodem, można było znaleźć otwarte przestrzenie i sprężyste gałązki.

– Term?

– Uczony – poprawił go Term, podnosząc wzrok.

– Dobrze, Uczony. Potrzebuję Uczzonego – oznajmił Alfin. – Możesz go zostawić na chwilę?

Clave był półprzutomny i jęczał cicho. Powinien być bezpieczny pod opieką dwóch kobiet.

– Zawołajcie mnie, gdyby zaczął się rzucać – polecił Term. Odszedł na bok. Alfin podążył jego śladem.

– Jaki masz problem?

– Nie mogę spać.

Term roześmiał się.

– Mieliśmy trudny okres. Kto z nas mógłby się pochwalić spokojnym snem?

– Nie spałem od czasu, gdy dotarliśmy do punktu środka. Jesteśmy w dżungli, mamy jedzenie i wodę, ale Term... Uczony, my wciąż spadamy!

Alfin nie wyglądał dobrze. Miał opuchnięte oczy i oddychał nieregularnie, był nerwowy jak indyk, którego jedli na kolację.

– Wiesz o swobodnym spadku tyle, co i ja – odrzekł Term. – Nauczyłeś się go tak samo jak ja. Odbija ci, czy co?

– Coś mi się tak zdaje. Nie jestem bezbronny. Zabiłem ptaka, który zamierzał się na Gavvinga.

Potoczył dookoła dumnym wzrokiem.

Term przetrawiał problem.

– Mam jeszcze trochę tego szkarłatnego brzegu z grzyba, ale... wiesz, jaki jest niebezpieczny. Zresztą teraz chyba nie chciałbyś spać.

Alfin spojrzał w niebo. Gwiazdne pudło wcale się nie spieszyło, ale...

– Nie, nie teraz.

– Może kiedy będziemy bezpieczni. Bo nie mam go wiele.

Alfin skinął głową i odwrócił się. Term pozostał tam, gdzie był. Potrzebował samotności, żeby ukoić rozdygotany żołądek. Nigdy wcześniej nie nastawiał złamanej kości, a teraz musiał to zrobić bez pomocy Uczzonego...



Alfin ruszył w stronę Jayan, Merrill i Clave'a. Obejrzał się raz, ale Term spoglądał w niebo. Kiedy obejrzał się znowu, Terma nie było. Jayan krzyknęła.

Ciemność i dziwne, ruchome cienie sprawiły, że byli prawie niewidzialni, nawet dla siebie nawzajem.

– Możemy się tutaj ukryć – szepnął Gavving.

Minya skinęła głową.

– Ukryjcie się głęboko. Trzymajcie się razem. Co z Clave'em?

– Będziemy musieli go przepchnąć. Tylko którądy?

– Nic z tego. Urazimy go – zaprotestowała Jinny.

Gavving przesunął palcami po grubszych gałązkach, aż do konara.

– Utnij – polecił Minyi.

Nie miała miejsca, żeby się zamachnąć. Użyła miecza jak piły i trwało to ponad sto oddechów. A potem Gavving pociągnął za pęk gałązek i stwierdził, że wyjął go jak wtyczkę. Wypchnął się na otwartą przestrzeń i rozejrzał dookoła.

– Merrill! Tutaj!

– Dobrze! – odrzyknęła Merrill. Wraz z Alfinem pospiesznie pociągnęli Clave'a w kierunku otworu. Jednooka skrzynia była coraz bliżej. Jej mieszkańcy pewnie już ich obserwowali.

Będą musieli szybko, bardzo szybko zagrzebać się głęboko w gałązkach. Ale...

– Gdzie Jayan? Gdzie Term?

– Znikła – dyszała Merrill. – On też. Coś go wciągnęło... w gęstwinę.

– Co?

– Ruszaj się, Gavving!

Wciągnęli Clave'a do środka i z powrotem wetknęli kępe-zatyczkę. Gavving zauważył, że noga Clave'a jest prowizorycznie usztywniona paskami koca i dwiema strzałami Minyi.

– Ludzie ze skrzyni – szepnęła Minya. – Idą za nami.

– Wiem, Merrill, ale co porwało Terma? Jakies zwierzę?

– Nie widziałam. Krzyknął i już go nie było. Jayan złapała harpun i weszła za nim. Widziała ludzi, którzy uciekają w gęstwinę. Ona ciągnie za sobą linę, więc możemy ją zatrzymać. Na pewno spróbują ją uwięzić.

Dlaczego wszystko musi się dziać jednocześnie? Noga Clave'a, porywacze, ruchoma skrzynia...

– Dobrze. Żołnierze ze skrzyni musieliby być głupcami, żeby tu przyjść. To teren tubylców.

– Ale my tu jesteśmy.

– Jesteśmy bardziej zdesperowani... nieważne, masz rację. W tej chwili ruszamy za Jayan, ponieważ dzięki temu oddalimy się od tego gwiazdnego reliktu. – Czy Merrill nie będzie ich

spowalniała? – zastanawiał się. Prawdopodobnie nie, nie w wolnym spadku. Dobrze. – Merrill, ja i Minya pójdziemy za Jayan i zobaczymy, co się dzieje. Może uda nam się odbić Terma. Jinny, ty i Alfin będziecie szli za nami tak szybko, jak to możliwe, razem z Clave'em. Merrill, gdzie jest lina Jayan?

– Gdzieś tam. Drzewne żarcie, czemu to wszystko musi dziać się jednocześnie?

– Właśnie...

## ROZDZIAŁ XII

### Łowcy manusów

Ptaki wznieciły niemiłosierny jazgot. Niewidoczne dłonie przepychały Terma głową naprzód przez ciemność i duszny zapach obcego listowia. Gałązki przestały drapać go po twarzy – prawdopodobnie otaczała go otwarta przestrzeń.

Nie dostał żadnego ostrzeżenia, kiedy czyjeś dłonie chwyciły go za kostki i ściągnęły do innego świata. Jego krzyki stłumiło coś, co wepchnięto mu do ust, coś niezbyt czystego, w dodatku przymocowanego szmatą. Cios w głowę przekonał go, żeby się nie miotać.

Wzrok zaczynał mu się przyzwyczajać do ciemności.

Poprzez listowie wiódł tunel, bardzo wąski. Dwie osoby mogły w nim pełznąć obok siebie, ale nie iść. Nie potrzeba, myślał Term. Bez wiatru i tak nie da się iść.

Jego napastnicy byli, ogólnie rzecz biorąc, ludźmi.

Wszyscy byli kobietami, ale aby to spostrzec, trzeba było bliżej się przyjrzeć. Nosiły skórzane kubraki i spodnie, zafarbowane na zielono. Luźne kubraki były jedynym ustępstwem na rzecz piersi. Trzy z pięciu miały włosy obcięte tuż przy skórze, a wszystkie wyglądały jak rozciągnięte: co najmniej dwa i pół do trzech metrów, wyższe niż którykolwiek z mężczyzn plemienia Quinna.

Niosły małe łuki z drewna na drewnianych podstawkach; cięciwy odciągnięte, gotowe do strzału.

Nie spieszyły się. Tunel skręcał i zawracał, aż Term zupełnie stracił orientację. Wycucie kierunku nie podpowiadało mu, gdzie jest góra, a gdzie dół. Znalazł się w pękatym pomieszczeniu o średnicy czterech lub pięciu metrów, z wylotami trzech innych tuneli. Tu kobiety się zatrzymały. Jedna wyciągnęła mu gałgan z ust.

– Drzewne żarcie – splunął w bok.

Kobieta przemówiła. Była ciemnoskóra; włosy tworzyły zwartą, czarną chmurą burzową poprzetykaną białymi błyskawicami. Miała dziwny akcent, jeszcze dziwniejszy niż Minya.

– Dlaczego nas zaatakowaliście?

Term krzyknął jej prosto w twarz:

– Głupia! Widzieliśmy waszych napastników! Mieli pudło do podróżowania wykonane z gwiazdnego materiału. To nauka! My dotarliśmy tutaj na płacie kory!

Skinęła głową, jakby tego się właśnie spodziewała.

– Dziwny sposób wędrowania. Kim jesteście? Ilu was jest?

Czy powinien to ujawnić? Ale Plemię Quinna musi kiedyś znaleźć przyjaciół. Na Golda...

– Ośmioro. Wszyscy z Plemienia Quinna, z wyjątkiem Minyi, z drugiej kępy. Nasze drzewo

się rozpadło i zostaliśmy rozbitkami.

Zmarszczyła brwi.

– Mieszkańcy drzew? Łowcy manusów są mieszkańcami drzew.

– Dlaczego nie? Nigdzie indziej nie ma wiatru. Kim jesteście?

Przyglądała mu się beznamiętnie.

– Jak na schwytanego najeźdźcę, jesteś bardzo bezczelny.

– Nie mam nic do stracenia. – W chwilę później dotarło do niego, jak prawdziwe były te słowa. Ośmioro rozbitków zrobiło wszystko, aby znaleźć bezpieczne schronienie, a tak wyglądał koniec ich wędrówki. Nie pozostało nic.

Kobieta przemówiła znowu.

– Co? – nie zrozumiał.

– Jesteśmy Stanami Carthera – powtórzyła niecierpliwie ciemnowłosa kobieta. – Ja jestem Kara. Szarmanka – pokazała na siebie palcem. – To Lizeth. I Hild.

Dla nieprzyzwyczajonego oka Terma wyglądały jak bliźniaczki: wysokie jak widma, o bladej skórze, czerwone włosy przycięte na dwa centymetry od czaszki.

– Ilsa – pokazała znów ciemnoskóra. Spodnie Ilsy były równie luźne jak kubrak. Ta dyskretna wypukłość brzucha... Ilsa była w ciąży. Włosy miała jak jasny puch, przez który widać było skórę głowy. Długie włosy muszą stanowić problem wśród gałązek.

Włosy ostatniej – Debby – były czyste, proste i miały łagodny, brązowy kolor. Nosiła je długie na pół metra i wiązała w kucyk. Jak mogła utrzymać je w takim porządku?

Szarmanka. Mogło to oznaczać szamana... dawne określenie Uczonego lub odpowiednik Przywódcy... poza tym, że to kobieta. Obcy nie muszą przecież robić wszystkiego tak samo jak Plemię Quinna. Ale odkąd to Przywódca ma własne imię?

– Nie powiedziałeś, jak się nazywasz – kąśliwie zauważyła Kara.

A jednak coś mu zostało.

– Jestem Uczonym Plemienia Quinna – rzekł z pewną dumą.

– Jak się nazywasz?

– Uczony nie ma nazwiska. Kiedyś nazywali mnie Jeffer.

– Co robisz w Stanach Carthera?

– Spytaj moby'ego.

Lizeth walnęła go kostkami palców w tył czaszki, na tyle mocno, żeby zabołało.

– Nie żartuję! – warknął. – Umieraliśmy z pragnienia. Złapaliśmy moby'ego. Clave miał nadzieję, że będzie próbował nas zrzucić w stawie, a on przywłókł nas tutaj.

Twarz Szarmanki nie ujawniała jej opinii na ten temat.

– Cóż, wydaje się, że to dość niewinne – odparła. – Powinniśmy przedyskutować sytuację po posiłku.

Ponizienie Terma nie pozwalało mu mówić... dopóki nie zobaczył posiłku i nie rozpoznał harpuna.

– To ptak Alfina.

– Należy do Stanów Carthera – poinformowała go Lizeth.

Stwierdził, że nic go to nie obchodzi. Brzuch miał rozpaczliwie pusty.

– To drewno wygląda na zbyt zielone, żeby nim rozpalić ogień...

– Łosioptaka je się na surowo, ze spadającą cebulką, jeśli ją znajdziemy.

Surowy? Buee!

– Spadająca cebulka?

Pokazały mu. Spadająca cebulka była pasożytem roślinnym, rosnącym w rozwidleniu gałęzi. Wyglądała jak zielona rurka z pękiem różowych kwiatuśków na końcu. Ładna szatynka imieniem Debby zebrała pęk i odcięła kwitnące końce. Miecz Ilsy ciął szkarłatne mięso na plastry tak cienkie, że prawie przejrzyste.

Tymczasem Kara przywiązała prawy przegub Terma do jego kostek, uwalniając mu lewą dłoń.

– Nie odwiązuj nic więcej – ostrzegła.

Surowe mięso, pomyślał i zadrżał, ale poczuł, że ślinka napływa mu do ust. Hild owinęła płatki mięsa wokół zielonych łodyżek i podała jeden Termowi. Ugryzł.

Poczuł, że zaraz zemdleje. Można nauczyć się odsuwać od siebie głód w czasie nieurodzaju... ale Term z całą pewnością był głodny. Mięso miało dziwną, gumową konsystencję, ale bogaty aromat. Cebulka była ostra, ale rozpływała się w ustach.

Przyglądały się, jak je. Muszę z nimi rozmawiać, myślał jak przez mgłę, to nasza ostatnia nadzieja. Musimy się do nich przyłączyć. Jeśli nie, to co mamy zrobić? Pozostać tutaj i pozwolić się odłowić jak zwierzyna? Pozwolić, żeby najeźdźcy nas złapali, czy może skoczyć w niebo?

Ptak wielkości człowieka kurczył się w oczach. Lizeth zdawała się zadowalać odkrawaniem płatów, dopóki zniknęły; Debby zaczęła kroić cebulki, by było ich więcej. Kobiety dawno skończyły jeść i przyglądały mu się z irytującymi uśmiezkami. Term zaczął się zastanawiać, czy uznają beknięcie za oznakę złych manier; wolał je przełknąć. Nauczył się już tego podczas wspinaczki: beknięcie w swobodnym spadku, bez powiewu, który wypchnąłby gaz na szczyt żołądka, było złym zwiastunem.

Poprosił o wodę. Lizeth podała mu gurdę i napił się do syta. Cebulka już się skończyła. Z przyjemnie pełnym żołądkiem Term zakończył posiłek garścią zieleniny.

Nie może być całkiem złe coś, dzięki czemu jest mu tak dobrze.

Kara Szarmanka odezwała się:

– Dla mnie to jasne, że jesteś uciekinierem. Nigdy nie widziałam wygłodniałego łowcy manusów.

Test? Term nie spieszył się z przelknięciem.

– Ślicznie – rzekł. – Skoro już to ustaliliśmy, czy możemy pogadać?

– Gadaj.

– Gdzie jesteście?

– Nigdzie. Nie zaprowadzę cię do reszty plemienia, dopóki nie dowiem się, kim jesteś.

Nawet tu łowcy manusów mogą nas znaleźć.

– Kim są ci... łowcy?

– Łowcy manusów. Nie używacie słowa „manus”? – W jej ustach brzmiał to bardziej jak „hmanus”.

– U nas to tylko obelga – odparł.

– Nie dla nas ani dla nich. Biorą nas jako hmanusów, żebyśmy pracowali dla nich do końca życia. Chłopie, co ty robisz?

Term sięgnął wolną ręką do plecaka.

– Jestem Uczonym Plemienia Quinna – rzekł lodowatym tonem. – Myślę, że może mi się uda znaleźć historię tego słowa.

– Spróbuj.

Term rozwinął czytnik. Stany Carthera poświęciły mu całą swoją uwagę. Kobiety były czujne i pełne podziwu; Lizeth trzymała włócznię w pogotowiu. Wybrał kasetę z zapisami, włożył do czytnika i powiedział:

– Prikazywat znajdź manus.

**NIE ZNALEZIONO**

– Prikazywat znajdź... – powtórzył Term i podsunął czujnik do twarzy Kary. Szarmanka cofnęła się, ale powiedziała do maszyny:

– Hmanus.

**HUMANUS?**

– Prikazywat wyjaśnij.

Ekran wypełnił się drukiem.

– Możecie odczytać? – zapytał Term.

– Nie – odpowiedziała Kara w imieniu wszystkich.

– HUMANUS – zaczął Term – to obraźliwe określenie, używane najpierw jako nazwa ludzi zamrożonych dla celów medycznych. W stuleciu poprzedzającym znalezienie Państwa dziesiątki tysięcy zamrożono zaraz po śmierci w nadziei, że uda się ich ożywić i uzdrowić. Okazało się to niemożliwe. Państwo jednak wykorzystało później zgromadzone istoty. Z zamrożonego mózgu można było odzyskać wzorce pamięci, z centralnego systemu nerwowego – RNA. Przepięca, poddany praniu mózgu, mógł teraz otrzymać nową osobowość. Taki humanus nie miał obywatelstwa. Później procedurę ulepszone i zastosowano dla pasażerów i załóg długich podróży

międzygwiazdnych.

Statek rozrodczy „Dyscyplina” miał załogę składającą się między innymi z ośmiu humanusów. Zespoły pamięci należały do szanowanych obywateli w sędziwym wieku, o umiejętnościach odpowiednich do podróży międzygwiazdnej. Wydawało się, że humanusy powinny być zadowolone z nowych, zdrowych i młodych ciał. Założenie to okazało się... nie wszystko rozumiem. Jedno wydaje się, oczywiście: manus nie jest obywatelem. Nie ma praw. Jest własnością.

– To się zgadza – odparła Debby ku widocznemu zdenerwowaniu Szarmanki.

A więc Szarmanka mi nie wierzy. No to co? – pomyślał Term.

– Jak was tu znajdują? Przecież las ma pewnie tysiące klomterów sześciennej, wy go znacie, oni nie. Nie rozumiem, po co w ogóle walczyacie.

– Znajdą. Już dwa razy znaleźli nas ukrytych w dżungli – z goryczą odparła Kara. – Ich Szarman jest lepszy ode mnie. A może to nauka wzmacnia ich zmysły. Term, chciałobyśmy mieć twoją wiedzę.

– Zrobicie z nas obywateli?

Pauza trwała sekundy.

– Jeśli będziecie walczyć – odparła.

– Clave złamał nogę, kiedy spadł.

– Obywatelami stają się tylko ci, którzy walczą. Nasi wojownicy walczą teraz i nie wiem, czy uda im się odpędzić łowców hmanusów. Jeśli kilku zranimy, być może nie będą szukali naszych dzieci, starców i kobiet, które mają gości.

Gości? Aha, brzemiennych!

– A co z Clave'em i kobietami? Co się z nimi stanie?

Szarmanka wzruszyła ramionami.

– Mogą mieszkać z nami, ale nie jako obywatele.

Nie za dobrze, ale chyba więcej nie uda mu się osiągnąć. – Nie mogę powiedzieć tak ani nie. Musimy porozmawiać, Karo... ach!

– Co się stało?

– Właśnie sobie coś przypomniałem. Karo, są takie rodzaje światła, którego nie możesz zobaczyć. Kiedyś były takie maszyny, które widziały ciepło ciała. Tak was odnajdują.

Kobiety spojrzały po sobie z przerażeniem. Debby szepnęła:

– Ale tylko trup jest zimny.

– Zapalcie ogień w całym lesie. Niech sprawdzają wszystkie po kolei.

– To niebezpieczne. Ogień może... – urwała. – Nieważne. Ogień zgasną, jeśli ich nie będziemy podsycać. Dym je zdusi. Ale może się udać, zwłaszcza pod powierzchnią dżungli.

Term skinął głową i sięgnął po garść zieleniny. Sprawy przybierały coraz lepszy obrót. Jeśli

choć niektórzy staną się obywatelami, będą mogli chronić resztę. Może Plemię Quinna znalazło dom...

– Trzy grupy i pogrążają się coraz głębiej. Ślady się zacierają – mówił niewyraźnie głos pilota. Mont wisiał nad ramieniem Dowódcy Szwadronu Patry’ego, z dziobem skierowanym w dżunglę. – Idziemy za nimi?

– Jak duże grupy?

– Dwie po trzy i jedna większa. Duża grupa ruszyła pierwsza. Prawdopodobnie ich nie złapiecie.

Szarpięta przez ludzi Patry’ego wielka, zielona masa oderwała się od reszty i odpłynęła. Patry raportował:

– Znaleźliśmy miejsce, przez które weszli. Idziemy za nimi. – Dołączył do reszty. – Mark, weź namiar. Pozostali idą za mną. Omijajcie te żółte paprocie, są trujące.

Mark był karłem, jedynym człowiekiem na Drzewie Londyn, który mógł nosić starożytną broń; dlatego tylko on mógł opiekować się karabinem. Dziesięć lat temu skłonny byłby unikać ataku, dopóki nie przekonał się o swojej niewrażliwości. Ludzie nazywali go Mały, dopóki sam Patry nie zrobił im o to dzikiej awantury. Mark urodził się, aby nosić tę broń i nauczył się czynić to dobrze.

Minął odcięty krzew i ruszył w ciemność, a za nim cała reszta piechoty Drzewa Londyn.

Ból był rzeczywisty i koncentrował się nad kolanem Clave’a, ale co chwila rozprzestrzeniał się na całe ciało. Reszta znikła i pojawiała się na przemian. Ktoś holował go poprzez tunel. Niedługo wyciągi z roślin Uczzonego uśmierzą ból. Ale czy rośliny nie zginęły w czasie suszy? A drzewo... już nie istnieje. Nie ma Uczzonego, a Term nie ma narkotyków, zresztą Terma też nie ma. Tak niewielu rozbitków wędrowało za Termem poprzez zielony mrok. Żałosne resztki plemienia Clave’a zostały rozdzielone, a dla rannego nie było lekarstwa.

Jinny i Minya zatrzymały się nagle, boleśnie urażając go w nogę. Ból otumaniał mu umysł. A potem kobiety zanurzyły się w ścianach tunelu i zniknęły między gałązkami. Clave zaczął lecieć w swobodnym spadku, opuszczony.

Spadając, obrócił się, a wtedy lot stał się koszmarem. Znalazł się naprzeciwko okrągłej istoty bez twarzy. Zjawa uniosła coś... metalowego? Odłamek wbił się w żebro Clave’a. Wyciągnij go. Umysł ogarniała mu mgła... czy to cierń? Stworzenie z metalu i szkła przecisnęło się przez ścianę tunelu, ignorując Clave’a. Akolici ruszyli za nim. Byli to niebiesko odziani mężczyźni niosący ogromne, niezgrabne łuki.

Ból zniknął i rzeczywistość się rozplywała. A zatem było jakieś lekarstwo.



– Widzę, że dogoniliście pierwszą grupę – powiedział pilot. – Najdalsza grupa się zatrzymała. Środkowa dołączyła do nich. Może powinniście zrezygnować.

– Wysłałem Toby'ego z powrotem, z dwoma manusami. Trzeci ma złamaną nogę, więc go zostawiliśmy. Mamy prawie pełne siły. Zobaczmy po prostu, co się stanie.

– Patry, czy w twojej misji nie ma nic niezwykłego?

Poufne... och, czy to ma jakieś znaczenie?

– Złapać parę manusów... ustrzelić parę ptaków. Zebrać trochę przypraw. Znaleźć wszystko, co może mieć coś wspólnego z nauką.

To ostatnie nie było sprawą prostą. Może Pierwszy Oficer chciał, żeby Uczony czuł się zobowiązany. Patry nie skomentował tego, nie przy Asystencie Uczonego.

– Świetnie. Macie manusy. Ile potrzebujesz? Chyba nie spodziewasz się naprawdę znaleźć tu czegoś dla nauki, co?

– Przed nami jest duża grupa. Przynajmniej sprawdzę sytuację. – Patry ściszył aparaturę. Piloci potrafili się zakłócić na śmierć, a on potrzebował ciszy.

Gavving nie zagrzebał się jeszcze daleko, gdy natrafił na linę Jayan, która zawiodła go do tunelu wyciętego w listowiu. Teraz poruszali się szybciej.

Gavving był wystarczająco głodny, aby spróbować liści pomimo ich obcego zapachu. Smak też był obcy, ale słodki i przyjemny. Zjadł jeszcze trochę.

Właściwie czuł się tu prawie jak w domu. Zanurzał palce stóp w gałązkach i nogi niosły go znajomym rytmem. Piski i skrzeki tysięcy niewidzialnych stworzeń otaczały go ze wszystkich stron. Tak głęboko w gąszczu nie mogły mieszkać ptaki, ale jednak ćwierkały, a w razie potrzeby pewnie potrafiłyby też latać. Były to dźwięki z dzieciństwa Gavvinga, zanim susza zabiła małe żyjątko w całej kępie.

Chwilami zapominał, że to nie Kępa Quinna, że idzie za wrogiem, który zna gęstwinę tak samo, jak Gavving znał swoją kępę.

Minya chyba nie miała takich problemów. Również garściami zjadała liście, ale w jednej ręce trzymała strzałę, a w drugiej łuk. Poruszali się szybciej niż lina, która sunęła przed nimi. Merrill zwijała ją, w miarę jak się zbliżali. Zwój zwisał jej z kciuka, bo musiała używać obu rąk, żeby się poruszać. Gavving zauważył to i powiedział:

– Daj mi to na chwilę, a ty coś zjedz.

– Lepiej, żebyś miał wolne ręce – prychnęła, ale po chwili dodała, jakby żalując ostrego tonu: – Potrzebuję rąk, żeby iść. Ty swoimi możesz walczyć. Gdzie masz harpun?

– Na plecach. Wszystko jest w porządku, dopóki Jayan wciąż ciągnie linę – odparł i zaraz zauważył, że lina zwisa luzem. Zanim ruszył dalej, sięgnął po harpun.

Ze ściany tunelu wychynęło nagle bezcielesne, białe ramię i skinęło na niego.

Jayan wyrzała spoza zasłony gałązek. Odezwała się chrapliwym, przerażonym szeptem:

– Są przed nami.

– Gdzie?

– Niedaleko. Nie wchodźcie do tunelu. Ciągnie się przez jakiś czas prosto, ale później się rozszerza i tam na pewno was zobaczą. Idźcie tam gdzie ja, bo inaczej usłyszą trzask łamanych gałązek.

Poszli za nią w gąszcz.

Jayan wyłamała sobie ścieżkę. Dwa razy musiała przecinać grubsze gałęzie. Wreszcie znaleźli się za cienką zasłoną z gałązek. Obserwowali stamtąd, jak Term rozmawia z dziwnymi kobietami.

Były smukłe i wydłużone, jak przesadzone wyobrażenia idealnej kobiety... lub dalszy etap ewolucji rodzaju ludzkiego. Wydawały się spokojne. Term również. Stopy i jedną dłoń miał związane, ale spokojnie podjadał liście i rozmawiał. Z ptasich szczątków pozostały głównie kości.

Gavving czuł na ramieniu ciepły oddech Minyi.

– Chyba Term się z nimi dogadał – szepnęła. – Nic nie słyszę, a ty?

– Ja też nie. – Ptaki śpiewały za głośno. Co jakiś czas, kiedy ktoś się poruszył, rozlegał się cichy trzask, co sprawiało, że Gavving cieszył się z ptasiego jazgotu. Ale i tak ktoś zdecydowanie za bardzo hałasował...

Minya wyskoczyła z gałęzi z okropnym trzaskiem, dokładnie w środek dziwnych kobiet, i wrzasnęła:

– Gwiazdny potwór! Tam!

Gavving ruszył za nią, gotów do walki. Wolałby wprowadzić, żeby go ostrzegła...

Dziwne kobiety nie wahały się ani przez moment. Pięć z nich skoczyło w stronę innych tuneli i znikły w trzech kierunkach. Szósta nie była tak zwinna. Stuknęła głową o brzeg tunelu i upadła, nieprzytomna. Czy mogła uderzyć się aż tak mocno?

Term usiłował uwolnić dłonie. Gavving poczuł nagle, że coś ukłuło go w nogę. Odwrócił się, żeby walczyć.

Walczyć z czym? Ze stworzeniem ze szkła i metalu! Za nim widać było normalnych ludzi, którzy celowali, posługując się palcami stóp, dłońmi odciągali ciężki olbrzymich łuków... ale nie strzelali. Dziwna istota wycelowała metalową tubę najpierw w Minyę, a potem w Terma. Harpun Gavvinga odskoczył od twarzy istoty z lustrzanego szkła. Skierowała w niego rurę i ukłuła go jeszcze raz.

Nie można walczyć z nauką, pomyślał Gavving. Wyciągnął długi nóż i skoczył na potwora. A potem wszystko zmieniło się sen...

– Jesteście za głęboko – powiedział pilot. – Nie mogę uzyskać pojedynczych odczytów. Mam jakąś ciepłą plamę, skupisko tuzina czy coś koło tego. Czy to wy i manusy razem?

– Wygląda na to, że tak. Mamy tu sześć manusów, jeden już nawet związany. Pozostawiamy tego bez nóg. W ten sposób razem jest nas siedmiu. Część uciekła przez tunele. Możesz ich zlokalizować?

– Tak. Wydaje mi się, że znowu są razem. Na wschód od ciebie jest bardziej skupiony, jaśniejszy punkt. Powiedziałbym, że powinieneś teraz dać spokój. Zabij parę ptaków.

– Jest tam coś... mam tu coś naukowego, coś, czego nie rozumiem. O wiele za bardzo naukowe.

Dowódca Szwadronu Patry podniósł prostokątne lustro, które nie dawało odbicia, lustro, które świeciło własnym światłem. Z pewną obawą przesunął coś, co na pewno było wyłącznikiem. Ku jego wielkiej uldze światło zgasło.

– Masz rację. Mamy dość. Wychodzimy.

## ROZDZIAŁ XIII

### Asystent Uczonego

Znużenie... dziwne, przyjemne uczucie, jakby musowanie krwi... skurcz i opór na kostkach i przegubach dłoni... wspomnienia przesuujące się na swoje miejsce, układające się powoli. Term czekał z otwarciem oczu, aż jego umysł powróci do równowagi.

Znów był związany. Napięcie w przegubach i kostkach utrzymywało jego ciało w wyprostowanej pozycji. Zaczynam wpadać w nawyk, pomyślał. Szarpnął i więzy ustąpiły. Był przywiązany do sieci, twarzą w dół. Przed oczami miał ścianę, która była twarda, zimna i gładka, przezroczysta na głębokość jednego milimetra na szarym podłożu. Nigdy wcześniej nie widział nic podobnego. Z pewnej odległości mogło się wydawać, że to metal.

Leżał na latającym pudle. Kiedy przekręcił głowę, ujrzał pozostałych: Minyę, Gavvinga, Jayan (już przebudzoną, ale usiłującą to ukryć), Jinny. Po prawej stronie zobaczył rząd martwych łososiopłaków i wstęgolotów, Alfina, który uśmiechał się przez sen, i jedną z kobiet Stanów Carthera, ciężarną Ilse. Oczy miała otwarte i puste, bez nadziei.

Nad ich głowami rozległ się jowialny głos:

– Niektórzy z was już się obudzili...

Term wygiął się w łuk, żeby zobaczyć mówiącego, który stał mu nad głową. Łowca manusów był wysokim, masywnym i dobronim człowiekiem. Trzymał się sieci w pobliżu okna.

– Nie próbujcie się wymknąć. Zginiecie w niebie, a my po was nie wrócimy. Nie chcemy głupich manusów..

– Możemy porozmawiać między sobą? – zawołała Minya.

– Oczywiście, jeśli nie będziecie mi przerywać. Na pewno ciekawi jesteście, co się z wami stanie. Otóż zostanieie odwiezieni na Drzewo Londyn. Na drzewie jest wiatr. Będziecie musieli przyzwyczać się do podnoszenia różnych rzeczy i utrzymywania się na nogach tak, aby się nie przewrócić... i tak dalej. Polubicie to. Możecie tam zagotować wodę, nie rozlewając jej na wszystkie strony, a to pozwoli wam gotować różne potrawy, jakich nigdy nie próbowaliście. Zawsze wiecie, gdzie jesteście; wystarczy wypuścić przedmiot z dłoni i zobaczyć, co się z nim dzieje. Możecie wyrzucać śmieci... – Pod ich stopami rozległ się denerwujący, świszający dźwięk. Łowca manusów podniósł głos: -... które na pewno do was nie wrócą.

Przestał mówić, bo niektórzy więźniowie zaczęli krzyczeć.

Term poczuł powiew na stopach. Nie był zdziwiony, kiedy stwierdził, że niebo wiruje wokół niego: zielony las, pas błękitu, puszysta biel. Wzorzysta zieleń u jego stóp zaczęła się kurczyć.

Wiał wilgotny wiatr. Otaczała ich coraz gęstsza mgła. Spanikowane wrzaski przeszły

w łkanie. Nagle Term usłyszał głos Alfina:

– Drzewne zarcie! Wracamy w tę drzewnożarciową chmurę burzową. Kto miał tak genialny pomysł... – Wreszcie chyba sam się uciszył, bo nikt inny nie był w stanie go dosięgnąć.

Strażnik czekał na ciszę.

– To bardzo niegrzeczne, kiedy manus przerywa obywatelowi. Ja jestem obywatelem. Na czas tej podróży postaram się o tym zapomnieć, ale wy także musicie się czegoś nauczyć. Są pytania?

– Jakim prawem? – krzyknęła Minya.

– Nigdy tak nie mów – odparł łowca manusów. – Coś jeszcze? Minya na krótką chwilę opanowała gniew.

– A co z naszymi dziećmi? Czy one także będą manusami?

– Będą miały szansę, aby zostać obywatelami. Istnieje coś takiego jak inicjacja. Niektórzy nie zechcą jej przejść. Inni nie dadzą rady.

Mgła otuliła ich całkowicie. Nawet łowca manusów był ledwie widoczny. Przeszła nad nimi fala kropel wielkości kciuka. Zmoczyła ich doszczętnie.

Ponieważ nikt inny nie wykazywał ochoty do rozmowy, odezwał się Term:

– Czy Drzewo Londyn utknęło w chmurze burzowej? Łowca manusów roześmiał się.

– Nigdzie nie utknęliśmy. Przenieśliśmy się do chmury, ponieważ potrzebujemy wody. Przypuszczam, że kiedy was dostawimy do domu, wyjdziemy z chmury.

– Jak?

– To informacja poufna.

Gavving właśnie otworzył oczy. Rozejrzał się wokół i dojrzał Terma.

– Co się dzieje?

– Jedna dobra nowina: będziemy mieszkać na drzewie.

– Jako kto?

– Manusy. Przedmioty. Służba.

– Hmm... lepsze to niż śmierć z pragnienia. Gdzie jesteśmy? Czy to latające pudło?

– Zgadza się.

– Nie widzę Clave'a. Ani Merrill.

– Też się zgadza.

– Czuję się cudownie – dodał Gavving. – Dlaczego mi jest tak dobrze? W tych cierniach musiało coś być, coś takiego, jak czerwony brzeg grzyba-wachlarza.

– Być może.

– Nie jesteś zbyt rozmowny.

– Nie chcę niczego przegapić – odparł Term. – Jeśli dowiem się, jak dotrzeć do Drzewa Londyn, może uda mi się nas wydostać. Przekonałem paru obywateli z Plemienia Carthera, że

powinni nas przyjąć.

Gavving odwrócił się w stronę Minyi. Przez dłuższą chwilę rozmawiali przyciszonym głosem. Term nie próbował podsłuchiwać. I tak było zbyt głośno. Ryk przycichł, ale śpiew wiatru nie ustawał.

– Zbyt wiele zmian – szepnęła Minya. – Wiem.

– Wydaje mi się, że nic nie czuję. Chciałabym się wściekać, ale nie potrafię.

– Jesteśmy pod wpływem narkotyków.

– To nie to. Byłam Minyią ze Szwadronu Triunów Kępy Daltona-Quinna. Potem zaginęłam w niebie i umierałam z pragnienia. Znalazłam ciebie, poślubiłam i stałam się częścią plemienia Ciemnej Kępy. Doczepiliśmy się do moby’ego i wpadliśmy w dżunglę. A teraz czym jesteśmy? Manusami? Za wiele zmian, za wiele...

– Masz rację. Sam jestem trochę oszołomiony, ale przejdzie nam. Nie mogą nas trzymać wiecznie pod wpływem narkotyków. Wciąż jesteś Minyią, szalonym wojownikiem. Po prostu... zapomnij o tym do chwili, aż będzie ci to potrzebne.

– Co oni z nami zrobią?

– Nie wiem. Term mówił coś o ucieczce. Chyba lepiej poczekać.. Nie wiemy wystarczająco dużo.

Mimo wszystko znalazła powód, żeby się roześmiać.

– Przynajmniej nie umrzemy w stanie dziewictwa.

– Spotkaliśmy się. Umieraliśmy, a teraz wcale nie umieramy. Znajdziemy się na drzewie, będziemy mogli się poruszać. Nigdy nie doznamy kolejnej suszy. Mogło być gorzej. Bywało już gorzej... Ale i tak chciałbym zobaczyć się z Clave’em.

Otoczała ich wilgotna ciemność. Po dziobie pojazdu krętą ścieżką przemknęła błyskawica. Pojazd obrócił się. Teraz wiatr wiał od strony ich stóp. Z chmury zaczął wyłaniać się rosochaty cień.

– Tam – szepnęła Minya.

Rozległ się znowu ryk silników.

Gavving przyglądał się chwilę, zanim stwierdził, że ma przed sobą kępę drzewa całkowego. Nigdy dotąd nie oglądał drzewa z takiej perspektywy. Zbliżali się do konara. Kępa była bardziej zielona i wyglądała zdrowiej niż swego czasu Kępa Quinna, a listowie pokrywało gałąź znacznie dalej. Na nagim końcu gałęzi zobaczyli poziomą platformę z ciosanego drewna, najwyraźniej owoc ciężkiej pracy.

Ryk zadrżał, wzniósł się, potem opadł. Latające pudło zawisło naprzeciw platformy. W samej gałęzi wycięto wielki, łukowaty otwór, łączący tę platformę z drugą, po przeciwnej stronie. Na zachodnim końcu, gdzie zaczęły wyrastać liście, wpleciono wielką chatę.

Świst i ryk ucichły.

Teraz wydarzenia nastąpiły szybko. Z chaty wysypali się ludzie. Drugi tłum wychynął spod spodu, może z wnętrza latającego pudła. Obywatele Drzewa Londyn nie byli tak niewiarygodnie wysocy jak mieszkańcy lasu. Niektórzy odziani byli bardzo kolorowo, ale większość nosiła szkarłat kępojagód, mężczyźni zaś mieli gładkie, pozbawione włosów twarze. Wyroili się na powierzchnię, którą teraz stanowił dach latającego pudła, i zaczęli odwiązywać więźniów.

Jinny, Jayan, Minya i wysokie kobiety z plemienia Carthera zostały uwolnione w pierwszej kolejności. Zaraz sprowadzono je z dachu pojazdu.

Później przez pewien czas nic się nie działo.

A więc najpierw zabrali kobiety. Narkotyk w żyłach wciąż pomagał Gavvingowi zachowywać spokój, ale i tak chłopak czuł się niepewnie. Nie mógł zobaczyć, co dzieje się na półce. Teraz i jego uwolniono z sieci, podniesiono i sprowadzono z dachu.

Chyba spodziewał się silniejszego wiatru. Tutejszy miał siłę może jednej trzeciej wiatru w Kępie Quinna. Gavving spłynął w dół.

Alfin otworzył oczy, gdy łowcy manusów zdjęli mu więzy, ale przymknął je prawie natychmiast. W końcu uderzył w platformę, burknął coś na znak protestu i spał dalej. Dwaj mężczyźni w czerwieni podnieśli go i odciągnęli na bok.

Jeden z łowców, ładna, jasnowłosa, mniej więcej dwudziestoletnia kobieta o delikatnej, trójkątnej twarzy podniosła czytnik i taśmy Terma.

– Do którego z was to należy? – zapytała.

Term odpowiedział sponad głowy Gavvinga, ponieważ ciągle spadał.

– Są moje.

– Zostań ze mną – poleciła. – Umiesz chodzić? Jesteś dość niski, jak na mieszkańca drzewa.

Term wylądował i zachwiał się lekko, ale nie przewrócił.

– Potrafię chodzić.

– Zaczekaj tu ze mną. Polecimy montem do Cytadeli.

Obcy wmieszali się między nich, prowadząc Gavvinga i Alfina w kierunku wielkiej chaty. Term podążył za nimi wzrokiem. Gavving chciał pomachać mu ręką, ale wciąż miał skrępowane przeguby. Nieduży, ruchliwy człowieczek wepchnął mu w związane ramiona ptasie truchło.

– Weź to. Potrafisz gotować?

– Nie.

– Chodź ze mną. – Manus pchnął go w okolice krzyża. Ruszyli ku miejscu, gdzie gałąź rozszerzała się w kępę. Ale gdzie były kobiety?

Latające pudło blokowało mu widok. Teraz dopiero zobaczył kobiety za zakrętem, na drugiej półce. Minya zaczęła się wyrwać i krzyżeć:

– Zaczekajcie! To mój mąż!

Narkotyk spowolnił nieco jego ruchy, jednak Gavving rzucił ptaka w ramiona manusa, aż ten przewrócił się pod ciężarem, i próbował skoczyć w stronę Minyi. Nie udało mu się uczynić nawet pierwszego kroku. Z dwóch stron doskoczyli do niego dwaj ludzie i pochwycili go za ramiona. Pewnie czekali na taki właśnie ruch. Jeden uderzył go w głowę na tyle mocno, że świat wokół zawirował. Wepchnęli go do chaty.

Manus przyglądał się Lawri, a ona jemu. Był chudy, żylasty, trzy lub cztery centymetry wyższy od niej i niewiele starszy. Od stóp do głowy pokryty był brudem, a od prawej brwi aż po szczękę biegła mu strużka zaschniętej krwi. Wyglądał dokładnie na manusa, który spada z nieba na kawale kory; w żadnym razie nie na przekonującego człowieka nauki.

Wzrok jednak miał bystry i pytający; oceniał ją.

– Obywatelko, co się z nimi stanie? – zapytał.

– Nazywaj mnie Asystentem Uczonego – poleciała Lawri. – A ty kim jesteś?

– Jestem Uczonym Plemienia Quinna – odparł.

Rozśmieszył ją tymi słowami.

– Przecież nie mogę nazywać się Uczonym! Chyba masz jakieś imię?

Najeżył się, ale odpowiedział:

– Miałem. Jeffer.

– Jeffer, inne manusy nie powinny cię teraz obchodzić. Wsiadaj do monta i postaraj się nie wchodzić w drogę pilotowi.

– Monta? – spojrzał na nią tępym wzrokiem.

Klepnęła metalową burtę pojazdu i wyrecytowała tak, jak ją tego nauczono:

– Moduł Naprawczo-Transportowy. MONT. Włącz!

Przeszedł przez dwoje drzwi i jeszcze kilka kroków dalej, po czym stanął z rozdziawionymi ustami, usiłując ogarnąć wzrokiem wszystko naraz. Pozwoliła mu tak stać przez chwilę. Nie miała mu tego za złe. Niewiele manusów widziało kiedykolwiek wewnątrz monta.

Stało tu dziesięć foteli skierowanych w stronę ogromnego, wygiętego okna z grubego szkła. Widać było przez nie obrazy, które nie miały nic wspólnego z tym, co działo się na zewnątrz, nie mogły też być odbiciem. Musiały znajdować się w samym szkłe: litery, cyfry, rysunki wykonane niebieską, żółtą i zieloną kreską.

Za fotelami znajdowała się spora pusta przestrzeń. Ze ścian, sufitu i podłogi wystawały ukośne belki i pętle wykonane z drutu – zakotwiczenie dla zmagazynowanych towarów, aby nie przesuwały się pod wpływem lotu. Jednak ta przestrzeń zajmowała najwyżej jedną piątą... monta. Co było w pozostałej części?

Kiedy mont się poruszał, z nozdrzy na jego tylnej ścianie buchał płomień. Wydawało się, że aby poruszyć monta, coś trzeba spalić... i to dużo, skoro zajmowało to większość kubatury pojazdu... i jeszcze pompy, żeby pompować paliwo, i inne dziwne rzeczy, które przelotnie



pamiętał z kasyty: silniki manewrowe, system podtrzymania życia, komputer, czujnik masy, laser echosondy...

Spokój, jaki dał mu narkotyk, prawie go już opuścił. Term zaczął się bać. Czy mógłby nauczyć się czytać te cyfry w szkle? Czy będzie miał na to czas?

Naprzeciw okna siedział mężczyzna odziany na niebiesko. Był to grubokościsty człowiek średniego wzrostu, ale i tak za wysoki w stosunku do krzesła. Łagodnie zakrzywiony podglówek wbijał mu się między łopatki.

– Proszę nas zabrać do Cytadeli – poleciała rzeczowo Asystent Uczzonego.

– Nie mam takich rozkazów.

– A właściwie jakie masz rozkazy? – zapytała swobodnym, opanowanym głosem.

– Nie mam jeszcze żadnych. Flota może być zainteresowana tymi... naukowymi znaleziskami.

– Skonfiskuj je, jeśli jesteś taki pewien. A ja opowiem Uczonemu, co się z nimi stało, gdy tylko pozwolą mi się z nim skontaktować. A może skonfiskujesz też manusa? Mówi, że wie, jak je obsługiwać. To może od razu skonfiskujesz i mnie, żebym mogła go wypytać?

Pilot zrobił się nerwowy. Jadowitym wzrokiem zmierzył Terma. Taki świadek jego zakłopotania...

– Dobrze. A więc do Cytadeli – rzekł wreszcie. Poruszył dłońmi.

Dziewczyna, wiedząc, co się stanie, chwyciła oparcie krzesła. Term nie zdążył. Start wytrącił go z równowagi. Złapał się czegoś, żeby nie upaść – był to uchwyt w tylnej ścianie. Obrócił mu się w dłoni i z dyszy trysnęła brudna woda. Szybko zamknął zawór i pochwycił pełne wyrzutu spojrzenie dziewczyny.

Po jakichś dwudziestu uderzeniach serca pilot podniósł palce. Znajomy świst, zaledwie słyszalny przez grube metalowe ściany, lecz wciąż przerażająco obcy, ucichł nagle. Term natychmiast skierował się ku jednemu z krzesel.

Mont unosił się z kępy na wschód i na zewnątrz. Czyżby opuszczali Drzewo Londyn? Dlaczego? Nie pytał. Uznał, że jest niezwykle sprytny, ponieważ udawał głupca. Obserwował dłonie pilota. Symbole i liczby wciąż jarzyły się w oknie dziobowym i na pulpicie poniżej, ale pilot dotykał tylko pulpitu i wyłącznie niebieskiej jego części. Reakcję można było wyczuć w zmianie natężenia dźwięku. Niebieskie porusza montem?

– Jeffer, jak odniosłeś te rany? – spytała jasnowłosa dziewczyna takim tonem, jakby ją to niewiele obchodziło.

Rany? Aha, na twarzy.

– Drzewo pękło – wyjaśnił. – Tak się dzieje, jeśli drzewo odleci za daleko od Dymnego Pierścienia. Kilka lat temu mieliśmy bliskie spotkanie z Goldem.

Wyraźnie obudził jej ciekawość.

– Co się stało z ludźmi?

– Kępa Quinna nie istnieje, z wyjątkiem nas. Jest nas teraz pięcioro. – Przyjął za pewnik, że Clave i Merrill nie żyją.

– Musisz mi kiedyś o tym opowiedzieć. – Poklepała dłonią swój ładunek. – A co to jest?

– Kasety i czytnik. Zapisy.

Zamyśliła się nad tym trochę dłużej, niż to się wydawało konieczne. Wreszcie wyciągnęła dłoń, żeby włożyć jedną z kaset Terma do szczeliny przed pilotem.

– Hej... – zaprotestował mężczyzna.

– Nauka. To moja działka – odparła. Przycisnęła dwa przyciski. Było ich wiele, po pięć w rzędzie: żółty, niebieski, zielony, biały, czerwony. Poza tym panel był pusty, jeśli nie liczyć przelotnych światełek w jego wnętrzu. Przyciśnięcie żółtego przycisku spowodowało wygaszenie wszystkich światełek w tym kolorze; biały przycisk przywołał inne symbole.

– Prikazywat menu – ukazało się.

W szkle pojawił się znajomy spis treści, biały druk płynął w górę. Wybrała kasetę z kosmologią. Term poczuł, jak dłonie zaciskają mu się w pięści. Miał ochotę ją udusić. To poufne, poufne! To moje!

– Prikazywat Gold. – Druk przesunął się. Pilot, ogarnięty niezdrową fascynacją, nie miał siły odwrócić wzroku.

– Umiesz czytać? – zapytała pani Asystent Terma.

– Oczywiście.

– Czytaj.

– Świat Goldblatta prawdopodobnie powstał z ciała podobnego do Neptuna, giganta gazowego w kometarnej otoczce, który otaczał Gwiazdę Levoy i T3 w promieniu setek bilionów kilometrów... kłomterów. Supernowa może rozsiać swoją zewnętrzną powłokę dzięki uwięzionemu polu magnetycznemu, powodując zmianę szybkości gwiazdy neutronowej. Orbity planet idą w diabły. W s-scenariuszu Levoy Świat Glodblatta znalazł się bardzo blisko Gwiazdy Levoy, z per... peryhelium przypadającym wewnątrz Granicy Roche'a gwiazdy neutronowej. Silne wiatry Roche'a szybko odkształciły jej orbitę w okrąg. Planeta będzie stale tracić atmosferę, zastępując gazy stracone przez Dymny Pierścień i torus gazowy w przestrzeni międzygwiazdnej. Goldblatt szacuje, że Gwiazda Levoy stała się supernową około biliona lat temu. Planeta przez cały ten czas traciła atmosferę. W obecnym stanie Świat Goldblatta urąga wszelkim określeniom: to kamienno-metalowe jądro wielkości planety...

– Dość. Doskonale, umiesz czytać. Potrafisz zrozumieć to, co przeczytałeś?

– To akurat nie. Podejrzewam, że Gwiazda Levoy to Voy, a Świat Goldblatta to Gold. Reszta...

– Term wzruszył ramionami. Pochwyił wzrok pilota, który gwałtownie drgnął. Wydawało

się, że skurczył się w sobie.

Gra dominacji. Pani Asystent Uczonego zaatakowała umysł pilota dziwnymi przedmiotami i tajemniczymi naukowymi wyrażeniami. Teraz mówiła:

– To samo mamy na naszych własnych kasetach. Słowo w słowo, jeśli dobrze pamiętam. Mam nadzieję, że przywiozłeś też coś nowego.

W srebrzystej mgłę wokół nich zaczął nagle materializować się jakiś kształt. Wracali w kierunku Drzewa Londyn.

Trajektoria swobodnego spadku monta doprowadziła go do środkowego punktu drzewa. Wschód wiedzie na zewnątrz. Zewnątrz wiedzie na zachód... trzeba się dużo nauczyć, żeby latać montem. A przecież musi to opanować. Musi się nauczyć obsługiwać tego potwora, inaczej dożyje swoich dni jako manus.

Teraz widać było jakieś konstrukcje. Ogromne drewniane belki tworzyły czworokąt. W jego wnętrzu stały cztery chaty, jedna obok drugiej, wykonane nie z plecionki, lecz z ciętego drewna. W obu kierunkach po pniu biegły kable i rury, dalej niż Term mógł je prześledzić. Do kory przywarła srebrzysta kula i to wydawało się dziwne. Pojedynczy staw w rejonie mgieł? Wokół stawu uwijali się mężczyźni w czerwonych ubraniach, wlewając wodę ze strąków. Staw też pewnie jest sztuczny.

Drzewo Londyn, pokryte dziwnymi konstrukcjami, sprawiało, że Kępa Quinna wydawała się przy nim niemal dzika. Ale czy to ma sens?

– Asystencie Uczonego, czy drewno na te konstrukcje wycinacie z samego drzewa?

– Nie – odparła, nie patrząc na niego. – Przywozimy je z innych drzew.

– To dobrze.

Obejrzała się na niego, zaskoczona i zła. Nie spodziewała się, że manus zacznie wydawać sądy na temat Drzewa Londyn. Term też poczuł, że bardzo nie lubi Pani Asystent... no, ale będzie to musiał opanować. Jeśli jej zachowanie jest typowym zachowaniem obywatela w stosunku do manusa, to Plemię Quinna czekają ciężkie czasy.

Wreszcie pień zaczął zbliżać się ku nim z ogromną prędkością. Term poczuł ulgę, gdy usłyszał niski dźwięk silników i poczuł, że mont zwalnia. Te drewniane belki wydają się idealnie pasować do oszklonego końca monta... i właśnie pilot dopasowywał okno do drewnianej ramy.

Patrz mu na rękę! – nakazał sobie Term.

## ROZDZIAŁ XIV

### Dziupła i Cytadela

W wielkiej chacie kobiety zostały rozebrane do naga i poddane oględzinom dwóch innych kobiet, wyższych niż normalni ludzie, podobnych do Ilsy z Plemienia Carthera. Ich długie włosy były białe i tak rzadkie, że prześwitywała przez nie skóra czaszki. Wydawało się, że skóra zwiędła im na kościach. Miały po czterdzieści, a może nawet po pięćdziesiąt lat, uznała Minya, choć trudno to było osądzić. Wyglądały tak dziwnie. Nosiły poncha o barwie szkarłatu z kępojagód, zeszyte między nogami. Chodziły swobodnie, wyćwiczonym krokiem. Minya oceniała, że musiały spędzić w wietrze Drzewa Londyn wiele lat.

– Zdaje się, że ludzie żyją tu bardzo długo – szepnęła do Jayan, która potwierdziła skinieniem głowy.

Nadzorcynie nie odpowiadały na ich pytania, choć same zadały ich wiele.

Znalazły brud, wiele ran, ale żadnych chorób. Opatrzyły potłuczenia Minyi i cierpko poradziły jej, by w przyszłości unikała obrażania obywateli. Minya uśmiechnęła się. Obrazić? Była prawie pewna, że zanim pałkami doprowadzono ją do utraty przytomności, złamała ramię przynajmniej jednemu mężczyźnie.

Ilsa była brzemienna. Ku wielkiemu zdumieniu Jayan stwierdzono, że ona także jest w ciąży, po czym odesłano ją gdzieś wraz z Ilsa. Minya złapała Jinny za ramię, obawiając się, że dziewczyna rzuci się do daremnej walki o bliźniaczkę.

Jedna ze starszych kobiet zauważyła rozpacz Jinny.

– Wszystko będzie w porządku – zapewniła – Zabierają je, ponieważ mają gości. Jeden z Asystentów Uczonego będzie musiał je zbadać. Poza tym nie będzie się do nich dopuszczać mężczyzn.

Co takiego? Ale strażniczka nie powiedziała już nic więcej i Minya musiała czekać.

Term wyglądał przez małe otwory, ponieważ okno dziobowe pokrył płat poszarpanej kory. Na zewnątrz wiele się działo.

Mężczyzna w białej tunice mówił coś do pozostałych, odzianych w błękit lub w czerwone poncha, które wisiały na nich jak zbyt duże worki. Tymczasem pozostali ruszyli w kierunku najniższego rzędu chat.

– Kto to jest? – zapytał Term.

Pani Asystent raczyła udąć, że nie słyszy.

– To Klance, Uczony – poinformował pilot. – Twój nowy właściciel. Nic dziwnego, wydaje mu się, że całe drzewo należy do niego.

Klance-Uczony ruszył w stronę monta, pogrążony w dyskusji z samym sobą. Biały kitel sięgał mu tuż za biodra, spod spodu widać było luźne końce poncha obywatela. Jak na mieszkańca drzewa był wysoki i szczupły, ale wyhodował sobie pokaźny brzusek. Term uznał, że to żaden wojownik – niewiele ponad czterdziestkę, ale o obwisłych mięśniach. Włosy miał gęste i białe, nos wąski i mocno zakrzywiony. Po chwili Term usłyszał również jego głos, dochodzący z zewnątrz:

– Lawri! – zawołał ostro z odcieniem pogardy.

Pilot wcisnął żółty przycisk i przyłożył palce do wzoru żółtych linii (zapamiętać!), zanim zdążyła to zrobić Lawri. Podwójne drzwi monta rozsunęły się.

Uczony wszedł, mówiąc żywo do siebie:

– Chcą wiedzieć, czy potrafię poruszyć drzewo. Cholerne głupki. Dopiero co skończyli napełniać zbiornik. Jeśli je teraz poruszę, woda po prostu sobie odpłynie. Musimy najpierw...

Urwał. Jego wzrok padł na plecy pilota, który nawet się nie odwrócił, potem przeniósł się na Terma i na Lawri.

– I co? – zapytał Klance.

– Jest Uczonym plemienia, które uległo zagładzie. Miał to ze sobą – Lawri podała mu plastikowe pudełko.

– Dawna wiedza! – Oczy Uczonego zabłysły pożądliwie. – Później mi opowiesz. Pilocie?

Pilot odwrócił głowę.

– Czy mont nie został uszkodzony? Nic nie straciliście?

– Na pewno nie. Jeśli żądasz dokładnego raportu...

– Nie, to wystarczy. Reszta załogi Floty czeka na windę. Chyba ty też na nią zdążysz.

Pilot sztywno skinął głową. Wstał i ruszył w kierunku podwójnych drzwi. Omal nie potracił Uczonego, który nie ustąpił mu z drogi, i już go nie było.

Uczony postukał w żółte światelka. Na szkle pojawił się obraz.

– Zbiorniki paliwa są zupełnie puste. Będziemy je napełniać tygodniami. Poza tym... wygląda, że wszystko w porządku. Lawri, zdasz mi szczegółowy raport, ale najpierw powiedz, czy nic się nie zdarzyło.

– Chyba pilot wiedział, co robi. Nie znoszę tego karmiciela drzewa, ale przynajmniej na nic się nie nadział. Za to grupa zwiadowcza przyniosła ze sobą to... i jego.

Uczony wziął plastikowe przedmioty, które wręczyła mu Lawri.

– Czytnik – szepnął. – Przynosisz mi prawdziwy skarb. Jak się nazywasz?

Term zawahał się, wreszcie powiedział:

– Jeffer.

– Jeffer, czekam na twoją opowieść, ale najpierw cię domyjemy. Przez tyle lat bałem się, że Flota straci monta, mój czytnik i całą resztę. Nie potrafię wyrazić, jak dobrze mieć zapasowy.

Wiatr był tu słabszy, ale poza tym Minya nie potrafiłaby odróżnić Drzewa Londyn od własnej kępy. Ten sam zielony mrok, te same roślinne zapachy. Kręte, rozgałęzione tunele w zieleni, objedzone do czysta przez przechodniów. Wysokie kobiety prowadziły w milczeniu. Jinny i Minya szły z tyłu. Nie spotkały nikogo.

Wciąż były nagie. Jinny szła skulona, jakby to mogło ją okryć. Odkąd zabrali Jayan, nie odezwała się ani słowem.

Przeszły spory kawałek, zanim Minya znów poczuła powiew. W chwilę później tunel rozszerzył się w ogromną kotlinę, z drugiego końca oświetloną ostrym światłem dnia.

– Jinny, czy wasz Rynek w Kępie Quinna też był taki duży?

Jinny posłusznie rozejrzała się wokoło, ale nie ujawniła żadnych uczuć.

– Nie.

– Nasz też nie. – Kotlina biegła wokół całego pnia, aż do samej dziupli. Dalej widać było czyste niebo. Cienie wydawały się dziwaczne, zabarwione błękitem światła Voy. W Kępie Daltona-Quinna Voy był zawsze nad głową.

Przecież musieli wyrwać te wszystkie liście. Czy łowcy manusów nie obawiali się zniszczyć drzewa? A może wtedy przenieśliby się na drugie?

Trzydzieści lub czterdzieści kobiet stało w kolejce po posiłek. Wiele z nich miało przy sobie dzieci, trzyletnie lub młodsze. Nawet nie spojrzały na mijające je Minyę i Jenny, które skierowały się w stronę dziupli.

– Powiedz mi, co cię najbardziej martwi – zagadnęła Minya.

Jinny nie odpowiadała przez dłuższą chwilę.

– Clave – szepnęła wreszcie.

– Nie było go w pudle. Musiał pozostać w dżungli. Jinny, jego noga musi się zagoić, zanim będzie w stanie cokolwiek zrobić.

– Stracę go – odparła Jinny. – Wróci, ale ja go stracę. Jayan nosi jego dziecko. Już nie będę do niego należała.

– Clave kocha was obie – pocieszała ją Minya, choć nie miała najbledszego pojęcia, co naprawdę myśli Clave.

Jinny potrząsnęła głową.

– Należymy do łowców manusów, do mężczyzn. Popatrz, już tu są.

Minya zmarszczyła brwi i rozejrzała się. Może to wyobraźnia Jinny, może...? Jej oko wyловиło coś w zielonej kopule okrywającej Rynek: ciemny kształt ukryty wśród gałęzi i mroku. Znalazła jeszcze dwa cienie... cztery, pięć. Mężczyźni. Nie odezwała się ani słowem.

Doprowadzono je do krawędzi dziupli, niemal pod ogromny zbiornik zamontowany w miejscu, gdzie gałąź przechodzi w pień. Minya spojrzała w dół. Śmieci, wnętrzości zwierząt...

dwa ciała na platformach, owinięte płachtami. Kiedy podniosła wzrok, ich strażniczki zdjęły już poncha.

Wzięły swoje podopieczne za ramiona i podprowadziły pod zbiornik. Jedna pociągnęła za sznur i natychmiast, niczym miniaturowy potop, z góry połała się woda. Minya wzdrygnęła się z zaskoczenia. Kobiety wyjęły kawałki jakiejś substancji i jedna z nich zaczęła nacierać nią ciało Minyi, po czym podała jej jeden z kawałków.

Minya nie знаła dotąd mydła. Nie było to nieprzyjemne, ale bardzo dziwne. Strażniczki namydliły się również, po czym znowu puściły wodę. Następnie wytarły się ponchami i włożyły je z powrotem. Podały szkarłatne poncha Jinny i Minyi.

Piana pozostawiała na skórze dziwne, łaskoczące uczucie. Minya nie miała kłopotów z ubraniem się, chociaż strój był zszyty między nogami. Mimo wszystko odzież wydawała się nieprzyjemnie luźna. Czyżby była uszyta dla długich ludzi z dżungli? Czowała się dziwnie, nosząc strój barwy kępojagód. Czerwień manusa tu, czerwień obywatela w domu. Zbyt długo już nosiła purpurę.

Strażniczki doprowadziły je do stołu. Cztery kucharki – następne wysokie kobiety – łądowały porcje potrawy z ziemskich warzyw i indyczego mięsa do misek o brzegach zagiętych do wewnątrz. Minya i Jinny usiadły na giętkiej gałęzi i zaczęły jeść. Potrawka była bardziej mdła niż jedzenie, do którego Minya była przyzwyczajona w Kępie Daltona-Quinna.

Jedna z manusek usiadła obok nich. Miała dwa i pół metra wzrostu, była w średnim wieku i bez trudu poruszała się na nogach w wietrze Drzewa Londyn. Zagadnęła Jinny:

– Zdaje się, że potrafisz chodzić. Jesteś z drzewa?

Jinny nie odpowiedziała.

– Drzewo rozpadło się – odparła w jej imieniu Minya. – Jestem Minya Dalton-Quinn, a to Jinny Quinn.

– Heln – przedstawiła się obca. – Ale teraz nie mam nazwiska.

– Długo tu jesteś?

– Dziesięć lat, albo coś koło tego. Kiedyś należałam do Cartherów. Ciągle czekałam na... wiesz, na co.

– Na ratunek?

Heln wzruszyła ramionami.

– Wciąż mam nadzieję, że czegoś spróbują. Wtedy nie byli w stanie, a teraz już mam tu dzieci.

– Mężatka?

Heln spojrzała na nią.

– Nie powiedzieli ci? Cóż, mnie też nie mówili. Jesteśmy własnością obywateli. Należysz do każdego mężczyzny, który ma na ciebie ochotę.

– Ja... tak właśnie myślałam – odwróciła wzrok w kierunku cieni na kopule. Widzieli ją naga... – Co oni tam robią, wybierają?

– Zgadłś – Heln podniosła wzrok. – Jedz szybciej, jeśli chcesz w ogóle skończyć.

Dwa cienie mężczyzn zbliżały się w ich stronę, swobodnie unosząc się ponad splecionymi gałązkami tworzącymi podłogę. Minya obserwowała ich, nie przerywając posiłku. Stanęli w odległości kilkunastu metrów od nich. Ich poncha były lepiej dopasowane i pyszniły się jaskrawą gamą barw. Oglądali kobiety, rozmawiając między sobą półgłosem. Minya usłyszała:

–... ta posiniaczona złamała Karalowi...

Heln udawała, że ich nie widzi. Minya próbowała ją naśladować. Kiedy opróżniła miszkę, spytała:

– Co się z nimi robi?

– Zostaw ją – odparła Heln. – Jeśli żaden mężczyzna cię nie weźmie, zanieś ją kucharkom. Ale wydaje mi się, że będziesz miała towarzystwo, Wyglądasz jak obywatelka, mężczyźni to lubią – skrzywiła się. – Na nas mówią „giganty z dżungli”.

Zbyt wiele zmian. Trzy pory spania temu żaden mężczyzna z jej lokalnego wszechświata nie odważyłby się jej tknąć. Co jej zrobią, jeśli będzie stawiała opór? Co pomyśli o niej Gavving? Nawet jeśli później zdołają uciec...

Gdyby teraz ruszyła wolno w kierunku dziupli, czy ktoś by ją zatrzymał? Pomyśleliby, że idzie „nakarmić drzewo”. Szybki bieg obok dziupli zawiódłby ją w niebo, zanim ktokolwiek zdążyłby zareagować. Już raz przecież zgubiła się w niebie i przeżyła.

Ale jak uprzedzić Gavvinga, żeby i on skoczył? Może nie będzie miał okazji. Może pomyśli, że to szaleństwo.

Bo to jest szaleństwo. Minya porzuciła tę myśl. Mężczyźni podeszli do nich wolnym krokiem...

Pierwszy posiłek Terma w Cytadeli był prosty, ale dziwny. Dano mu gurdę z dość dużym wycięciem, drugą na napój i dwuzębny drewniany widelec. Gęsta potrawka, przywożona z drugiej kępy, zdążyła już wystygnać, zanim dotarła do Cytadeli. Zdołał rozpoznać dwa lub trzy składniki. Chciał zapytać, co je, ale to Klance zaczął zadawać pytania.

Pierwsze brzmiało:

– Nauczyli cię leczyć?

– Oczywiście – wymknęło mu się, zanim zdążył naprawdę pomyśleć.

Lawri spojrzała z powątpiewaniem. Klance-Uczony roześmiał się.

– Jesteś za młody, żeby być tak pewny siebie. Pracowałeś przy dzieciach? Rannych łowcach? Chorych kobietach? Kobietach noszących gości?

– Z dziećmi nie. Kobiety z gośćmi, tak. Ranni łowcy, tak. Leczyłem choroby



z niedożywienia. Zawsze pod okiem Uczonego. – Galopujące myśli podpowiadały Termowi, co powinien powiedzieć Klance’owi. Rzeczywiście nie pracował z dziećmi, ale raz badał ciężarną kobietę i nastawił złamaną nogę Clave’a. Ten stary łowca manusów nie każe mi chyba praktykować na obywatelach? – pomyślał. Najpierw wypróbuje mnie na manusach! Na moich własnych przyjaciółach...

Klance wyjaśnił:

– Tu nie mamy przypadków niedożywienia, dzięki Kontrolerowi. Jak to się stało, że znalazłeś się w dżungli?

– Niespodziewanie – odpowiedział. Jedzenie dziwnej potrawy w stanie swobodnego spadku wymagało uwagi. Nie mógł dopuścić do wymiotów, a to wymagało odwrócenia uwagi tamtych. Dlatego Term odpowiadał chętnie. Jadł, co mu dali, i opowiadał historię zniszczenia Plemienia Quinna.

Uczony przerywał mu pytaniami na temat Kępy Quinna, pielęgnacji dziupli, musrumów, błyskaczy, dumbo, moby’ego, owadów na medianie drzewa. Lawri wydawała się zafascynowana. Przerwała mu tylko raz, pytając, jak walczy się z mieczoptakami i triunami. Term odesłał ją do Myni i Gavinga. Może w ten sposób dowiedzą się o jego miejscu pobytu.

Posiłek zakończył gorzki, czarny napar, którego Term odmówił. Snuł dalej swoją opowieść. Zanim skończył, stracił głos.

Klance-Uczony pykał fajeczkę – krótszą niż fajka używana przez Przywódcę Quinnów. Obłoki dymu leniwie krążyły po pomieszczeniu i wypływały na zewnątrz. Pokój przypominał raczej klatkę z drewna niż chatę. Wokół widniały wąskie okna zamykane uchylnymi płytami.

– Ten wielki grzyb miał własności halucynogenne? – upewnił się Klance.

– Nie znam tego słowa, Klance.

– Czerwony brzeg sprawiał, że czuliście się dziwnie, ale przyjemnie. Może dlatego był tak chroniony?

– Nie sądzę. Tych grzybów-wachlarzy było po prostu za dużo. Ten jeden był ogromny, ładnie ukształtowany i miał szczególną nazwę.

– Dłoń Kontrolera. Jeffer, czy kiedykolwiek wcześniej słyszałeś słowo „Kontroler”?

– Moja babcia mawiała „Ten karmiciel drzewa chyba myśli, że jest Kontrolerem we własnej osobie”, kiedy była zła na Przywódcę. Ja sam nigdy nie słyszałem, żeby ktoś inny...

Uczony sięgnął do czytnika Terma i włożył do niego jedną z własnych kaset.

– Chyba coś pamiętam...

– KONTROLER – pojawiło się na ekranie – oficer, któremu powierzono pilnowanie, żeby grupa obywateli pozostała lojalna wobec Państwa. Do zadań Kontrolera należało interesowanie się działaniami, postawami i dobrym samopoczuciem jego podwładnych. Kontrolerem na pokładzie „Dyscypliny” był zapis osobowości Sharlsa DAVISA KENDY’EGO w głównym

komputerze statku.

– Typowe gwiazdne gadanie – skrzywił się Klance. – Państwo... cztery dni zajęło mi odczytanie treści tego hasła. Widziałeś?

– Tak. Dziwni ludzie. Odniosłem wrażenie, że żyli dłużej od nas.

Klance prychnął.

– Wasi Uczni nigdy na to nie wpadli? Mieli krótsze lata. Liczyli całe okrążenie ich słońca za jeden rok. My liczymy jedynie pół okrążenia, a i tak jest to siedem ósmym roku Państwa. Prawda jest taka, że żyjemy trochę dłużej niż oni, ale dorastamy również wolniej.

Słyszając tak wzgardliwą opinię o własnym nauczycielu, Jeffer poczuł, że uszy płoną mu żywym ogniem. Zaledwie słyszał dalsze słowa Klance'a

– Dobrze, Jeffer. Od tej chwili uważaj mnie za swojego Kontrolera.

– Tak jest, Uczony.

– Mów mi Klance. Jak się czujesz?

– Jestem czysty, syty, wypoczęty i bezpieczny – ostrożnie odparł Term. – Czułbym się jeszcze lepiej, gdybym wiedział, co dzieje się z resztą plemienia Quinna.

– Dostaną prysznic, jedzenie, napoje i ubranie. Ich dzieci mogą zostać obywatelami. To samo dotyczy ciebie, Jefferze, niezależnie od tego, czy będę cię tu trzymał, czy nie. Sądzę jednak, że nudziłbyś się w kępie.

– Ja też tak myślę, Klance.

– Dobrze. W takim razie mam teraz dwóch uczniów.

– To niesłychane, żeby świeżo złapany manus w ogóle pozostawał w Cytadeli – wybuchnęła Lawri. – Przecież Flota...

– Flota niech idzie karmić drzewo. Cytadela należy do mnie.

## ROZDZIAŁ XV

### Drzewo Londyn

Gavving pedałowal na bocyklu razem z trzema innymi manusami.

Wiatr nie byl dośc mocny, by go docisnąć do pedałów. Od otaczającego go w talii pasa do ramy bocykla biegły taśmy. Przyciskanie nogami pedałów wypychało go do góry. Po pierwszej przejażdżce myślał, że zostanie kaleką na całe życie. Nie kończące się pasmo dni zahartowało jego ciało i mięśnie, nogi już go nie bolały, a muskuły stały się twarde w dotyku.

Przekładnie bocykla wykonano ze starego metalu. Skrzypiały w czasie jazdy, rozsiewając odór starego tłuszczu zwierzęcego. Rama była masywna, wycięta z drewna. Kiedyś bocykl miał sześć przekładni. Gavving mógł bez trudu wskazać, skąd zdjęto dwie.

Rama była przywiązana do pnia w miejscu, gdzie kępa już się przerzedzała. Pedałując, z niebem nad głową, z kępą pod stopami, mogli jednak sięgnąć od czasu do czasu po zieloną strawę. Pracowali nago, pot lał im się ciurkiem z czoł i spod pach.

Wysoko na pniu powoli sunęła w dół drewniana skrzynia. Druga, identyczna, wzniosła się już prawie poza zasięg wzroku.

Gavving pozwalał, aby jego nogi pracowały, podczas gdy on sam obserwował zjazd windy. Bezmyślna praca pozwalała swobodnie wędrować myślom, oczom i słuchowi.

Wokół pnia było jeszcze wiele innych konstrukcji. Ten poziom był poziomem przemysłowym, tu też pracowali wszyscy mężczyźni. Wydawało się, że na Drzewie Londyn zadania kobiet i mężczyzn nigdy się ze sobą nie pokrywały. Przynajmniej nie dla manusów. Czasem jedynie dzieci przybiegały tu gromadą, obserwując ich ogromnymi, błyszczącymi oczami. Dziś nawet ich nie było.

Obywatele Drzewa Londyn trzymali prawdopodobnie manusy od wielu pokoleń. Umieeli to robić. Dokładnie rozproszyli Plemię Quinna. Nawet gdyby znalazł okazję do ucieczki, jak znajdzie Minę?

Gavving pedałowal równym rytmem, obserwując, jak burze okrążają leniwie gęsty kłęb na wschodnim ramieniu Dymnego Pierścienia. Gold był bliżej niż kiedykolwiek zdarzyło mu się go widzieć, jeśli nie liczyć tego strasznego czasu w dniach dzieciństwa. Wtedy Gold przeszedł bardzo blisko i wszystko uległo zmianie.

Dżungla wisiała o setki kłomterów ponad zewnętrzną kępą: niewielka, nieszkodliwie wyglądająca kula zielonego puchu. Jak ci tam leci, Clave? – zastanawiał się Gavving. Czy złamana noga uratowała ci wolność? Merrill, czy twoje karłowate nogi wreszcie na coś ci się przydały? A może teraz i wy staliście się manusami dla ludzi z dżungli? A może już jesteście martwi?

W ciągu ostatnich osiemdziesięciu pięciu dni, to znaczy dwudziestu snów, drzewo dryfowało wzdłuż wschodniej krawędzi warstwy chmur. W czasie podróży przez niebo do Drzewa Londyn powiedziano mu, że drzewo może się samo poruszać. Nie widział żadnych dowodów tej właściwości. Od czasu do czasu przepływała nad nimi fala deszczu... z pewnością drzewo zebrało już wystarczającą ilość wody.

Winda ustawiła się naprzeciw szczeliny i zaczęli z niej wysiadać pasażerowie. Gavving i pozostali przestali pedałowac.

– Ludzie z Floty – wydyszał Koń. – Przyszli po kobiety.

– Co? – zapytał Gavving.

– Obywatele mieszkają na zewnętrznej kępie. Jeśli zobaczysz całe pudło mężczyzn, to znaczy, że przyszli na kobiety.

Gavving odwrócił wzrok.

– Dziewięć snów – dodał Koń. Miał około pięćdziesiątki, był o trzy centymetry niższy od Gavvinga, o piegowatej, łysej czaszce i niesamowicie silnych nogach. Pedałował na bicyklu od dwudziestu lat. – Pójdziemy do kobiet dopiero za czterdzieści dni. Nie uwierzysz, jaki jestem podrajcowany, kiedy o tym myślę.

Gavving zacisnął ręce na uchwycie ramy. Koń spostrzegł jego napięte mięśnie i zreflektował się:

– Chłopie, zapomniałem. Ja sam nigdy nie byłem żonaty. Urodziłem się tutaj. Przepadłem w teście, kiedy miałem dziesięć lat.

– Urodziłeś się tutaj? – zdołał wykrztusić Gavving.

Koń skinął głową.

– Mój ojciec był obywatelem. Przynajmniej matka zawsze tak mówiła. Kto tak naprawdę wie?

– To bardzo możliwe. Byłbyś wyższy...

– Nic podobnego, dzieci gigantów dżungli nie są większe od dzieci obywateli.

A zatem dzieci dżungli wyrastały na wyższe, ponieważ wiatr nie wywierał na nie nacisku.

– Jakże to testy?

– Nie wolno nam mówić.

– W porządku.

Nadzorca krzyknął:

– Pedałowac, manusy!

Ruszyli. W dół zjeżdżała następna grupa pasażerów.

– Oblałem test posłuszeństwa – powiedział Koń, nie podnosząc głosu ponad zgrzyt przekładni. – Nieraz się cieszę, że nie poszedłem.

– Nie poszedłeś?

– Na inne drzewo. Właśnie tam idziesz, jeśli przejdiesz testy. Ejże, całkiem jesteś zielony. Myślisz, że twoje dzieci zostaną tu jako obywatele, jeśli przejdą testy?

– Tak mi się wydawało. – Nie, tego mu nie powiedzieli, choć pozwolili, aby tak wywnioskował. – Są inne drzewa? Ile ich jest? Kto na nich mieszka?

Koń zachichotał.

– Chciałbyś wiedzieć wszystko od razu? Wydaje mi się, że teraz są cztery takie pączkujące drzewa, zasiedlone przez dzieci manusów, które przeszły przez testy. Drzewo Londyn krąży pomiędzy nimi i zaopatruje je we wszystko, co potrzeba. Każde dziecko ma takie same szanse jak dziecko obywatela, ponieważ nikt nigdy nie wie na pewno, rozumiesz? Kiedyś też mi się wydawało, że chcę odejść, ale to było trzydzieści pięć lat temu.

– Myślałem, że zostanę wybrany do obsługi – ciągnął Koń. Powinienem być zostać. Jestem z drugiej generacji. A kiedy mi odmówili, omal nie oblałem pozostałych testów za uderzenie nadzorca. Ten tam, Jorg – Koń wskazał mężczyznę pedałującego przed nim – właśnie tak przepadł. Biedny manus. Nie wiem, co robią ci ucywilizowani, kiedy przychodzą Święta.

Gavving jeszcze nie zdążył się nauczyć golić bez zacinania. Ale nie miał wyboru. Wszystkie manusy musiały się golić. Na Drzewie Londyn nie widział ani jednego mężczyzny z brodą, z wyjątkiem Patry'ego, ale on był oficerem Floty.

– Koniu, czy to dlatego każą nam się golić? Żeby ci ucywilizowani nie byli tak widoczni?

– Nigdy o tym nie myślałem. Może.

– Koniu... ty na pewno widziałeś, jak drzewo się porusza.

Głośny śmiech Konia zwrócił uwagę nadzorca. Zniżył głos.

– Myślałeś, że to tylko bajki? Poruszamy drzewo mniej więcej raz na rok. Pracowałem także przy wodzie, to znaczy przy zasilaniu monta.

– Jak to jest?

– Po prostu wiatr wieje na ukos. Podejście do dziupli to jak wspinanie się na górę. Kiedy to się dzieje, grupy łowców nie wychodzą na wyprawy, musisz też przechylać kociołek. Cały pień drzewa zgina się lekko...

– Lawri – szepnął Term. – Mamy kłopoty.

Lawri obejrzała się. Staw przylgnał do kory jak spłaszczona półkula. Term wprowadził wąż do wody, a teraz woda płynęła na zewnątrz węża, tworząc coś w rodzaju kołnierza.

– Nie martw się tym. Wsiadaj na bcykl i pedałuj – poleciła mu Lawri. – I nie mów do mnie po imieniu.

Term przywiązał się do siodelka i zaczął kręcić pedałami. Przekładnia napędzała pompę. Pompa była normalny gwiezdny gratem – cała z metalu, odbarwiona z wiekiem. Kołnierz wodny skurczył się, gdy ciecz została zassana do węża.

Dziwna była to praca dla Uczonego Kępy Quinna, podobnie jak dla Asystenta Uczonego Drzewa Londyn. Czy Klance nie wspominał, że tu będzie mu lepiej niż w normalnej grupie manusów? Zaczął się zastanawiać, co teraz robi Gavving. Pewnie martwi się o swoją nową, obcą żonę... i ma rację.

Lawri zaniósł tryskający wodą wąż do monta. Term nie widział, co dzieje się wewnątrz pojazdu. Pedałował.

W obecności Klance'a wydawało się, że jest równy Lawri. Za plecami Uczonego dziewczyna traktowała go jak szpiega albo jak manusa, albo jak jedno i drugie. Był czysty, najedzony, odziany. O pozostałych członkach Plemienia Quinna nie słyszał nawet plotek. Wraz z Lawri i Uczonym badali kasety, poszukując dawnej wiedzy. To było dość fascynujące zajęcie. Na razie jednak nie dowiedział się niczego, co mogłoby uratować Plemię Quinna.

Nadeszła noc. Voy i słońce skryły się za kępą. W przedziwnym, słabym świetle z kępy wypływały dwa strumienie błękitnego blasku. Jeśli patrzyło się wprost na nie, znikaly. Term mógł je pochwycić wzrokiem, tylko kiedy spoglądał obok. Niemal wyobrażał sobie ludzkie istoty wylewające się jak dym z gurdy. Po prawej burcie Błękitny Duch, po lewej – Dziecko Ducha.

Uczony (ten Uczony) powiedział mu, że są to wyładowania energii pochodzącej z biegunów samego Voy. Uczony widywał je, kiedy był dzieckiem, ale Termowi nigdy nie udało się ich zobaczyć, nawet z punktu centralnego Drzewa Daltona-Quinna.

Zalewał go pot. Widział, jak winda wspina się po drzewie do swojej klatki. Wyszedł z niej mężczyzna z Floty i dwa manusy. Żaden z nich nie był gigantem z dżungli. Nie widział jeszcze manusa pierwszej generacji w Cytadeli, jeśli nie liczyć jego samego. Trójka weszła do kompleksu laboratoryjnego Uczonego i opuściła go szybko, niosąc naczynia po południowym posiłku.

– Zbiornik jest pełny – zawołała Lawri z monta.

Term ruszył z zapalem, którego nie czuł. Odpiął pas, wyrwał wąż ze stawu, W korze wokół Cytadeli zamontowano barierki z lin i drewniane pierścienie. Używał ich, wracając do monta.

– Mogę pomóc? – zawołał.

– Zwiń tylko wąż – poleciła Lawri.

W ciągu całej tej operacji nie pozwoliła mu wejść do monta. Wąż musiał sięgać do jakiegoś zbiornika wewnątrz pojazdu. Napelniali go ciągle; za parę dni będą to robić znowu.

Term zwinął wąż i ruszył w kierunku pudła. Z wnętrza dochodziły przekleństwa.

– Nie mogę poruszyć tego cholernego kołnierza – zawołała Lawri.

Term podszedł do wejścia.

– Pokaż – zawołał. Czyżby miało pójść tak łatwo?

Pokazała. Wąż był podłączony za pośrednictwem kołnierza do przedmiotu na tylnej ścianie.

– Trzeba go obrócić. W tę stronę – pokazała kierunek.

Term rozstawił szeroko stopy, uchwycił metalowy pierścień i pchnął z całej siły. Kołnierzyk drgnął. Jeszcze raz. I jeszcze raz, do chwili, aż luźno obracał mu się w rękach. Wąż wyskoczył z otworu, rozbryzgując kilka kropel wody. Lawri skinęła głową i odwróciła się.

– Asystencie Uczzonego, gdzie płynie ta woda?

– Jest rozkładana na części – wyjaśniła. – Powłoka monty zbiera energię światła słonecznego i pompuje ją do wody. Woda rozkłada się. Tlen idzie do jednego zbiornika, a wodór do drugiego. Kiedy spotkają się w silnikach, energia wraca i uzyskujesz płomień.

Usiłował wyobrazić sobie rozkładającą się wodę, gdy Lawri spytała:

– Dlaczego chcesz wiedzieć?

– Byłem Uczonym. A dlaczego mi wyjaśniłaś?

Przesunęła się między fotelami i usiadła za pulpitem. Term przywiązał zwinięty wąż do haków w przestrzeni ładunkowej.

Zbiornik musi znajdować się za ścianą. Mont prawie nie miał już paliwa... które powinno być w dwóch częściach. Teraz pewnie jest dość paliwa. Sztuczny staw skurczył się w widoczny sposób.

Gdy znalazł się za jej plecami, Lawri uderzyła właśnie w błękitny przycisk. Obraz, który oglądała, zniknął, zanim Term zdążył go obejrzeć. Zapomniał już, o co właściwie pytał, kiedy Lawri obejrzała się na niego, mówiąc:

– Uczony właśnie tak mnie sprawdza. Odkąd miałam dziesięć lat. Jeśli nie potrafię odpowiedzieć, dostaję jakąś brudną robotę. Ale nie lubię, kiedy ktoś za mnie dotyka przycisków, Jeffer. Ta informacja jest poufna!

– Asystencie Uczzonego, kto cię nazywa Lawri?

– Nie ty, manusie.

– Wiem o tym.

– Uczony. Moi rodzice.

– Nie wiem, jakie tu panują obyczaje w związku z małżeństwami.

– Manusy nie zawierają małżeństw.

– Ty nie jesteś manusem. Czy mąż będzie cię nazywał Lawri?

Śluza powietrzna zadudniła i Lawri odetchnęła z pewną ulgą.

– Klance?

– Tak. Włącz jeszcze raz ten obraz, dobrze, Lawri?

Spojrzała najpierw na Terma, potem na Klance'a.

– Zrób to – powtórzył Uczony. Lawri usłuchała. I tak postawiła na swoim. Pokaże sekrety wiedzy manusowi, ale tylko na żądanie i pod przymusem. Znowu gra dominacji. Gdyby naprawdę jej na tym zależało, sama wyjęłaby wąż.

Błękitne światelka i cyfry opisywały poruszanie się monty, zielone zarządzały czujnikami

i przyrządami pojazdu, żółte poruszały drzwi, a białe czytały kasety... i tak dalej. Term był pewien, że robią znacznie więcej niż ogarnia jego wiedza. Czerwone? Nigdy nie widział czerwonych.

Za każdym razem, kiedy oglądał ten obraz, niektóre liczby stawały się większe. Teraz napisy głosiły – O2: 1.664,H2:3.181,Klance z aprobatą skinął głową.

– Możemy ruszać w każdej chwili. Sądzę jednak, że powinniśmy nappełnić cały zbiornik. Jeffer, chodź tu. – Wyłączył niebieski obraz i włączył żółty. – Ta liczba pokazuje, czy nie zbliża się burza, jeśli ją obserwujesz.

– Co to jest?

– Zewnętrzne ciśnienie powietrza.

– Czy nadciągającej burzy nie można po prostu zobaczyć?

– Nadciągającą, tak. Tworzącą się, nie. Jeśli ciśnienie idzie w górę lub w dół bardzo szybko przez dzień lub dwa, to znaczy, że tworzy się burza. Pozwala to wyrzucić wrażenie na obywatelach. Oczywiście, to poufne.

– Gdzie drzewo leci z tego miejsca? – zapytał Term.

– Poza zasięg deszczu. Potem do Drzewa Brighton, bo dawno nas tam już nie widzieli. Term, masz teraz dobrą okazję, żeby sobie obejrzyć wszystkie młode kolonie i wybrać jedną.

– A po co, Klance?

– Dla swoich dzieci, oczywiście.

Term roześmiał się.

– Klance, jak mam mieć dzieci, jeśli spędzę całe życie w Cytadeli?

– Nie wiesz, co to są Świąta?

– Nigdy o nich nie słyszałem.

– No więc pod koniec każdego roku, kiedy Voy przesłania słońce, wszystkie manusy zbierają się koło dziupli. Świąta trwają przez sześć dni, a manusy parzą się wtedy, plotkują i grają. Nawet dowozi się im jedzenie z zewnętrznej kępy. Świąta rozpoczynają się za trzydzieści pięć dni.

– Nie ma wyjątków? Nawet dla Asystenta Uczzonego?

– Nie martw się, pójdziesz – zachichotał Klance.

Lawri odwróciła się, pokazując im plecy. Bogactwo złotych włosów unosiło się nad jej karkiem. Jak wyglądałyby dzieci Lawri? Uczony chyba nie jest jej kochankiem. Term wiedział, że sprowadzał sobie manuski z wewnętrznej kępy. Jeśli Lawri nigdy nie opuszcza Cytadeli... to jak znajdzie sobie mężczyznę?

A może ja? – przyszło mu do głowy.

Manus może mieć dzieci, ale Lawri nie. Na to nic nie można poradzić. Nie miał odwagi myśleć o niej inaczej niż jak o przeciwniczce.



Ocknęła się, czując przy sobie inne ciało. Ostatnio zdarzało się to dość często. Minya poruszyła się ostrożnie, powstrzymując się przed otoczeniem ramionami śpiącego obok niej obywatela. Mogłaby go urazić.

Jej ruch zbudził go. Odwrócił się ostrożnie – jedno ramię miał przywiązane bandażem do torsu – i powiedział:

– Dzień dobry.

– Dzień dobry. Jak twoje ramię? – przez chwilę szukała w pamięci jego imienia.

– Nieźle je załatwiłaś, ale chyba wyjdę z tego.

– Ciekawa byłam, dlaczego przyszedłeś do mnie, skoro ci je zламаłam.

– Nie mogłem o tobie zapomnieć – skrzywił się lekko. – Lawri nastawiała mi rękę, a ja wciąż widziałem twoją twarz o dwa centymetry od mojej, z obnażonymi zębami, jakbyś chciała zaraz chwycić mnie za gardło. Dlatego tu jestem.

Rozpogodził się.

– Oczywiście, okoliczności są zupełnie inne.

– Teraz lepiej?

– Tak.

Wreszcie przypomniała sobie, jak ma na imię.

– Karal, nie pamiętam żadnej Lawri.

– Lawri to nie manus. Jest Asystentem Uczzonego... jednym z jego Asystentów, w każdym razie. Leczy ludzi z Floty, jeśli zostaniemy ranni.

Jeden z jego Asystentów?

– Słyszałam, że ten nowy Asystent jest manusem – zaryzykowała.

– Tak. Widziałem go z daleka. To nie gigant z dżungli. Jeden z twoich?

– Może. – Wstała, włożyła poncho. – Spotkamy się jeszcze?

– Może... – zawahał się i dodał: – Święta są za osiem snów.

Pozwoliła sobie na uśmiech. Gavving!

– Jak długo trwają?

– Sześć dni. I żadnej pracy.

– Cóż, na razie muszę pracować.

Karal znikł w listowiu, a Minya powoli wróciła na Rynek. Tęskniła za Kępą Daltona-Quinna. Właściwie przyzwyczała się już do najważniejszych różnic: ogromny Rynek, wszechobecni nadzorcy. Własna służalczość. Niewiele ją obchodziły. Tęskniła za winopnączem, za kopterami. Tu rosły tylko liście i starannie hodowane ziemskie rośliny: fasola, melony, kukurydza, tytoń, tak dokładnie wytresowane, jak ona sama.

Z tuzin manusek już wstało. Minya rozejrzała się za Jinny i dostrzegła ją przy dziupli. Karmiła drzewo, a pomiędzy liści widać było tylko jej głowę.

Plan dnia był ruchomy. Jeśli ktoś się spóźnił, pracował dłużej. Poza tym nadzorców niewiele obchodziło. Za to Minyę – tak! Będzie wszystko robić dobrze, stanie się przykładnym manusem... a potem przyjdzie może czas, żeby stać się kimś innym.

Usiłowała przypomnieć sobie brzmienie mowy Karala. Miał dziwny akcent, podobnie jak inni obywatele. Minya ćwiczyła go pilnie.

Wszystko to było dla niej nowe. Jej własne instynkty walczyły z wolą przetrwania: sprzeciw wobec napaści seksualnej, traktowanej jako bluźnierstwo przeciwko woli przeżycia.

Instynkt przetrwania zwyciężył. Wszystko będzie robić dobrze!

Jinny wstała, uporządkowała poncho i biegiem rzuciła się na zachód.

Minya krzyknęła. Była zbyt daleko, żeby ją usłyszano. Krzyczała i biegnąc pokazywała Jinny palcem. Dwie strażniczki, znajdujące się znacznie bliżej, zobaczyły, co się dzieje, i także puściły się biegiem.

Minya nie zatrzymywała się. Strażniczki – Haryet i Dloris, giganty z dżungli o twardych rysach, w nieokreślonym wieku – doganiały już uciekinierkę. Dloris wywijiała nad głową obciążoną liną. Zawinęła dwa razy i rzuciła. Haryet czekała na swoją kolej, żeby także rzucić, podczas gdy Dloris ciągnęła. Lina stawiała opór przez dłuższą chwilę, potem puściła. Dloris straciła równowagę i upadła w tył.

Minya dotarła do krawędzi listowia w samą porę, aby zobaczyć, jak obciążony kamieniem koniec liny Haryet owinał się wokół Jinny. Dloris ponownie rzuciła swoją linę, zanim Jinny zdołała się uwolnić od poprzedniej. Uciekinierka najpierw miotła się przez chwilę, potem znieruchomiła.

Haryet przyciągnęła ją ku sobie.

Jinny leżała skulona na boku, z twarzą w ramionach i z podkurczonymi nogami. Teraz otaczała je już cała gromada manusek. Zanim Dloris odegnała je ruchem ręki, Haryet przewróciła Jinny na plecy, chwyciła ją za podbródek i siłą wyciągnęła jej twarz zza osłony ramion. Oczy dziewczyny pozostały zaciśnięte jak pięści.

– Pani Strażniczko – odezwała się Minya. – Proszę o chwilę uwagi.

Dloris obejrzała się, zdumiona ostrym tonem Minyi.

– Później.

Jinny zaczęła szlochać. Szloch wstrząsał nią, dygotała jak drzewo Daltona-Quinna, zanim rozpadło się na kawałki. Haryet przez chwilę przyglądała się beznamiętnie. Później okryła dziewczynę drugim ponchem i usiadła, żeby jej pilnować.

Dloris obejrzała się na Minyę

– O co chodzi?

– Jeśli Jinny spróbuje jeszcze raz, i tym razem jej się uda, czy pani nie będzie miała problemów?

– Być może. I co z tego?

– Bliźniacza siostra Jinny jest z kobietami, które mają gości. Jinny musi się z nią zobaczyć.

– To zabronione – słabym głosem odparła gigantka z dżungli.

Kiedy obywatele tak mówili, Minya nauczyła się udawać, że nie słyszy.

– To bliźniaczki. Przez całe życie były razem. Powinno się im dać kilka godzin na rozmowę.

– Mówię ci, to zabronione.

– To tylko pani problem. Dloris wzniosła oczy w rozpacz.

– Idź do grupy sortowania śmieci. Nie, zaczekaj. Najpierw pogadaj z tą Jinny, jeśli w ogóle zechce się odezwać.

– Tak, Strażniczko. Chciałabym też, żeby sprawdzono, czy nie jestem w ciąży, kiedy pani uzna za stosowne.

– Później.

Minya pochyliła się i wyszeptwała wprost do ucha Jinny.

– Jinny, to ja, Minya. Rozmawiałam z Dloris. Spróbuj cię skontaktować z Jayan.

Jinny była nadal sztywna i ściśnięta jak węzeł.

– Jinny, Termowi się udało. Jest w Cytadeli, tam, gdzie mieszka Uczony.

Nic.

– Trzymaj się, dobrze? Tylko się trzymaj. Coś się na pewno stanie. Pogadaj z Jayan. Spytaj, czy się czegoś dowiedziała. – Drzewne żarcie, coś przecież musi do niej dotrzeć! – Dowiedz się, gdzie są trzymane ciężarne kobiety. Zobacz, czy Term przychodzi, żeby je badać. Może tak być. Powiedz, że się trzymamy i czekamy.

Jinny ani drgnęła. W końcu przemówiła stłumionym głosem:

– Dobrze, słucham. Ale nie wytrzymam. Po prostu nie wytrzymam.

– Jesteś silniejsza niż ci się zdaje.

– Jeśli jeszcze jakiś facet mnie wybierze, zabiję go.

Niektórzy lubią kobiety, które się bronią, pomyślała Minya.

– Czekaj – poleciła. – Czekaj, aż zabijemy ich wszystkich.

Po dłuższej chwili Jinny rozluźniła się i wstała.

## ROZDZIAŁ XVI

### Echa Rewolty

Gavving obudził się, czując na ramieniu czyjeś dotknięcie. Rozejrzył się, ale nie poruszył.

Hamaki wisiały w trzech poziomach. Jego własny znajdował się na samej górze. Na tle podświetlonego dziennym światłem wejścia ostro rysowała się ciemna sylwetka strażnika. Wydawało się, jakby zasnął na stojąco, co w łagodnym powiewie Drzewa Londyn było całkowicie realne. W półmroku baraków Alfin tulił się do słupa, na którym wisiał hamak Gavvinga. Szeptem, który brzmiał niemal jak okrzyk radości, oznajmił:

– Przydzielili mnie do pracy przy dziupli!

– Myślałem, że tym się zajmują tylko kobiety – zdziwił się Gavving, nie ruszając się z miejsca. Jorg spał dokładnie pod nim – był to „ucywilizowany” człowiek, pulchny i smutny, zbyt głupi, aby szpiegować kogokolwiek. Hamaki wisiały jednak bardzo blisko siebie.

– Widziałem farmę, kiedy nas zabierali na prysznic. Mnóstwo rzeczy robią źle. Rozmawiałem o tym ze strażnikiem. Pozwolił mi pogadać z kobietą prowadzącą farmę. Ma na imię Kor i umie słuchać. Jestem teraz jej konsultantem.

– To dobrze.

– Daj mi trochę czasu, a może uda mi się wciągnąć w to także ciebie. Chciałbym najpierw pokazać, co potrafię.

– Miałeś może okazję porozmawiać z Minyą? Albo z Jinny?

– Nawet o tym nie myśl. Wściekliby się, gdybyśmy spróbowali porozmawiać z kobietami.

Dobrze byłoby stać się opiekunem dziupli... ale widzieć Minyę i nie móc z nią porozmawiać? Na razie może uda się namówić Alfina, żeby podjął ryzyko. Gavving otrząsnął się z tych myśli.

– Dowiedziałem się dzisiaj czegoś. Drzewo naprawdę się porusza. Ciągnie je mont, to latające pudło. Zasiedlili też inne drzewa.

– A co nam to daje?

– Jeszcze nie wiem.

Alfin odszedł od hamaka.

Gavving nie był zbyt cierpliwy. Na początku myślał wyłącznie o ucieczce. Przez całą noc do szaleństwa dręczył się myślami o Minyi. A potem już tylko spał, pracował, czekał, uczył się.

Strażnicy nie odpowiadali na pytania. Czego więc się dowiedział, czego się nauczył? Kobiety pielęgnowały dziuplę i gotowały, ciężarne mieszkaly gdzie indziej. Mężczyźni utrzymywali maszyny i obrabiali drewno w górnej części kępy. Manusy rozmawiały czasem o ratunku, ale nigdy o buncie.

Teraz zresztą i tak się nie zbuntują. Do Świąt zostało osiem snów. Potem, kto wie? Ale czy

Flota nie zna tego z własnego doświadczenia? Będą gotowi. Nawet strażnicy nigdy nie rozstawiali się ze swoimi półmetrowej długości pałkami z twardego drewna. Koń mówił, że strażniczki kobiet też je mają. W czasie powstania Flota może je dostać zamiast mieczy... albo i nie.

Co jeszcze? Praca na bicyklu była męcząca. Uszkodzenie bicykli albo czegośkolwiek wykonanego z gwiazdnych materiałów dotknie Drzewo Londyn, ale nie zanadto. Windy można sabotować, ale Flota może uruchomić monta i w ten sposób zdławić rebelię.

Mont był wszystkim. Mieszkał na środkowej części drzewa, tam, gdzie Uczony miał swoje laboratorium. Czy Term tam jest? Czy coś planuje? Wydawał się zdecydowany na ucieczkę jeszcze przed dotarciem do Drzewa.

Czy to wszystko w ogóle ma jakieś znaczenie? Gdybyśmy byli razem! Moglibyśmy coś zaplanować...

Gavving pojął, że całą resztę życia może spędzić, napędzając windę lub pompując wodę w górę pnia. Od dnia pojmania nie miał ataku alergii. To życie nie było aż takie złe, czuł się niebezpiecznie gotów, aby się do niego przyzwycząić. Za osiem snów będzie się mógł zobaczyć ze swoją żoną.

Stany Carthera rozpały ogniska na połowie obwodu największego kwiatu we wszechświecie.

Clave kocem wachlował węgle. Ramiona miał wbite po łokcie w listowie, palce stóp zaciśnięte wokół koca. Falującymi ruchami nóg i torsu poruszał tkaniną, ale nie przemęczał się – tyle tylko, aby węgle pozostawały czerwone.

Osiemdziesiąt metrów dalej ogromny srebrny płatek powoli zmieniał pozycję, żeby pochwycić promienie słońca, padające pod coraz ostrzejszym kątem.

Ogień umierał bez wiatru, dusił go jego własny dym. Niestety, wiatr był w dżungli rzadkością. Dzień był jasny i spokojny, a Clave miał okazję poćwiczyć nogi.

Na kości udowej, w miejscu złamania, miał zgrubienie wielkości dziecięcej pięści. Palcami wyczuwał twardy węzeł pod warstwą mięśni; czuł go też całym ciałem, kiedy się poruszał. Merrill zapewniała, że z zewnątrz nic nie widać. Czyżby kłamała, żeby go oszczędzić? Nie chciał pytać nikogo innego.

Był zniekształcony, ale kość wracała do zdrowia, ból zmniejszał się z każdym dniem. Blizna była długa, czerwona i robiła wrażenie.

Ćwiczył, czekając na wojnę.

Dziesiątki dni przeleżał w półśnie przeplatany bólem. Widział pajęczę, niemożliwie wysokie sylwetki podobne do ludzkich, wirujące wokół niego pod wszystkimi możliwymi kątami, zielone kształty znikające jak duchy w ciemnej zieleni tła, ciche głosy, wtapiające się

w odwieczny szept liści. Wydawało mu się, że ciągle śni.

Ale Merrill była realna. Poczciwa, beznoga Merrill była całkiem znajoma, całkiem rzeczywista i wściekła jak diabli. Łowcy manusów zabrali wszystkich.

– Wszystkich, oprócz nas. Zostawili nas. Ciężko tego pożałują!

Nie zwracał szczególnej uwagi na ból zrastającej się kości i jeszcze ostrzejszy ból porażki. Łowca, który zgubił swoją grupę. Przywódca, który stracił własne plemię. Plemię Quinna umarło. Powtarzał sobie, że po ciężkim zranieniu często przychodzi depresja. Pozostał tam, gdzie był, w przepastnej zieleni dżungli, w ciemności, żeby puch nie zainfekował rany – i spał. Spał i spał. Nie miał ochoty na nic więcej.

Merrill próbowała z nim rozmawiać. Tłumaczyła, że sprawy nie miały się aż tak źle. Term wywarł na Cartherach dobre wrażenie. Merrill i Clave zostali przyjęci do plemienia – choć tylko jako manusy.

Pewnego dnia obudził się i zobaczył jej rozradowaną twarz.

– Pozwolą mi walczyć – zawołała i Clave dowiedział się, że Cartherowie planują atak na Drzewo Londyn.

W ciągu następnych dni zapoznał się z ludźmi z dżungli. Było ich około dwustu – połowa to manusy. Tu jednak nie miało to wielkiego znaczenia. Tutejszym manusom nie brakowało niczego, z wyjątkiem głosu w radzie.

Widział dzieci, ciężarne kobiety i sytych ludzi. Mieszkańcy dżungli byli zdrowi i szczęśliwi... i lepiej uzbrojeni niż Plemię Quinna.

W czasie jednego z zebrań poddano go przesłuchaniu. Rynek Stanów Carthera stanowił tylko rozszerzenie tunelu, szerokości może dwunastu metrów i długości około dwudziestu pięciu. Ku jego zdumieniu, wszyscy się pomieścili. Mężczyźni, kobiety, dzieci, manusy i obywatele, przyklejeni do cylindrycznych ścian, pokryli je wewnętrzną warstwą, składającą się wyłącznie z głów. Komunikator albo Szarmanka przemawiali z jednego końca korytarza.

– Jak w ogóle dotrzecie do Drzewa Londyn? – zapytał kiedyś Clave, ale tylko raz. Dowiedział się, że to poufna informacja i szpieczy nie będą tolerowani. Mógł jednak obserwować przygotowania. Miał prawie pewność, że ogniska stanowiły ich część.

Rozdmuchiwał ogień już prawie pół dnia. Noga go nie bolała, ale wkrótce będzie musiał zmienić pozycję.

Szarmanka Kara podpłynęła do niego i zaczęła w listowiu swój hak. Zatrzymała się tuż obok.

– Jak ci idzie? – zapytała.

– Ty mi powiedz. Czy ogień jest taki jak trzeba?

Spojrzała.

– Tak trzymaj. Za kilkaset oddechów możesz podłożyć jeszcze jedną gałąź. Jak tam noga?

– W porządku. Możemy porozmawiać?

– Muszę sprawdzić inne ognie.

Stanowisko Szarmanki było odpowiednikiem Uczonego w Stanach Carthera. Może kiedyś stanowisko to oznaczało również Przywódcę, ale teraz dawało zdecydowanie więcej kompetencji niż przywództwo polityczne, w przeciwieństwie do Komunikatora, który spędzał czas głównie na zbieraniu informacji, kto i czego chce. Warto było pokusić się o zwrócenie jej uwagi.

– Szarmanko – zagadnął Clave. – Jestem mieszkańcem drzewa. Skoro będziemy atakować drzewo, to czy nie powinnaś skorzystać z mojej wiedzy?

Rozważała to przez chwilę.

– Co możesz mi powiedzieć?

– Wiatr. Nie jesteś przyzwyczajona do wiatru. Ja – tak, podobnie jak łowcy manusów. Jeśli...  
-... postawię cię na czele własnych wojowników? – uśmiechnęła się krzywo.

– Nie o to chodzi. Zaatakujcie środek drzewa. Niech oni przyjdą do was. Widziałem, jak walczą w swobodnym spadku i wiem, że jesteście lepsi.

– Myśleliśmy o tym... – Zobaczyła, że się skrzywił. – Nie, nie obrażaj się. Chętnie się zgadzam. Obserwowaliśmy Drzewo Londyn od dziesięcioleci, dwaj nasi nawet kiedyś tam uciekli. Wiemy, że manusy mieszkają w wewnętrznej kępie, ale środek transportu trzymają pośrodku drzewa. Czy powinniśmy zacząć od niego?

Wzmianka o środku transportu, czyli latającym pudle, nieco zbiła Clave'a z tropu. Próbował odsunąć od siebie to uczucie.

– Widziałem, jak z niego korzystają. Zrzucają swoich wojowników tam, gdzie chcą, a waszych zostawiają w powietrzu. Tak. Najpierw trzeba zdobyć pudło, nawet jeśli nie potrafimy nim latać.

– Dobrze.

– Szarmanko, nie wiem, jak planujesz atak. Jeśli powiesz mi więcej, będę mógł coś ci poradzić. – Mówił to już wcześniej, ale jakby gadał do drzewa.

Kara uwolniła hak jednym szarpnięciem liny. Odpływała. Drzewne żarcie!

– Jeszcze jedno – zawołał. – Jak znam Terma, na pewno już wie, jak się poruszać pudłem. Oczywiście, jeśli miał jakąkolwiek okazję się dowiedzieć. Gavving też mógł coś zobaczyć i powiedzieć Termowi.

– Tego się w żaden sposób nie dowiemy.

Clave wzruszył ramionami.

– Zabierzemy pudło i spróbujemy odbić Terma.

Clave wepchnął suchą gałąź w węgle i wrócił do powiewania kocem.

– Nazywasz siebie... Przywódcą zniszczonego plemienia. Wierzę, że potrafiłbyś być dowódcą. Jeśli dowiesz się o sprawach, których nie powinni znać nasi wrogowie... jeśli ruszysz

na wojnę w pierwszej linii wojowników... co powiedziałbyś na moim miejscu obywatelom?

To przynajmniej było dość jasne: „Clave nie może zostać złapany żywcem, nie może być przesłuchiwany”.

– Szarmanko, nie mam wiele do stracenia. Jeśli nie dam rady oswobodzić moich ludzi, pozabijam łowców manusów.

– Merril?

– Będzie walczyć przy moim boku. Ale nie w wietrze. I... nie mów jej o niczym. Nie zabiję Merril, jeśli nas schwytają.

– W porządku. Nazywasz lej „dziupłą”?

– Nie mam racji, prawda? Dżungla nie może się tak odżywiać. Nie ma tu dość wiatru. Co to jest?

– Dzięki temu dżungla się porusza. Płatki też należą do leja. Najbardziej sucha część otoczenia dżungli to zawsze ta, w którą zwraca się lej. Płatki odbijają światło słoneczne tak, aby dżungla obróciła się w odpowiednim kierunku.

– Mówisz tak, jakby dżungla była myślącym stworzeniem.

Uśmiechnęła się.

– Ale niezbyt mądrym. Właśnie ją oszukujemy. Ognie są po to, aby dżungla wyschła z jednej strony.

– Naprawdę?

– W dżungli żyją dziesiątki stworzeń. Jedno z nich to rodzaj... kręgosłupa. Żyje ukryte głęboko i żywi się martwymi częściami, które dryfują w kierunku środka. Wszystko, co żyje w dżungli, czymś się z nim dzieli. Liście to rozmaite rośliny, które ukorzeniają się w tym, co zbierze serce dżungli, a potem same gniją i żywią serce dżungli oraz osłaniają je przed zderzeniem z czymś większym. My też mamy w tym swój udział. Transportujemy w dół nawóz: martwe liście, śmieci i naszych zmarłych, zabijamy pasożyty.

– A jak się dżungla porusza? Term tego nie wiedział.

– Srebrne płatki obracają ją zawsze tak, aby lej znajdował się w miejscu, gdzie dżungla jest najbardziej sucha. Jeśli wszystko staje się zbyt suche, lej wypluwa gorącą parę.

– I co?

– Clave, już czas zgasić ogniska. Muszę powiadomić pozostałych. Wróć tu.

Minya szła za Dloris przez kręte, rozgałęziające się tunele. Trzymała Jinny za ramię, ale lekko. Zaciśnie dłoń, jeśli Jinny spróbuje czegoś głupiego. Na szczęście dziupła, a wraz z nią droga w niebo, oddalały się z każdą chwilą.

Tunel był tak kręty, że Minya straciła orientację. Wydawało jej się, że są już w pobliżu środka konara, a kępa zaraz zacznie się zwięzać. Nie widziała jeszcze samego drewna, ale ze



sposobu ułożenia gałązek wnioskowała, że konar znajduje się poniżej i nieco na lewo. Wcześniej, gdy miały odgałęzienie tunelu, słyszała śmiech dzieci i pokrzykiwanie rozzłoszczonych dorosłych w szkółce. Na pewno trafi tu z powrotem.

Przed nimi pojawiło się nagle wejście do plecionej chaty. Dloris przystanąła.

– Minya, gdyby ktoś was zapytał... obie z Jinny uważacie, że jesteście w ciąży, prawda? Asystent Uczzonego zbada więc was obie. Jinny, zabiorę cię do siostry, a co się potem będzie działo, to już nie moja sprawa.

Dotarły do chaty. Dloris wepchnęła je do środka. W środku czekało dwóch mężczyzn; jeden odziany w błękit Floty, drugi...

– Kim jesteś? – zapytała Dloris..

– Pani Strażniczka? Jestem Jeffer, Asystent Uczzonego... drugi Asystent. Lawri jest dzisiaj zajęta czymś innym.

Term nie spodziewał się, że uda mu się na pewno zobaczyć i z Minyą, i z Jinny.

Przedstawił kobiety swojemu towarzyszowi z Floty. Ordon był nimi wyraźnie zainteresowany. Czekał teraz razem z Dloris, aż Term wypyta Jinny. Nie mogła być w ciąży, nie był to odpowiedni czas, wyjaśniał jej Term. Obie z Dloris pokiwały głowami, jakby się tego spodziewały, po czym wyszły tylnym wyjściem.

Term zaczął zadawać te same pytania Minyi. Nie miała miesiączki od dwunastu snów przed rozpadnięciem się drzewa Daltona-Quinna.

– Będę musiał ją zbadać – oznajmił Ordonowi.

Tamten pojął aluzję.

– Będę na zewnątrz.

Term wyjaśnił, czego będzie potrzebował. Minya uwolniła się z dolnej części poncha, podniosła je i położyła się na stole. Term obmacał jej brzuch i piersi. Skontrolował kobiecą wydzielinę przy użyciu soków roślin, których nauczył się używać od Klance'a. Wykonywał już takie badania w Kępie Quinna, pod nadzorem Uczzonego, jako część nauk. Raz.

– Nic szczególnego. Normalna ciąża – powiedział wreszcie. – Można się tylko zastanawiać, kiedy to się stało.

Minya westchnęła.

– To dobrze. Dloris mówiła to samo. Przynajmniej miałam okazję się z tobą zobaczyć. Czy to może być dziecko Gavvinga?

– Czas wydaje się odpowiedni, ale... byłaś później dostępna dla obywateli, prawda?

– Tak.

– Minyo, czy mam powiedzieć Gavvingowi, że to jego?

– Niech pomyśle. – Minya dokonała w pamięci przeglądu twarzy. Niektórych pamiętała

tylko jako anonimowe plamy, i to jej odpowiadało. Czy oni w ogóle przypominali Gavvinga? A ten arogancki karzeł, który zabrał jej dwa okresy snu?

– A jaka jest prawda? Nie wiesz? – zapytał Term.

– Nie wiem.

– Więc mu to powiedz. Będziemy musieli poczekać. Zobaczymy, do kogo będzie podobne dziecko.

Jinny i Dloris poszły do osady dla ciężarnych kobiet, położonej daleko, w bezpiecznej odległości. Na szczęście strażnik Terma był mężczyzną. Kobieta mogłaby nie pozwolić im na odosobnienie w czasie badania.

Minya wciąż leżała z podciągniętym ponchem i rozstawionymi nogami.

– Zostań tam, gdzie jesteś, na wypadek, gdyby Ordon tu zajrzał. Term, czy jest jakaś możliwość, żeby nas stąd wydostać?

Trudno mu było zebrać myśli, ale po chwili wziął się w garść.

– Nie róbcie nic beze mnie – poprosił. – Wiem, co mówię. Jesteśmy bezsilni, dopóki nie powstrzymamy ich od korzystania z monta.

– Nie byłam pewna, czy dalej jesteś z nami.

– Z wami? – Wydawał się zaskoczony... ale przecież miał pewne wątpliwości. Tyle mógł się tutaj nauczyć! Ale co z innymi, co z Gavvingiem i Minyą? – Oczywiście, że chcę was uwolnić! Ale cokolwiek zrobimy, oni i tak będą górą, jak długo będą mieli dostęp do monta. Widziałaś tu gdzieś w okolicy karła? – Podobnego do Harpa, pomyślał, ale Minya nie знаła Harpa.

– Wiem, o kim mówisz. Mark. Zachowuje się, jakby miał ze trzy metry wzrostu, a ma mniej niż dwa. Krępy, kupa mięśni i lubi się nimi chwalić. – Gojące się siniaki na ramionach nie pozwoliły jej zapomnieć o tym szczególe.

– On jest ważny. Tylko on jeden może używać dawnej zbroi.

– Powinien mieć jakiś wypadek?

– Przydałoby się, ale nie rób nic, dopóki nie będziemy gotowi.

Nagle Minya roześmiała się serdecznie.

– Podziwiam twój spokój.

– Taka jesteś pewna? Popatrz w dół.

Spojrzała, spąsowiała i zakryła dłonią usta.

– Jak dawno...?

– Odkąd podniosłaś poncho.

– Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, myślałam... nie, nie ruszaj się. Pamiętaj o strażniku. Skinął głową i pozostał na miejscu.

– Term – szepnęła. – Mój gość... mam nadzieję, że należy do Gavvinga, ale już tam jest, nieważne czyj. Wiesz co... – szukała słów, ale Term już się podniósł, więc dokończyła bez tchu,

ale ze śmiechem: – Rozwiążmy twój problem.

Poncho było nieprzyzwoicie wygodnym strojem. Wystarczyło je odsunąć na bok. Term musiał bardzo mocno ugryźć się w język, żeby zachować milczenie. W ciągu kilku oddechów było po wszystkim, ale głos wrócił mu znacznie później.

– Dziękuję. Dziękuję, Minyo. Ona jest... już się bałem, że w ogóle zrezygnuję z kobiet.

– Nigdy tego nie rób – szepnęła chrapliwie i nagle znów się roześmiała. – Ona?

– Drugim Asystentem jest obywatelka, która traktuje mnie jak złodziejskiego manusa. Uważa, że albo jestem śmieciem i nadaję się do dziupli, albo szpiegiem. W każdym razie to mój problem. Dzięki.

– To nie był prezent, Term. – Wyciągnęła ręce i uściśnęła jego dłonie. – Też mam już dość traktowania mnie jak manusa. Kiedy wreszcie sobie stąd pójdziemy?

– Szybko. Musimy działać szybko. Pierwszy Oficer mówił, że wkrótce ruszamy z Drzewem.

– Wkrótce, to znaczy kiedy?

– Kilka dni, może mniej. Dowiem się, kiedy wrócę do Cytadeli. Lawri właśnie tam siedzi i testuje układy napędowe monta. Oddałbym jedno jądro, żeby się znaleźć w dwóch miejscach naraz, ale nie mogłem przegapić sposobności zobaczenia się z tobą. Możesz przekazać wiadomość Gavvingowi?

– Nie mam żadnej możliwości.

– Trudno. Pod konarem jest kilka chat, właśnie tam przebywają kobiety, które noszą gości, żeby dziecko rozwijało się w warunkach większego wiatru. Czy tam, koło dziupli, jest ktoś, kogo chciałabyś zabrać ze sobą?

– Może. – Pomyślała o Heln.

– Może to za mało. Zostaw dziuplę w spokoju. Jeśli coś się stanie, bierz Jayan i każdą, której mogłabyś potrzebować i ruszajcie w górę. W okolicach dziupli jest zawsze wielu mężczyzn. Miejmy nadzieję, że Gavving i Alfin też tam się znajdują. Ale czekaj, aż wydarzy się coś naprawdę ważnego.

## ROZDZIAŁ XVII

### Kiedy Las Birnham...

Ogromne srebrzyste płatki wznosiły się i zamykały. Lej w ich głębi skierowany był na wschód i na zewnątrz, a słońce właśnie zaczynało do niego zaglądać. Gold znajdował się po wschodniej stronie i wydawał się bardzo bliski. Powolny kłęb burz wyglądał bardzo dziwnie, zarówno z ludzkiego, jak i naukowego punktu widzenia, ale był nieodmiennie fascynujący.

Clave i Karal byli sami. Pozostali strażnicy ogni odeszli do swoich spraw, skoro tylko wygaszono ogniska. Szarmanka zapytała:

– Znasz prawo reakcji?

– Nie jestem dzieckiem.

– Kiedy para wylatuje z leja, dżungla porusza się w przeciwnym kierunku, to znaczy w stronę wilgotnego otoczenia, do Dymnego Pierścienia. Oczywiście tak by było, gdybyśmy się nie... wtrącali. Potem przez jakiś czas coś musi odrosnąć... może uzupełnić paliwo? Trwa to dwadzieścia lat.

– Dlatego tak im uchodzą na sucho te napady.

– Tak. Do tej pory.

Płatki znajdowały się już o trzydzieści stopni od pionu. Słońce świeciło wprost do leja, który pochłaniał najnowsza jasność.

– Serce dżungli pluje, kiedy słońce świeci wprost w lej. Niełatwo jest zmusić je, aby splunęło we właściwej chwili, ale... chyba dzisiaj się uda.

Miękkie, wstrząsające „puff” z leja zabrzmiało jakby na jej rozkaz. Clave poczuł na twarzy falę ciepła. Dżungla zadrżała. Karal i Clave z całych sił wczepili się dłońmi i stopami w gałęzie.

Pomiędzy nimi a słońcem zaczęła tworzyć się chmura. Kolumna pary tryskała z leja Clave poczuł szarpnięcie i powiew wypychający go w niebo.

– Działa – szepnął. – ... Ile czasu potrwa, zanim dotrzemy do drzewa?

– Dzień, może mniej. Wojownicy już się zbierają.

– Co? Dlaczego mi nie powiedziałaś? – Nie czekając na odpowiedź, Clave rzucił się w kłęb listowia. Miał ochotę kogoś zamordować. Czy to przez nią stracił miejsce w nadchodzącej bitwie? Dlaczego?

Czterech manusów nawijało nogami liny windy. Oko Terma bez trudu wyłowilo pomiędzy nimi Gavvinga. Winda dotarła już prawie do samej platformy. Czy nie ma sposobu, żeby mu powiedzieć, że Minya jest z ciężarnymi kobietami i czuje się dobrze? A Term jest w Cytadeli...

– Nie mogłeś się doczekać Świąt? – odezwał się Ordon.

Term podskoczył. Przez chwilę naprawdę pływał w powietrzu. Ordon wybuchnął śmiechem.

– Hej, daj spokój, to nic takiego. Jak mógłbyś sobie odmówić, mając taką okazję? Dlatego Dloris była trochę zła, kiedy zobaczyła cię zamiast Lawri.

Term uśmiechnął się niepewnie.

– Patrzyłeś przez cały czas?

– Nie. Nie muszę rajcować się w taki sposób. Zawsze mogę iść na Rynek. Wsadziłem tylko głowę, zobaczyłem, że ty też sobie wsadzasz, więc zaraz ją wyciągnąłem. – Pchnął Terma do windy silnym, ale przyjacielskim kuksańcem, po czym sam wszedł także.

Wydawał się dość sympatyczny, ale jednak był strażnikiem Terma. Terma nie należy skrzywdzić, ale Term nie może też uciec. Ordon lubił gadać, ale... Dotarli do wioski ciężarnych kobiet okrężną drogą, od budowli Floty na końcu grani. Wracali tą samą drogą. Prawdopodobnie Ordon miał coś do załatwienia na grani. Term zapytał o to i wtedy Ordon stał się nieprzyjemnie podejrzliwy. Nie będzie rozmawiał z manusem o swojej pracy.

Kępa odpląnęła w dół. O ileż łatwiej było podróżować w ten sposób, niż wspinać się przez cztery dni na pień Drzewa Daltona-Quinna. Wokół pnia krążyło stadko małych ptaszków.

– Głuptaki – wyjaśnił Ordon. – Dobrze w smaku, ale musisz użyć monta, żeby je złapać. Stary Uczony pozwalał nam to robić, Klance się nie zgadza.

Zewnętrzna kępę zalewały strugi deszczu. Czyżby dlatego właśnie Pierwszy tak bardzo chciał poruszyć drzewem? Żeby obywatele nie zmokli?

Ruchome drzewo zaprzętało umysł Terma. Mieć własną pogodę na zamówienie!

Na wschodzie zewnętrznej kępy wisiał puszysty, zielony bąbel, za którym wlokła się dziwna, biaława smuga mgły. W ciągu dnia lub dwóch twór zniknie z pola widzenia Drzewa Londyn. Term zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie niepokoi się na zapas. Mont może dotrzeć do Stanów Carthera w każdej chwili i z każdej odległości. Gdyby nie mógł przejąć monta, byłby skazany na pozostanie tutaj, ale jeśli może, to po co się spieszyć?

Teraz jednak czas naglił.

Życie Asystenta Uczonego nie było przykre. W ciągu stu snów mógłby się nawet do niego przyzwyczaić. A wtedy, jeśli nadejdzie czas, nie wiadomo, czy będzie mu się chciało ruszyć.

Clave znalazł Merrill na Rynku. Zanurzała końce grotów w paskudnie śmierdzącej substancji, którą Cartherowie wyrabiali z trującej paproci.

Narastający powiew owionął Clave'a, kiedy podpływał w jej kierunku. Zatrzymał się, odleciał kawałek w tył i zachichotał.

– A więc to prawda! Nie chciałem nazwać jej kłamczynią, ale...

– Clave, co się dzieje? – Merrill również dryfowała, otoczona chmurą strzał. Z trudem udało jej się pochwycić naczynie z trucizną i zamknąć je, zanim się przewróciło.

– Ruszyliśmy w drogę. Wojownicy są na powierzchni. – Unosząc się na rosnącym wietrze, Clave skoczył do swojego plecaka. Przygotował go już kilka snów temu.

– Co? – warknęła Merrill. – Ile mamy czasu?

Spędzała całe dni, ucząc się wyrobu strzał, splatania cięciw, formowania kusz i strzelania. Clave obserwował ją, kiedy strzelała do celu. Była równie dobra jak większość Cartherów, a jej silne ramiona szybciej naciągały kuszę.

– Merrill, należysz do Stanów Carthera, czy chcesz tego, czy nie – przypomniał. – Wielu Cartherów nie jest obywatelami.

– No to co?

– Nie musisz iść.

– Nakarm tym drzewo, Przywódco!

Clave wrzucił garść świeżo zatrutych strzał do kołczana i rzucił tylko:

– To bierz swoje rzeczy i w drogę!

Wiatr był mniej więcej taki sam, jak w Kępie Quinna. Korzystanie z tuneli coraz bardziej przypominało chodzenie, ale samo uczucie było dziwne. Każda gałązka, każda kępa liści drgała oddzielnym rytmem.

Clave przecisnął się przez trzaskające gałązki i miękką zieloną watę. Wysunął się na wolną przestrzeń. Zza horyzontu dżungli po zewnętrznej stronie wędrowała prawie pionowa smuga chmur. Na wszelki wypadek przytrzymał się mocniej.

Z zielonej waty, niczym robaki z ziemi, wysuwali się wiotcy wojownicy. Pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu Cartherów dosiadło już swoich strąków. Clave poczuł niepokój. Szarmanka powiedziała mu o ataku z opóźnieniem, a Merrill w ogóle nic nie wiedziała. Dlaczego? Żeby mieli okazję się wycofać? „Pewnie, że chciałem walczyć, ale nie dowiedziałem się na czas...”

Może Cartherowie potrzebowali manusów bardziej niż obywateli.

Pomógł Merrill przedostać się przez liście. W oczach kobiety lśnił zapal bitewny.

– Łowcy manusów nas zostawili. Szkoda im było czasu – zasyczała.

– Miałem złamaną nogę – wtrącił Clave i ukrył szeroki uśmiech. – Popęfnili dużą pomyłkę, zostawiając nas tak po prostu.

– Dowiedzą się teraz. Tylko się nie śmiej! – potrząsnęła harpunem, którego koniec skąpany był w jadowitej żółci. – Ta trucizna albo cię zabije, albo doprowadzi do szaleństwa.

Niebo było ogromną masą chmur. W ciemnych szczelinach migotały błyskawice. Clave odszukał wzrokiem na zachodniej krawędzi cienką linię cienia. Drzewo Londyn było zbyt wielkie, aby mogło się ukryć w chmurach – pięćdziesiąt kłomterów albo coś koło tego; mniej więcej połowa długości Drzewa Daltona-Quinna, ale i tak pięć raz większe niż dłuższa oś tej puchatej dżungli.

Wybrany przez Komunikatora wódz, Anthon, siedział już okrakiem na największym strąku.

Anthon był ciemniejszy i rysy miał ostrzejsze od przeciętnego mężczyzny z plemienia Cartherów. Clave'owi mógł się wydawać delikatny z tymi długimi kośćmi, które dałoby się złamać jednym ruchem, ale za to obwieszony był bronią: kusza i strzały z zatrutymi końcami, pałka z kamieniem na końcu, długie, ostre paznokcie, ciało poznaczone bliznami. W istocie wyglądał groźnie i dziko.

Lodygi strąków zostały odcięte i zastąpione drewnianymi kołkami, służącymi jako zatyczki. Wojownik sadowił się w wewnętrznym zagłębieniu strąka i kierował nim za pomocą własnego ciężaru ciała. Clave zużył kilka strąków, żeby to wyćwiczyć.

Strąków było więcej niż ludzi: około setki, wszystkie związane lekką liną w równych odstępach. Merrill wybrała jeden z nich i dosiadła go.

– Przywiązać cię? – zapytał Clave.

– Dam sobie radę. – Przerzuciła zwój liny pod sobą i złapała z drugiej strony. Clave wzruszył ramionami i wybrał strąk dla siebie. Był większy od niego, ale mniej masywny.

Mężczyźni przewyższali kobiety liczebnością, ale nie o wiele.

– Widziałeś kobiety? – zagadnęła Merrill. – Obywatelstwo w Stanach Carthera zdobywa się poprzez walkę. Obywatelka jest lepszą żoną. Rodzina ma dwa głosy.

– Pewnie.

– Clave, jak oni to robią?

– Poufne – zachichotał i uchylił się przed drzewcem jej harpuna. – Nie mogę powiedzieć ci wszystkiego. Szarmanka mówi, że dżungla przetnie drzewo pod kątem, w okolicy punktu środkowego, z zapasem plus minus kłomtera. Do tej pory już nas tu nie będzie. Wyrównamy prędkość z drzewem i spadniemy na nich, zanim się spostrzegą.

– Jak wrócimy?

– O to też pytałem – Clave zmarszczył brwi. – Lizeth i Hild przywiozą dodatkowe strąki. Będą czekać w niebie, dopóki bitwa się nie skończy... ale złapią je, tak samo jak nas, jeśli łowcy zaczną używać monta. Musimy zająć się montem.

– A co właściwie będziemy robić? To znaczy: ty i ja?

– Zbierzemy Plemię Quinna. Chcemy, żeby Cartherowie dobrze o nas myśleli, ale Plemię Quinna ma pierwszeństwo. Chciałbym wiedzieć, gdzie oni wszyscy się podziali.

Otoczająca ich mgła zaczęła przesączać się przez liście. Podniósł się wiatr. Burzowe chmury zasnuły niebo. Clave nie odrywał wzroku od cienkiej, mrocznej kreski Drzewa Londyn... coraz bliższego, coraz większego.

Zewnętrzna kępa była bliżej – kępa obywateli. To oni pierwsi zobaczą nadchodzącą grozę: kłomtery zielonej masy lecące na pień, zieloni wojownicy spadający na nich wprost z nieba. Niewielka szansa na atak z zaskoczenia. Dżungla jest zbyt wielka, aby dała się ukryć.

Realnie na to patrząc, nie mają cienia szansy, aby uratować kogokolwiek. Dokonają

możliwie jak najwięcej zniszczeń i umrą. Dlaczego by nie zaatakować najpierw zewnętrznej kępy i nie zabić paru obywateli? Lepiej to sobie zapamiętają.

Ale jest za późno. Szarmanka znajduje się o klomtery od nich, obok kolumny ognistej pary, przy użyciu której zamierza skierować dżunglę o włos od pnia. Nie jest to odpowiedni moment, żeby ją informować o zmianie planów.

Linia we mgle uformowała się w ogromny znak całki z kępami po obu końcach. W rękach Cartherów pojawiły się miecze. Clave także wyciągnął swoją broń.

– Wojownicy! – ryknął Anthon. Odczekał, aż się uciszą, i zawołał: – Muszą sobie zapamiętać nasz atak! Nie wystarczy rozbić parę łbów! Musimy uszkodzić Drzewo Londyn. To Drzewo ma pamiętać przez następne kilka pokoleń, że obraza Stanów Carthera jest niebezpiecznym szaleństwem. Jeśli nie zapamiętają tej lekcji, wrócą, kiedy będziemy unieruchomieni.

– Niech nas popamiętają!

– Naprzód!

Sześćdziesiąt mieczy przecięło liny łączące strąki z dżunglą. Sześćdziesiąt dłoni wyciągnęło zatyczki z łodyg sześćdziesięciu strzałostrąków. Strąki ruszyły do przodu w strumieniach odoru zgniłych roślin. Z początku leciały razem, uderzając o siebie, ale po chwili zaczęły się rozdzielać. Nie wszystkie miały jednakowy odrzut.

Clave uczeplił się wyjącego strąka ramionami i nogami. Kołysał się trochę, bardziej niż inni, bo nie miał wprawy. Czuł, jak krew odpływa mu z głowy. Wiatr wiał wściekle.

Niebo, ciemne i bezkształtne, pocięte było błyskawicami. Zbliżali się do centralnego punktu drzewa – wszystko zgodnie z planem. Tu znajdował się mont, jedyny środek transportu, z dziobem ukrytym w pniu. Ogon mu płonął.

Lawri uderzyła w niebieski przycisk.

Niebieskie liczby zamigotały w oknie dziobowym i znieruchomiały. W pulpicie poniżej pojawiły się niebieskie światełka: cztery grupki po cztery, małe pionowe kreseczki ułożone w romb wokół szerszej pionowej kreski. Układ poruszył jakieś struny w pamięci Terma. Dłonie Lawri zawisły nad nimi jak dłonie Harpa przed grą.

– Zapiąć się – polecił Klance. Lawri obejrzała się z irytacją i szybciej uderzyła w klawisze. I wtedy Term zrozumiał. Siedział w fotelu, gdy mont ryknął, zadrżał i ruszył do przodu.

Wiatr wcisnął Terma w oparcie fotela, potem ustąpił. W Kępie Quinna nie miało to żadnego znaczenia, ale Uczony wbił mu do głowy, że to nie żaden wiatr, tylko ciąg. Może działa podobnie, ale przyczyny i konsekwencje są całkowicie odmienne.

Okno dziobowe spoczywało teraz na pniu. Zerwał się wiatr, kłębki kurzu zawirowały w bocznych okienkach.

Lawri uruchomiła zielone przyciski i stuknęła w nie przez chwilę. W oknie dziobowym



pojawiło się drugie, mniejsze, przez które zajrzał otoczony jaskrawym białym światłem skrawek nieba z tyłu. Widok z okna rufowego na środku okna dziobowego – bardzo denerwujące!

Klance podszedł, żeby przyjrzeć się lepiej. Skierował się do śluzy powietrznej, po drodze przytrzymując się foteli. Term ruszył za nim. Kilka kilogramów wiatru... nie, ciągu, porwał wibrujące ściany do przodu, dalej i dalej, aż chłopak z solidnym kipnięciem uderzył w rufę.

Klance zablokował się w zewnętrznych drzwiach, zaczepiony o framugę wszystkimi palcami rąk i nóg.

– Za chwilę sam zobaczysz, Jeffer. Nie wypadaj. Możesz nie dać rady wrócić. – Wysunął głowę na zewnątrz. – A niech to!

– Co się stało?

– Dżungla. Nie miałem pojęcia, że oni potrafią nią kierować. Ha! Zgotujemy im niespodziankę. Po prostu się od nich odsuniemy. – Klance obejrzał się przez ramię i wyszczerzył zęby. Zobaczył, jak Term nabiera rozpędu... za późno.

Stopa chłopca wystrzeliła, trafiając go powyżej biodra. Klance wrzasnął i wyleciał na zewnątrz. Długie palce dłoni i stopy nie puszczały jednak framugi. Term piętą uderzył najpierw w jedno, potem w drugie. Klance zniknął.

Term podszedł do zewnętrznych drzwi i wyjrzał. Napęd ryczał mu w uszach.

Drzewo było masywne, ale się poruszało. Klance powoli płynął z tyłu; miotał się, próbując dosięgnąć sieci na kadłubie monta. Zdawało się, że w szoku zapomniał o linie. Zobaczył wyglądającego drzwiami Terma i wrzeszczał coś do niego; trudno powiedzieć, przekleństwa czy prośby. Term odwrócił wzrok.

Drzewo wygięło się teraz lekko, niczym łuk Minyi. Mont pchał jego środek, a kępy pozostawały w tyle, choć niezbyt daleko. Zbyt silne pchnięcie mogło złamać pień w połowie. Ale mont był o wiele mniejszy od drzewa i prawdopodobnie pchał już pełną mocą.

Klance był już tylko miotającym się ciemnym cieniem na tle jasności tak oślepiającej, jakby spadł na nich Voy. Główny silnik monta rozpylał biało-błękitny płomień, pchając pojazd, a wraz z nim masę drzewa. Klance leciał wprost w płomień.

Ordon był w pół drogi do windy, kiedy ich zauważył.

Dżungla przesłaniała połowę nieba. Wzdłuż niej poruszały się dziesiątki małych obiektów: widział już kiedyś takie kształty! Było to wówczas, gdy tratwa z kory uderzyła w dżungłę. Giganci na latających strąkach! Ale nie dogonią ich, jeśli mont dalej będzie popychał drzewo w przeciwną stronę. Musi wyłączyć główny silnik, i to natychmiast!

A zatem Term nie zamordował Klance'a na próżno!

Lawri! Wrócił do monta i skoczył w stronę dziobu. Lawri nie spodziewała się go. Zesztywniała nagle i uniosła się lekko na fotelu, z przerażeniem wpatrując się w obraz w tylnym oknie. W płomieniach miotła się czyjaś sylwetka, rozplywający się cień...

Okręciła się na pięcie. Spojrzała Termowi mu w oczy, a ten uderzył ją w szczękę.

Głowa Lawri poleciała do tyłu. Dziewczyna podskoczyła w krępujących ją pasach i zwiśla bezwładnie. Term użył własnej liny, aby przywiązać ją do fotela. Teraz usiadł przy pulpicie sterowniczym i uważnie przyjrzał się kontrolkom.

Kolor żółty rządził systemami podtrzymania życia, w tym światłami wewnątrz i służą powietrzną. Zielony sterował czujnikami zewnętrznymi i wewnętrznymi monta. Niebieski dotyczył wszystkiego, co wiązało się z ruchem: silniki, dwie frakcje paliwa, zbiornik wody, przepływ paliwa. Biały odczytywał kasety.

Co robiła Lawri, żeby uruchomić napęd? W głowie miał pustkę. Uderzył w niebieski klawisz. Niedobrze: niebieskie obrazy znikły, ale ryk silników nie ucichł. Przywrócił obraz.

Przez boczne okno spostrzegł niebieskie plamki strojów Floty, poruszające się po korze. Niedobrze. Myśl. Niebieska gruba kreska otoczona niebieskimi cieńszymi kresczkami... wzór przypominający układ silników na rufie. Uderzył palcem w niebieską krechę.

Ryk i dygotanie zamarły. Drzewo odskoczyło sprężyste – poczuł, jak jakaś siła pcha go do przodu.

A potem cisza.

Kendy był już przygotowany do wysłania zwykłego komunikatu, kiedy blask światła wodorowego zgasł nagle.

Dziwne. Zastanawiające. Zazwyczaj główny silnik MONT-a pracował przez wiele godzin. Inaczej silniki manewrowe zaczęłyby rzucać nim jak piłką na boisku w trakcie meczu. Kendy skupił uwagę na dryfującym punkcie w malstromie Dymnego Pierścienia – i czekał.

Tuzin ludzi z Floty przedzierał się w kierunku monta, używając na przemian lin i uchwytów, ostrożnie, aby nie znaleźć się w zasięgu napędu, gdyby został znów uruchomiony. Ordon pędził przodem, był już zaledwie o kilka metrów od okna. W oczach miał żądę mordy.

Teraz szybko! Term uderzył w żółty przycisk. Wyświetlacz jest za bardzo zatłoczony, trzeba wyłączyć niebieski. Żółty pokazał: wewnętrzne światła włączone; średni zewnętrzny wiatr włączony; temperatura pokazana była jako pionowa linia z cyferkami i kreską pośrodku. A tu skomplikowany rysunek kabiny monta widziany z góry. Term stuknął lekko w dwie linie, które zapewne oznaczały drzwi. Za jego plecami śluza powietrzna zasunęła się z lekkim szelestem.

Lawri drgnęła.

Usłyszał stłumione łomotanie do drzwi.

Zaczął zabawiać się zielonymi symbolami, wywołując różne obrazy z kamer monta. Miał tak niewiele czasu, aby nauczyć się latać tym gwiazdnym reliktem. Czuł na sobie wzrok dziewczyny, ale nie obejrzał się za siebie.

Łomotanie ucichło, po czym rozległo się znowu w innym miejscu. Ordon zajrzał przez boczne okno i warknął. Pewnie wisiał na sieciach, waląc w szyby.

Term podszedł do okna i powiedział jedno słowo. Ordon zareagował zdumieniem, choć przecież nie mógł go usłyszeć. Term powtórzył, przesadnie modelując wargi, słowo, które usprawiedliwiało zamordowanie dobroczyńcy Klance'a, napaść na Lawri, zdradę przyjaciela Ordon, pozostawienie Drzewa Londyn na pastwę atakujących.

– Wojna, Ordonie! Wojna!

## ROZDZIAŁ XVIII

### Wojna na Drzewie Londyn

Clave pozostawał w tyle. Cartherowie uznali go za nowicjusza, którym zresztą był; nie wiedział, jak wybierać spośród tych dziwnych strzałostrąków. Pozwolili mu wziąć najwolniejszy. Wyminął pień i dopiero zdołał zakręcić. Będzie jednym z ostatniego tuzina lądujących.

Wzdłuż pnia Drzewa Londyn bieły liny, ciągnąc drewniane skrzynie, które z obu końców kierowały się ku centralnemu punktowi drzewa. Clave zobaczył, jak obie skrzynie otwierają się niemal jednocześnie i wyskakują z nich mężczyźni w błękitach – po ośmiu z każdej skrzyni. Łowcy manusów wydawali się wiedzieć, co robić. Szybko się ustawili i używając małych strąków skierowali się ku środkowemu punktowi drzewa po wschodniej stronie.

Lecieli w kierunku pojazdu. Dwudziestu paru łowców manusów już go otoczyło. Ogień w ogniu pojazdu zgasł, cokolwiek to znaczyło.

Cartherowie na strąkach wyminęli pień, a teraz zawracali, wyłaniając się po zachodniej stronie pnia. Byli zbyt mocno rozproszeni. Z długich nożnych łuków łowców manusów wystrzeliły pierzaste strzały. Cartherowie odpowiedzieli gradem strzał z kusz. Mieli przewagę nad wrogiem, co najmniej dwa do jednego.

Dżungla była ogromna. Monstrualny świat mijał drzewo w odległości klomtera. Clave zaczął się zastanawiać, czy na pewno się nie zderzą, ale istniała duża szansa, że dżungla przejdzie bokiem. Słup pary zgasł. Dżungla ciągnęła za sobą skręconą smugę dymu i chmurę ptaków, daremnie usiłujących ją dogonić. Za nimi podążały dwie czarne plamy: Lizeth i Hild ze swoimi pękami po dwadzieścia strąków każdy.

W tak małej odległości od drzewa zarówno pojazd, jak i punkt jego mocowania ukryte były za krzywizną pnia, ale obie grupy wrogich posiłków zdawały się skupiać właśnie w tym punkcie. Na pewno i oni zdawali sobie sprawę z wartości monta. Lecieli w obłoku pierzastych harpunów.

Odrzut strąka Clave'a nagle się skończył.

Klął w duchu, gramoląc się na drugą stronę strąka, żeby znaleźć się poza zasięgiem harpunów. Wciąż zbliżał się do pnia. Pozostali już tam byli. Żeby ukryć się przed pierzastymi harpunami, Cartherowie korzystali ze sznurowych uchwytów między stłoczonymi budynkami lub wydzielali płaty kory na tarcze. Łowcy manusów woleli strzelać do nich z nieba, gdzie mieli pełną swobodę operowania długimi łukami. Anthon wraz z tuzinem wojowników strzelali do pojazdu, kryjąc się za krzywizną pnia.

Strąk Merrill uderzył w chatę, ale ona sama znajdowała się już z drugiej strony i użyła go jako amortyzatora: dobra technika. Kilku łowców manusów próbowało przedrzeć się do tego budynku, ale Merrill zastrzeliła dwóch zza węgła, a potem uciekła, gdy pozostali podeszli zbyt

blisko.

Co mogło być cennego w tej chacie? Wydawało się, że łowcy manusów bardzo chcą się tam dostać. Clave wystrzelił pomiędzy nich jedną strzałę i stwierdził, że chyba trafił kogoś w nogę.

Pojazdu pożąдали jeszcze bardziej. Clave widział to teraz wyraźnie: wszyscy wspinali się na niego, zwisając z sieci i kory.

Większość wojowników Cartherów już wylądowała na pniu. Clave znajdował się teraz za blisko środka. Mógł jedynie patrzeć. Z chaosu walki zaczęły się wyłaniać pewne prawidłowości.

Łowcy manusów byli w mniejszości. Cofali się, ale nie tylko z tego powodu: z bliska nie mogli użyć łuków. Tak samo jak Cartherowie, mieli miecze, ale ci ostatni byli wyżsi i mieli dłuższe ramiona. Z takich starć z reguły wychodzili zwycięsko.

Łowcy manusów mieli poza tym małe strąki, takie, jakie rosną na całkowych drzewach. Woleli pozostawać w niebie.

Clave obserwował, jak Cartherowie atakują ośmioosobową grupę mężczyzn w niebieskich ponchach. Łowcy korzystali ze straków, pozostawiając za plecami rozproszonych Cartherów, i strzelali z nożnych łuków. Nagle dwóch Cartherów znalazło się wśród nich, tnąc na wszystkie strony; za chwilę dołączyło do nich dwóch kolejnych. W swobodnym spadku łowcy manusów walczyli jak dzieci. Cartherowie zabrali trupom strąki.

Clave dryfował, a Stany Carthera zwyciężały!

Wzdłuż pnia powoli wznosiła się kolejna skrzynia. Wskoczyły z niej posiłki: sześciu niebieskich łuczników i jedno pękate, srebrzyste stworzenie. Było w nim coś dziwnie znajomego... ale nie dotrą tu przed upływem kilooddechu!

Jeden z łowców spostrzegł Clave'a i uznał go za łatwy cel. Starannie wycelował harpun w strąk, po czym ruszył w jego stronę. Za chwilę, gdy Clave się zbliży, będzie miał czysty strzał. Clave wystrzelił. Niedobrze: łowca uchylił się i czekał. Clave prawie widział jego szyderczy uśmiech...

...który znikł mu z twarzy, gdy Merrill trafiła go od tyłu. Drzewce wystawało z dolnej części pleców. Kiedy indziej łowca pewnie mógłby walczyć dalej, ale teraz jego twarz wyrażała niemy krzyk. Zaczął wydzierać z siebie strzałę i zadygotał. Ten napar z trujących paproci musi być okropną trucizną.

Strąk Clave'a wylądował. Clave zeskoczył, chwycił się kory i z przygotowaną kuszą ruszył w kierunku Merrill. Kątem oka spostrzegł błękitną plamę na tle burzowej chmury, przestrzelił jednego człowieka, a po chwili drugiego, który rzucił się na niego z mieczem, przebił harpunem.

Łowca manusów nadbiegł zbyt szybko. Clave uderzył go w twarz kuszą, a gdy tamten cofnął się trochę, dobił go ciosem w gardło.

Merrill przedzierała się po obwodzie pnia. Ruszył za nią. Zatrzymała się i przycupnęła. Wtedy Clave zobaczył pojazd, zacumowany dalej, po zewnętrznej stronie pnia. Kadłub aż roił się

od łowców.

Przypadł do kory obok niej.

– No i co, dlaczego nas nie zabijają tym sprytnym pudłem? – syknęła Merrill.

– Dobrze pytanie. – Clave przyglądał się przez chwilę, jak grupa Anthona strzela zza krzywizny pnia. Strażnicy pojazdu odpowiadali strzałami, ale bez wielkiego szczęścia.

– Zapomnij o tym – mruknął wreszcie. – Po prostu go nie używają. Za to używają tych drewnianych skrzyń, żeby sprowadzać posiłki. Trzeba...

– ... przeciąć im liny.

– Właśnie.

Dwie liny, grubości ramienia Clave'a, biegły równolegle przez całą długość pnia. Ostatnia skrzynia znalazła się właśnie poza zasięgiem wzroku. Zaraz zjawi się druga. Clave i Merrill podbiegli do bliższej z lin i zaczęli ją ciąć.

Sześciu ludzi i srebrny stwór znaleźli się już w zasięgu nożnych łuków. Clave i Merrill osłonili się arkuszami kory. Clave obserwował srebrnego człowieka. Znowu powracał dawny koszmar: człowiek wykonany z gwiazdneho materiału, z pustą kulą zamiast głowy. Strzelał, dopóki nie ujrzał, jak strzała z kuszy odskakuje od srebrzystej powierzchni.

W tarczy miał już kilka pierzastych harpunów. Merrill także. Clave spostrzegł trzy maleńkie kolce, podobne do cierni, wycelowane w obnażoną głowę Merrill.

Krzyknął. Schyliła się. Ciernie wbiły się w pień.

– Och, to srebrny człowiek – mruknęła.

– Znasz go?

– Tak... Nie przestawaj ciąć. Był z łowcami manusów w Stanach Carthera. Nie mamy niczego, co przebiłoby tę zbroję.

Kolejna skrzynia zaczęła właśnie zjeżdżać z góry, gdy lina pękła. Pudło uniosło się w niebo. Ludzie, którzy się z niego wysypali, ruszyli łukiem w kierunku pnia, korzystając ze straków jako napędu. Wydawali się zbyt daleko, by się na coś przydać.

Druga lina straciła naciąg.

– To pętla – wyjaśniła Merrill. – Nie trzeba jej przecinać.

– No to ruszamy. Tam był jakiś kabel, który ciągnął się aż na zewnątrz...

– Nie. Dołączmy do zwycięskiej grupy. Szybko, inaczej zostawia nas w tyle.

– Zwycięskiej...? – Nagle Clave domyślił się, co chciała przez to powiedzieć.

Odziani w zieleń wojownicy stłoczyli się wokół pojazdu. Niektórzy wchodzili do środka. Mężczyźni w błękicie unosili się wokoło, najwyraźniej martwi. Ci, którzy przeżyli, wycofali się poza krzywiznę pnia, aby czekać na posiłki.

Wyglądało na to, że walka o pojazd dobiegła końca. Pozostali łowcy manusów zbliżyli się już na niebezpieczną odległość. Clave strzelił i miał szczęście: było ich już tylko pięciu, plus

srebrny człowiek.

Ordon umarł ze strzałą w piersi. Term widział jego twarz przez szybę... ale nawet gdyby Ordon mógł go usłyszeć, nic nie zostało do powiedzenia. Odwrócił się w stronę żółtego ekranu.

W oknie dziobowym miał pięć pływających prostokątów: widok z tyłu, z góry, z dołu i z obu boków. Widział ludzi w błękicie, ludzi w zieleni; kobiety i mężczyzn, ale trudno było powiedzieć, kto zwycięża.

Trzech wojowników Floty próbowało ukryć się za osłonami silników. Term dotknął niebieskiej kreski. Buchnęły płomienie. Niebiescy wycofali się z krzykiem, wymachując kończynami, żeby odzyskać równowagę. Jeden miał biodro przeszyte strzałą.

– Morderca! – wrzasnęła Lawri.

– Niektórzy z nas nie lubią być manusami – spokojnie wyjaśnił Term. – Niektórzy nie lubią nawet łowców manusów.

– Klance i ja nigdy nie zrobiliśmy ci nic złego. Zawsze byliśmy dla ciebie dobrzy!

– Właściwie to prawda. Ale co zrobiłaś dla reszty plemienia Quinna? Zapomniałaś, że miałem swoje plemię?

– Twoje plemię nie żyje! Drzewo zostało rozerwane na części! To my mogliśmy być twoim plemieniem, ty buntowniku, karmicielu drzewa, ty...!

Term nie czuł szczególnej potrzeby, aby zatkać jej usta. Oskarżenia wykrzykiwane przez Lawri wtórowały jedynie jego własnym myślom. Cóż, podjął już decyzję.

– Wiesz, co się dzieje z naszymi kobietami? – zapytał bez gniewu. – Gavving może dostałby pozwolenie na spotkanie się z żoną za trzydzieści parę dni, ale każdy obywatel płci męskiej miał do niej dostęp o dowolnej porze. Teraz będzie miała dziecko i nawet nie wie, kto jest jego ojcem. Ja też nie wiem.

– Zabiją cię – syknęła Lawri. – Mam ci powiedzieć, jaka jest kara za bunt?

– Proszę uprzejmie, ale zdaje się, że zmieniłaś temat dyskusji.

Powiedziała mu i tak. Zabrzmiało to dość okropnie: wystarczający powód, żeby drzwi pozostały zamknięte.

Znalazł czujnik podczerwieni, który pokazał mu czerwone kropki wzdłuż całego pnia. Wyłączył podczerwień i rozpoznał Clave'a i Merril, a za nimi ścigającą ich grupę ludzi Floty... w tym także karła w kombinezonie ciśnieniowym.

Clave i Merril! Wobec tego Cartherowie naprawdę są po jego stronie. A już się zastanawiał...

Ubrani w zieleń wojownicy opanowali pojazd. Kiedy Flota zaczęła się cofać, Term włączył na chwilę silnik i spalił jednego z żołnierzy: nie po to, żeby zabić, ale żeby dać sygnał Cartherom: „Jestem z wami”! Ponieważ to właśnie Cartherowie wyroili się teraz na powierzchni monta, a Flota uciekała pod osłonę pnia.

Gavving znalazł się na nogach, podtrzymywany przez dwóch ludzi, zanim jeszcze zdążył się obudzić.

– Co się dzieje?

– Potrzebujemy ludzi do pedałowania – powiedział ktoś.

Czterech ludzi z Floty pomogło trójce zaspanych manusów wyjść z baraków i wdrapać się do kępy. Gavving z trudem powstrzymywał złość. Koń przyjął alarm ze zwykłą pokorą, za to Alfin protestował zażarcie:

– Jestem asystentem opiekunki dziupli, nie żadną karmiącą drzewo parą nóg...

– Ty, słuchaj no. Wysyłamy ludzi do Cytadeli tak szybko, jak tylko się da. Normalną grupę zajeżdżiliśmy już prawie na śmierć. Zajmiesz miejsce i będziesz pedałowal z całą resztą!

– I może jeszcze wykonywał normalne obowiązki? Będę półżywy! Co mam powiedzieć Strażnikowi?

– Wsiadaj na bocykl, albo sam opowiesz Strażnikowi, gdzie się podziały twoje jaja! Dokładnie przed Świętami!

Manusy na platformie pokryte były potem, który kroplami unosił się z ich włosów. Dyszeli jak w agonii. Ludzie z Floty pomagali zsiąść jednej trójce, krzywiąc się z obrzydzenia. Pozostali wsiadali do windy.

Pół nieba przesłaniała zielona masa.

Dżungla! Dżungla zaatakowała Drzewo Londyn!

Z Floty pozostało tylko trzech. Jeden był oficerem; Gavving go rozpoznał, ponieważ niósł kawałek dawnej nauki – mówiącą skrzynkę. Pozostali wsiadli do windy. Gavvinga posadzono w siodełku. Zaczął pedałować. Winda uniosła się w górę.

Dżungla zaatakowała Drzewo Londyn. Dżungla mogła się poruszać. Kto by pomyślał? Zielona masa była okropnie blisko, ale... oddalała się.

Musi coś zrobić! Ale co? Patrzyli na niego uzbrojeni ludzie.

Winda była już o dziesiątki kłomterów nad nim, a sam Gavving z trudem chwycił oddech. Poczul zmianę, zanim ją jeszcze zobaczył. Nagle pedałowanie stało się całkiem łatwe. Skrzypiąca skarga przekładni roweru wzniosła się o jedną oktawę. Podniósł wzrok.

Skrzynia windy spadała, obracając się powoli. Błękitne kształty rozsypały się wokół niej, kierując się w stronę pnia. Jeden był zbyt powolny: dotarł do pnia, wciąż poruszając się zbyt szybko, odbił się jak złamana lalka i spadał dalej. Skrzynia jednak spadała szybciej.

– Przestać pedałować. Pozostać na miejscach – rozkazał oficer.

Najeżdźcy przecięli kabel. Co teraz? Wewnątrz wiedzie na wschód. Skrzynia nie uderzy tutaj, tylko dalej, w kierunku końca gałęzi, ale gdzie? Gavving wyobraził sobie masywną drewnianą konstrukcję przedzierającą się przez puszyste jak wata liście.



– Oficerze, a jeśli skrzynia uderzy w chatę ciężarnych kobiet?

– Chata jest pod konarem – odparł żołnierz. – Hmm... ale i tak skrzynia może komuś zrobić krzywdę. Niech to, przecież tam są szkoły! Karal!!! Ruszaj na wschód do końca konara i każ wszystkim schować się pod spodem. Nie przegap chaty badań. Sekcji dokowania też. Potem sam się schowaj, jeśli zdążysz.

– Tak, sir! – Jeden z ludzi, widocznie ranny, bo ramię miał obandażowane i podwiązane na temblaku, niezgrabnie ruszył w drogę. Pozostało dwóch.

Oficer przemówił do gadającej skrzynki:

– Dowódca Oddziału Patry. Wróg przeciął kable windy. Co u was?

Odpowiedź była prawie niezrozumiała przez szum zakłóceń. Gavving opuścił głowę i przymknął oczy – biedny, zmęczony manus, zbyt śpiący, żeby myśleć o buncie – i słuchał uważnie. Usłyszał:

– Windy pracują... cimy żołnierzy. Nieprzyjaciel trrrrrszsz liczebnie, powtarzam, czterdziestu do pięćdziesięciu. Tszszszsz przeważająca liczba... szszsz. Pokonują nas... Szszsz monta, ale nawet... nie mogą... przywiązani.

– Widzę dwie czarne masy na zachód ode mnie.

– Zostaw... bez tego mamy kłopoty. Wysłamy więcej ludzi do Cytadeli.

Term rozpoznał Debby, długonogą i długoręką kobietę, po prostych, długich włosach. Dwaj mężczyźni obok niej byli obcy. Nie martwił się wycelowanymi w siebie kuszami, ale ich lękiem przed montem. Nie podobał im się ten pojazd.

Rozłożył otwarte dłonie.

– Jestem Uczonym Plemienia Quinna. Tylko ja potrafię kierować tym pojazdem. Miło cię widzieć, Debby.

Lawri wtrąciła wściekle:

– Nakarm tym drzewo, buntowniku! Zgubisz nas w niebie albo rozsmarujesz po całym pniu!

– A to Lawri, łowca manusów.

Jeden z mężczyzn ocknął się.

– Jestem Anthon, a to Prez. Debby mówiła nam o tobie, Term. Czy możemy ruszać od razu? Umieścić wszystkich naszych wojowników na sieciach i ruszać? Nadchodzi srebrny człowiek.

– Jesteśmy przywiązani do drzewa – odparł Term. – Odetnijcie liny i możemy odlecieć. Nie zostawcie tylko Clave'a i Merril. Chyba nadszedł czas, aby zabrać coś jeszcze.

Pokazał na ekran tylnego okna. Anthon i Debby ochoczo przesunęli się i spojrzeli mu przez ramię. Wszystkie te naukowe drobiazgi muszą być bardzo kuszące.

– Ta chata to Lab. Debby, znajdziesz tam czytnik i kasety. Pamiętaj, jak wyglądają?

Debby skinęła głową.

– Idź, weź je. Anthon, zabierz kilku wojowników i odetnijcie monta. Spojrzał na ekrany. Clave zbliżał się skokami, ciągnąc za sobą Merril. Jego nogi służyły teraz obydwójgu. Merril strzelała do prześladowców. Jeden z goniących ich ludzi Floty upadł, trafiony strzałą. Srebrny człowiek wciąż biegł.

– Spróbuj ich trochę osłaniać – mruknął Term.

– Ty tu nie dowodzisz, Uczony – spokojnie odparł Anthon.

– Dowodzę. Mam już dość roli manusa!

– Debby, leć po to drzewne żarcie dla Uczonego. Weź paru ludzi. Prez, przetnij te kable! – Anthon odczekał, dopóki nie znaj da się za drzwiami, po czym przemówił znowu. Chyba nie chciał świadków tej dyskusji,

– Term, walczyłeś już kiedyś?

– Zdobyłem monta.

– Ty? To ja... – urwał. – No, nieważne.

– Ilu was jest?

– Czterdziestu, teraz może mniej. Nie wejdziemy do środka, ale możemy wisieć na sieciach.

– Chcę uwolnić resztę Plemienia Quinna. Są w kępie, mogę ich odnaleźć. Mont ma dużo tego, co go porusza. Małymi silnikami możemy rozpylać płomień. Pójdzie łatwo.

Anthon nie spieszył się z podjęciem decyzji. Lawri przerwała milczenie.

– On nie potrafi kierować montem. Ja potrafię. Jestem Asystentem Uczonego.

– Dlaczego jej nie zabiłeś? – zapytał Anthon.

– Zostaw! Jest tym, co mówi... musiałem sam zabić Uczonego. Lawri może nas nauczyć wielu rzeczy, jeśli się ją do tego namówi. Jest nieszkodliwa, dopóki pozostaje związana.

Anthon skinął głową.

– Dobrze, niech sobie żyje. Ale to ja dowodzę Stanami Carthera.

– A ja jestem kapitanem monta.

Anthon wyszedł z pojazdu i zaczął wykrzykiwać rozkazy. Przekaze informację dalej. Kapitan! Ten, kto pogwałci rozkazy Terma na pokładzie monta, będzie buntownikiem!

Cartherowie przecięli liny mocujące monta. Strzały z kusz skutecznie powstrzymały ludzi goniących Clave'a i Merril. Musieli ukryć się za płatami kory. Srebrny człowiek zbliżył się sam. Nie korzystał ze strąków. Musiał mieć coś wbudowane w samym kombinezonie.

Mont unosił się swobodnie. Był już wolny.

Lawri szepnęła wściekła:

– Zabijają mnie, prawda?

– Nie mają żadnego powodu, żeby cię lubić – odparł Term, nie siląc się nawet na sarkazm. – Zachowuj swoje zdanie dla siebie przez jakiś czas, oczywiście jeśli potrafisz. Naprawdę myślisz, że wojownik z dżungli pozwoli ci podejść do sterów?

Clave, Merrill i Debby wpadli do pojazdu jak burza. Debby krwawiła z rany na boku. Merrill podfrunęła do Terma i uścisnęła go serdecznie.

– Term! To znaczy, Uczony! Dobra robota! To znaczy, wspaniała! Umiesz tym kierować?

Term poczuł ogromną ulgę. Niech Clave gra sobie w dominację z Anthonem. Term będzie dowodził montem i może tylko mieć nadzieję, że Lawri się myli.

– Umiem.

– Możesz znaleźć resztę naszych? – zapytał Clave.

– Wszyscy są w kępie. Gavving na górze. Tam go znajdziemy. Jayan i Minya są z ciężarnymi kobietami w chacie pod konarem. Jinny i Alfin powinny być na Rynku, może będziemy musieli opuścić montę, żeby ich znaleźć.

– W takim razie wszystko powinno się udać. Nie mogę w to uwierzyć!

Term wyszczerzył zęby.

– No to po co wróciłeś?

– Nieważne.

– Debby...

– Mam je. Musieliśmy o nie walczyć. – Siedem kaset.

– Wspaniale!

– Nie znaleźliśmy czytnika.

– Może Klance go miał... nieważne. Siadajcie w fotelach. Ty też. Clave, Merrill, przywiążcie się! – Spojrzał na wyświetlacze. – Za kilka oddechów będziemy mogli...

– Co? – Clave spojrzał na obrazy pływające w oknie dziobowym. – To miejsce jest jakieś dziwne. Od tych obrazów dostaję zęza! Term, masz coś, żeby pozbyć się srebrnego?

– Nie, jeśli nie nawinie się pod silnik. To kombinezon gwiazdowego człowieka.

– Ale on zabija naszych sprzymierzeńców.

– Ten karabinek tylko ich usypia i sprawia, że czują się cudownie. Dla nas to nie ma znaczenia. I tak trzeba ich wyłączyć. Anthon, doskonale to wyliczyłeś. Siadaj w fotelu.

Anthon dyszał ciężko. Kuszę wycelował wprost w oczy Terma.

– Za długo czekałeś! Ten przekłety srebrny...

– Siadaj w fotelu i przypnij się! Powiedz mi, ilu nas zostało.

Term próbował obserwować wszystkie obrazy naraz. Cartherowie skryli się prawie za horyzontem pnia. Zbyt wielu unosiło się bezwładnie. Innych holowali towarzysze, którzy nie zostali trafieni. Człowiek w kombinezonie ciśnieniowym unosił się nad montem, strzelając usypiającymi strzałkami.

Oczy Anthona straciły szklany wyraz. Usadowił się w fotelu.

– Nie możemy go zranić. Tylko mnie udało się dotrzeć do pojazdu. Pozostali i tak tu nie przyjadą, bo się go boją.

– Nie możemy ich zostawić.

Srebrny człowiek rzucił się w kierunku drzwi. Term zacisnął palce. Srebrny cofnął się, kiedy drzwi zamknęły mu się przed nosem, ale już po chwili pojawił się na górnym ekranie. Trzymał się sieci na kadłubie.

– Jest na górze monta – mruknął Term.

– Ruszaj – polecił Anthon.

– Ruszać?

– Możemy zostawić moich obywateli, jeśli zabierzemy srebrnego człowieka. Zaraz dostanę nowe strzałostrąki.

– No to w porządku. – Palce Terma lekko stuknęły w pulpit. Srebrny człowiek wciąż wisiał na sieci, gdy mont wycofał się z pozycji przy pniu i ruszył w dół.

## ROZDZIAŁ XIX

### Srebrny Człowiek

Zbiornik pralniczy był dużym, szklanym cylindrem. Zwisał z dolnej części konara na linach wbitych w czarną korę nad głową Minyi. Wokół niego znajdowała się szeroka platforma pleciona z żywych gałązek. Krąg kamieni pod zbiornikiem podtrzymywał palenisko z węgla. Woda doprowadzana była rurą z dziupli aż tutaj. Imponująca konstrukcja, ale Minya była zbyt zmęczona, aby ją docenić.

Minya i Ilsa mieszały dwumetrową pałąk brudne ubrania w spienionej wodzie. Wymagało to dużej uwagi i zręczności. Pozostawiona samej sobie mydlana zupa wykipiałaby z kotła wraz z ubraniami. Strażniczka Haryet zaglądała do nich co chwila, żeby sprawdzić, jak sobie radzą.

Minya jeszcze nie była ociążała, ale czuła już gościa, który rósł w jej wnętrzu. Cięża Ilsy wyglądała wręcz zabawnie: potężna wypukłość na prostej kresce ciała. Podobnie jak inne, wyglądała już na całkowicie pogodzoną z losem. Raz powiedziała Minyi:

– Przez całe życie wiemy, że pewnego dnia mogą przyjść po nas łowcy manusów. No i przyszli.

Pod gałęzią znajdował się rząd chat. Większość kobiet wolała pozostać wewnątrz. Nie wszystkie były ciężarne. Niektóre karmiły swoich niedawnych gości. Wszystkie miały pracę: robótki na drutach, szycie, przygotowywanie posiłków, które następnie gotowano koło dziupli.

Ciszę zmącił nagle głośny szelest liści.

Z tunelu prowadzącego w dół od chaty badań wybiegła czwórka ludzi: Jayan i Jinny, strażniczka Dloris oraz mężczyzna z Floty z ręką na temblaku. Karal zauważył Minyę, podbiegł do niej i chwycił ją za ramię. Odskokzyła, przestraszona jego gwałtownością.

– Jesteś cała – wydyszał. – Świetnie. Minya, zostań pod gałęzią. Nie pozwól nikomu... n-i-k-o-m-u... wędrować gdziekolwiek.

– Nie mamy na to ochoty. Jesteśmy zbyt ciężkie. Myślałam, że mężczyznom nie wolno...?

– Nie zostanę tu, Minyo. Dwie windy i co najmniej jeden człowiek spadają z wysokości trzydziestu kłomterów i nie wiemy, gdzie spadną. Muszę jeszcze ostrzec dzieci w szkółce. – Dotknął czubka jej nosa. – Zostań tutaj!

Potykając się i ciężko dysząc, ruszył biegiem w kierunku tunelu.

Jeśli coś się stanie, powiedział Term. Coś się dzieje i to na pewno, ale co? Czy Dloris będzie wiedziała?

Minya odgadła, gdzie może być strażniczka. Ruszyła wzdłuż rzędu chat i weszła do ostatniej. Nadeszły Dloris i Haryet.

– Przeliczyłyśmy kobiety – oznajmiła Dloris. – Brakuje Gwen. Nie widziałaś jej? Trzy metry

wzrostu i blada jak duch, z rocznym gościem.

– Ostatnio nie. Co się dzieje?

– Wyjmijcie te ubrania i rozwieście do suszenia. Zgaście ogień. Macie liny? To dobrze, mogą wam się przydać.

Minya zwróciła się do Jayan i Jinny.

– Pomóż nam trochę, Jinny. Dobrze, że tu jesteś. Trzymajmy się razem. Wiesz może, co się dzieje?

– Nie. Karal wyglądał na ciężko wystraszonego.

– Czy to wojna?

– Lepiej zajmijmy się robotą, dopóki nie dowiemy się na pewno – poradziła Ilsa.

Ostrożnie manipulując kijami, wyjęły ze zbiornika odzież otoczoną galaretowatą masą. Pozostało trochę wody. Przewróciły zbiornik i odsunęły się, żeby kula wody mogła spłynąć leniwie na gorące węgle. W słabym wietrze Drzewa Londyn gorąca para nie rozchodzi się tak szybko, lecz raczej rozprzestrzenia się niewidzialną mgiełką, parząc dotkliwie.

Minya nigdy nie widziała, żeby zgaszono ten ogień. Dloris podejrzewa chyba coś okropnego.

Pracowały dalej. Umieściły pranie w prasie i ścisnęły je pomiędzy dwiema drewnianymi płytami. Woda wypłynęła powoli z kłębu tkanin i zaczęła ściekać w dół.

Coś uderzyło w listowie i spadło niedaleko.

Zamarły. Minya rzuciła się w gąszcz. Ilsa i Jinny deptały jej po piętach. Skierowały się w stronę, z której dochodził dźwięk. Minya wspięła się w górę, do miejsca, gdzie zatrzymał się spadający przedmiot.

O, tam widać ścieżkę połamanych gałązek. Poszła za nimi w dół, do miejsca, gdzie spoczywały połamane szczątki kogoś, kto był kiedyś oficerem Floty. Trup miał przy sobie miecz w pochwie i kołczan, wciąż jeszcze pełen strzał, choć brakowało łuku.

– Teraz wiemy, że to wojna – szepnęła Minya.

– Będziemy musiały zabić strażniczki – dodała Ilsa.

Minya podskoczyła.

– Co takiego? – zawołała wstrząśnięta. – Nieważne, masz rację. Myślałam, że ty... że już się poddałaś.

Ilsa tylko potrząsnęła głową

Zachód wiedzie do wnętrza, wnętrze wiedzie na wschód. Z początku Term utrzymywał okno dziobowe skierowane prosto w dół. Spadali gładko i szybko... skierował montaż na zachód i odpalił tylne silniki, żeby skorygować lot i nie oddalać się od pnia.

Pasażerowie byli sztywni z przerażenia, z wyjątkiem Lawri, która była sztywna z wściekłości. Wciąż mieli pasażera na kadłubie.

Anthon odezwał się drżącym i urywanym głosem:

– Chcę zauważyć, że możemy wrócić do Stanów Carthera. Mamy monta i srebrnego człowieka. Ci łowcy manusów nie mają nic, co byłoby dla nich cenniejsze. Możemy to wymienić na waszych manusów.

Propozycja brzmiała rozsądnie.

– Co ty na to, Clave? – zapytał Term.

– Daj to drzewu.

– Chcesz zabić kilku łowców. W porządku. Mogę to zro...

– Chcę ich sam uratować! Jestem Przywódcą Plemienia Quinna! Mają prawo do mojej ochrony! – splunął Clave. – Wymienić! Zaatakowali nas, my zaatakowaliśmy ich. Mamy monta i będziemy mieć też naszych ludzi. Dobrze, Term... Uczony... jakie jest twoje zdanie?

Spadali za szybko. Term obrócił monta dziobem w dół i odpalił silniki.

– Miło, że pytasz. Mamy Asystenta Uczonego, srebrny kombinezon i jedynego człowieka, na którego on pasuje. Może się zamieniać. Zatrzymamy monta.

– Nigdy – warknęła Lawri. – Handel z manusami?

Anthon i Clave spojrzeli po sobie.

– Nieważne – podpowiedział Term i roześmieli się wszyscy. Sam ton głosu Lawri mówił więcej niż słowa.

Minya zatrzymała się i wyrzwała z za zasłony gałązek.

Strażniczki znalazły Gwen i teraz odprowadzały ją do chaty. Haryet besztła ją po drodze. Gwen była manusem w drugim pokoleniu. Niższa od Minyi, wydawała się teraz małeńka.

Słyszały, jak nadchodzimy, pomyślała Minya. Jinny chyba też zdała sobie z tego sprawę. Wyszła z szeleszczących liści dziesięć metrów na wschód od miejsca, gdzie stała Minya. Dobrze. Teraz pomyślą, że słyszały jedną osobę, a nie dwie.

Dloris podeszła do Jinny z błyskawicą w oku. Wyłamywanie nowych ścieżek było surowo zabronione.

Minya wysunęła się z za Haryet i dźgnęła ją od tyłu. Gwen z dzieckiem na ręku odwróciła się i wrzasnęła. Dloris okręciła się w miejscu i wytrzeszczyła oczy. Być może to miejsce, pełne matek i niemowląt, dawało strażniczce fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Reagowała powoli. Zanim sięgnęła do pałki, Jinny przycisnęła jej ramiona do tułowia, a Minya już biegła w ich stronę długimi susami.

Dloris pochyliła się do przodu. Jinny przeleciała jej nad głową i wirując wpadła na Minyę, która straciła cenne sekundy, żeby odskoczyć na bok. I oto Dloris już trzymała w pogotowiu pół metra twarodrzewa. Przed nosem ujrzała jednak miecz Floty.

– Czekajcie – jęknęła. – Czekajcie!

– Moje dziecko nie urodzi się jako manus! – krzyknęła Minya i rzuciła się naprzód.

Dloris odskoczyła w tył tanecznym krokiem. Za plecami miała tunel i Minya wiedziała, że strażniczka nie może się do niego dostać. Ruszyła na nią, gotowa odbić pałkę w bok. Jayan i Ilsa znalazły się za plecami Dloris. Jayan unosiła wielką kijankę, trzymając ją wysoko za trzonek, niczym miecz o dwóch rękojeściach.

Dloris upuściła pałkę

– Nie zabijajcie mnie. Błagam.

– Dloris, powiedz nam, co się dzieje.

– Stany Carthera są na całym pniu. Nie wiem, kto ma przewagę.

– Mają monta?

– Monta? – Dloris wydawała się szczerze zdumiona.

Związały ją liną. Ilsa chciała zrobić coś więcej, ale Minya знаła Dloris zbyt dobrze, żeby na to pozwolić. Haryet też by nie zabiła, gdyby... gdyby...

Gavving obserwował ognisty lot monta. Patry wciąż rozmawiał ze swoją skrzynką, zbyt daleko, żeby Gavving mógł coś usłyszeć, ale oficer Floty wydawał się wściekły i przerażony.

Zauważył, że Gavving go obserwuje.

– Ty! Wy wszyscy! Zostać tam, gdzie jesteście! Ruszcie się tylko i strzelam. Rozumiecie? Amy, ukryj się.

Dwaj ludzie z Floty ukryli się w listowiu.

– Jesteśmy przynętą – ponuro mruknął Alfin.

– Ich jest tylko dwóch.

– Naprawdę myślicie, że wasi towarzysze zajęli monta? – zainteresował się Koń. – Co z nim zrobią?

– Uratują nas – odparł Gavving z większą pewnością, niż rzeczywiście czuł. – Alfin, kiedy mont zejdzie w dół, skacz do drzwi i miej nadzieję, że się otworzą.

– Chyba całkiem ci odbiło – prychnął Alfin. – Naprawdę chcesz tym lecieć?

– Polecę wszystkim, byle się stąd wydostać, jeśli tylko uda mi się zabrać Minyę.

– Ale gdzie jest Minya? Słuchaj, Gavving... Pamiętam, jak miałeś czerwone, zapuchnięte oczy i wylewałeś rzeki łez. Tutaj mają własną pogodę. Nikt nie jest głodny, nikt nie czuje pragnienia. Dobre, zdrowe drzewo z dobrymi zbiorami ziemskich roślin. Mam odpowiedzialną funkcję...

– Tobie się tu podoba?

– Och... drzewne żarcie. Może nie podoba mi się nigdzie. U Daltonów-Quinnów też słuchałem rozkazów. Spotykam się ze strażniczką, to miła kobieta, choć trochę dla mnie za duża. Tego nie miałem w Kępie Quinna. Kor jest rok czy dwa za stara dla obywateli, ale poradzimy



sobie... a ta skrzynia mi się nie podoba.

– A mnie tak – przemówił Koń. – Gavving, daj mi miejsce Alfina.

Mont spadał wprost na nich. Lepiej, żeby na jego pokładzie byli przyjaciele! Jeśli tak nie jest, umrze w walce.

– To nie moja decyzja – powiedział do Konia. – Rób to samo co ja. Zobaczymy, co powie Clave.

– Zrobione.

– Alfin, masz ostatnią szansę.

– Nie.

– Dlaczego?

Alfin spojrzał mu w oczy.

– Tu jest wiatr.

Wrzask przerażenia Gwen sprawił, że i dziecko zaczęło krzyczeć. Teraz uspokajało się powoli. Gwen włożyła całą duszę w dłonie, które gładziły i poklepywały maleństwo. W oczach miała pustkę.

Konspiratorki ignorowały Gwen, zresztą z wzajemnością. Raz tylko Ilsa zatrzymała ją, gdy kobieta próbowała wrócić do chat. Nie chciały, żeby opowiedziała o wszystkim pozostałym kobietom.

– Ilsa, jesteś pewna, że tego chcesz? – zapytała Jayan.

Jinny nie była brzemienna, Jayan i Minyi ich stan jeszcze nie przeszkadzał. Ilsa była w gorszej sytuacji.

– Ja też nie chcę, żeby moje dziecko urodziło się manusem.

Konar zadygotał pod potężnym ciosem.

– Druga winda – domyśliła się Ilsa. – Karal mówił o dwóch.

– Minya, ty rozmawiałaś z Termem – zagadnęła Jayan. – Co powiedział?

– Kazał nam iść w górę. Będzie próbował przejąć monta. Jeśli mu się to nie uda...

– Wtedy już nie żyje – podsumowała Ilsa. – Wszyscy wojownicy Stanów Carthera zginą także, a my nigdy się stąd nie wydostaniemy. Z tego wynika, że musi mu się udać. Na pewno ma teraz monta i tylu wojowników Stanów Carthera na pokładzie, ilu udało mu się zebrać, a teraz próbuje się do nas dostać. Kto idzie z nami?

Nikt nie podsunął żadnego imienia.

– Jesteśmy jedynymi nowymi manusami – odparła Jayan. – Pozostali niech sobie wojują sami.

– Nie wejdiesz na górę.

Obejrzały się, zaskoczone. Dloris odwróciła oczy od ich twardych spojrzeń. Powtórzyła

z uporem:

– Nie wejdziecie na górę. Tunele prowadzą do grani i do dziupli. Nie ma tunelu łączącego nas ze szczytem kępy, bo tam mieszkają mężczyźni. Żadna z was nie jest w stanie wyciąć tunelu w liściach, a jeśli już wyjdziecie na górę, będzie was widać jak moby ‘ego w garnku.

– No to co?

– Czekajcie, aż przyjaciele po was przyjdą.

Ilsa potrząsnęła głową.

– Karal na pewno już ewakuował wyższe poziomy.

– Ilso, to wielki, skomplikowany labirynt, który nie łączy się z górą. Możesz się tylko zgubić.

– A co ty z tego będziesz miała, Dloris?

– Pozwolicie mi żyć. Nie powiecie nikomu, że pomogłam.

– Dlaczego?

– Sama kiedyś chciałam uciec. Teraz już zbyt długo byłam strażniczką. Ktoś na pewno będzie chciał mnie zabić. Ale naprawdę nie możecie iść w górę. Zostańcie tu i czekajcie.

Spojrzały po sobie.

– Ty to robiłaś przez trzydzieści lat? Nie, dzięki, chyba już wiem, co zrobimy.

Term postukał w kontrolkę silnika... trudna sprawa. Trzeba ich było używać parami i sektorami, żeby nie zaczęły obracać montem. Opadł w listowie z potwornym hukiem, o dobrych kilka metrów od platformy, i natychmiast otworzył drzwi.

W ich stronę rzuciło się trzech mężczyzn. Gavving chwycił najstarszego za ramię. Ostatni ubrany był w błękit i miał przy boku miecz. Debby wycelowała starannie i przeszyła go strzałą z kuszy.

Gavving i obcy wciągnęli się do środka. Starszy człowiek dyszał ciężko.

– Ruszaj – polecił Gavving. – To jest Koń. Chce przyłączyć się do Plemienia Quinna. Alfin nie idzie. Podoba mu się tutaj.

Od drzwi odbił się pierzasty harpun. Term zamknął je szybko.

– Pozostawiłem Minyę i Jayan w kompleksie dla ciężarnych – powiedział.

– Co? Minya?...

– Nosi gościa, Gavvingu. Twoje dziecko. A mężczyznom nie wolno tam wchodzić. – Później powie Termowi całą prawdę... a przynajmniej jej część... Na razie, dla świadków, Minya nosi w sobie dziecko jej męża. – Ilsa też tam jest, Anthonie. Powiedziałem Minyi, żeby je wszystkie zebrała i szła w górę. Będziemy musieli na nie poczekać.

Clave skinął głową. Gavving gapił się z rozdziawionymi ustami.

– Term, nie wiedziałeś, że tunele mężczyzn nie łączą się z tunelami kobiet? – zapytał.

– Co takiego?

– Będą musiały przejść całą drogę do grani lub do dziupli i z powrotem! Albo wyłamać nową ścieżkę... Term, oni na pewno je złapią!

Clave położył dłoń na ramieniu Gavvinga.

– Uspokój się, mały. Term, dokąd mogłyby pójść?

Term na próżno próbował zebrać myśli.

– Na grań – podsunął Koń. – Tam jest Flota. Może nikt nie zauważy kilku kobiet na Rynku albo w szkołach. A może zostaną tam, gdzie są, i będą czekać?

– Jinny będzie przy dziupli tak czy owak. Dobrze, lecimy. – Term odpalił przednie silniki.

Mont uniósł się nad kępę rufą do przodu, znacząc drogę pożarami.

– Podpalisz drzewo, idioto! – wrzasnęła Lawri.

Udał, że nie słyszy.

– Byłem w wiosce ciężarnych – wyjaśnił. – Natomiast nie byłem na Rynku.

– Alfin był – podsunął Gavving. – Jest wielki, sięga do samej dziupli. Jeśli wprowadzimy monta do dziupli...

Lawri zaczęła wić się w więzach.

– Nie możecie! Nie możecie spalić dziupli! Kim wy jesteście? To już nie żaden bunt, to niszczenie dla przyjemności!

– A może Drzewo Londyn przeprowadzi negocjacje ze zbuntowanymi manusami? – łagodnie zapytał Anthon.

Lawri milczała.

– Kłamstwo nic nie pomoże. Przedtem byłaś bardziej przekonująca. Lecimy po naszych ludzi.

Mont ruszył bokiem wzdłuż kępy, przyspieszając leniwie. Nagle nad głowami zobaczyli jasne niebo, a Term obrócił pojazd.

Spadali w kierunku dziupli. Mont zwolnił i zawisł nad nią. Term dotknął pary żółtych kropek. Bliźniacze promienie światła uderzyły w Rynek, jakby pojazd był słońcem na uwięzi.

Kobiety rzuciły się... do ucieczki. Same wielkoludki, skaczące jak żaby po podłożu ze splecionych gałęzi. Żadna nie była wzrostu ani koloru Jinny.

– Zostaw – odezwał się Clave, jakby słowa sprawiały mu ból. – Ruszamy do wioski ciężarnych. Jak tam dotrzeć?

Term opuścił monta. Znajdowali się teraz poniżej kępy: pod stopami niebieskie niebo, nad głowami zieleń.

– Jest pod konarem. Najlepiej chyba będzie, jeśli podlecę tam od dołu. Może nie zrobię tego zbyt dokładnie, a może Flota już się połapała, o co nam chodzi. Jesteście przygotowani na walkę?

– Tak – odparło kilka głosów naraz.

Term wyszczerzył zęby.

– Może uda mi się zeszkrobać z grzbietu tego srebrnego. Widzę, że jeszcze nas nie opuścił... a to co takiego?

Z listowia wypadły jakieś przedmioty. Kłęb tkanin związany liną. Drugie bochny chleba. Nieżywy ptak, oczyszczony i obdarty ze skóry. I nagle zielone niebo zaroilo się od kobiet: Jayan, Jinny, gigantka... Ilsa?

– Skoczyły – z podziwem szepnął Gavving. – A gdybyśmy nie przylecieli?

– Ale przylecieliśmy – ucięła Merril. – Bierz je!

Spadły jeszcze dwie skórzane torby, a za nimi jeszcze jedna kobieta – głową w dół, żeby dogonić pozostałe: Minya.

Term zamknął silniki i zastanawiał się przez chwilę. Słyszał jak przez mgłę krzyczące do niego głosy, ale udało mu się odseparować od irytującego hałasu.

Muszę je złapać w służę powietrzną. A co ze srebrnym? – zastanawiał się. Wciąż jeszcze był na grzbietowej powierzchni monta. Term obrócił pojazd tak, aby kadłub znalazł się pomiędzy karłem w kombinezonie a kobietami.

Rozdzieliły się. Potrzebne będą trzy manewry: najpierw Jayan i Jinny. Trzymały się za ręce, patrząc sobie w twarze, tak samo jak w dniu zniszczenia Drzewa Daltona-Quinna.. Wydawały się dość spokojne, biorąc pod uwagę okoliczności. Mont podpłynął w ich stronę.

Srebrny człowiek zaczął pełznąć w stronę służy.

– Trzymajcie się – mruknął Term i wpuścił monta w korkociąg. Szybciej. W głowie mu się kręciło, widział za sobą pozieleniałe nagle twarze. Srebrny człowiek, zaskoczony podczas mijania narożnika, wisiał tylko na rękach. Term jeszcze raz użył silników, tym razem w kierunku przeciwnym do wirowania i mocno uderzył srebrnym człowiekiem o kadłub. Był wolny.

Szybko otworzył drzwi. Bliźniaczki już do niego płynęły. Plunął ogniem, żeby zwolnić monta, zatrzymał się tuż przed nimi, cofnął i przesunął w bok. Dziewczyny natychmiast wpełzły do pojazdu.

Niebieskie kształty wyroiły się na zielone niebo. Uzbrojeni ludzie Floty mieli ze sobą strzałostrąki, łuki nożne i coś jeszcze, do czego potrzeba było aż trzech ludzi.

Na spotkanie przyjdzie im jeszcze trochę poczekać.

– Posadźcie je – polecił Term Clave'owi. Minya będzie następna. Leciał montem, jakby przez całe życie nie robił nic innego. Stał się trochę nieostrożny: Minya zderzyła się z kadłubem i weszła do środka z zakrwawionym nosem.

– Przepraszam – mruknął. – Gavving, zostaw to, posadź ją na fotelu. Kto jeszcze został?

– To Ilsa – podpowiedział Anthon. – Strzelają do niej! Term, łap ją!

– Właśnie to robię. Potrzebujemy jedzenia i innych rzeczy? – Zatrzymał się między Ilsa a spadającymi oddziałami Floty. Zza pleców Ilsy jarzył się Voy. Strzały z luków nożnych ze stukiem odpadały od powłoki, ale to łupnięcie nie pasowało do całości. Co...?

Wyraz przerażenia i determinacji na twarzy Ilsy zmienił się w radość. Term wiedział już, co się dzieje; nie musiał nawet patrzeć. Srebrny człowiek wrócił razem ze swoim miotaczem cierni. Był na górnej powierzchni kadłuba, poza zasięgiem drzwi, a Anthon właśnie zaczepił linę wokół talii Ilsy i powoli holował ją do środka.

– Posadź ją... – Term zorientował się, że fotele są zajęte – postaw ją przy tylnej ścianie i zostań przy niej. Nie ruszaj żadnych zamocowań. Debby, wbij strzałę w mięso, wciągniemy je do środka.

– A srebrny człowiek? – zaproponował Anthon.

– Jest blisko. Jeśli przejdzie przez drzwi, rzućcie się wszyscy na niego. Miotacz nie zabija, ale jeśli nas uśpi, to koniec.

– Przyniosliśmy stos czystej bielizny i zapas wody – przypomniała Jinny.

– Wodę mamy. Bielizna... czemu nie? Hej, powiedziałem Minyi, żebyście poszły do góry. Dobrze zrobiłyście, inaczej nigdy byśmy was nie znaleźli.

– Jeśli masz monta, możesz nas znaleźć w niebie. Dlatego zebraliśmy wszystko, co się dało, i skoczyliśmy w dół.

Oddziały Floty nie opuściły zielonej dolnej części konara. Nic dziwnego. Jeśli nie uda im się odzyskać monta, jak wrócą na drzewo? Wyglądaliby żałośnie, gdyby nie ten ogromny, gwiazdny aparat, którego używali jak broni.

Cielsko łososioptaka było czarnym cieniem na boleśnie jasnej tarczy Voy. Anthon i Debby musieli zmrużyć oczy... ale ich strzały przebiły mięso, które zostało natychmiast wciągnięte do środka. Srebrny człowiek miał pewnie nadzieję, że ktoś pokaże głowę, ale nikt tego nie zrobił. Próbował wepchnąć się razem ze stosem ponch, a Term omal nie przytrzasnął go drzwiami. Przez to część ubrań musiała zostać za drzwiami, a wokół żółtego schematu pojawiła się czerwona obwódka.

– Nigdy wcześniej nie widziałem czerwonego. Co to znaczy? – zdziwił się Term.

Lawri raczyła odpowiedzieć.

– Awaria – rzuciła wzgardliwym tonem. – Wasza lina nie pozwala się zamknąć śluzie.

Kiedy Term otworzył drzwi, czerwony sygnał ostrzegawczy znikł i Debby wciągnęła ładunek do środka. Srebrny już nie próbował wejść, widocznie się przestraszył. Była to jego ostatnia szansa i Term zamknął drzwi z westchnieniem prawdziwej ulgi.

Urwał w połowie westchnienia, kiedy zobaczył, że dolny monitor rozbłyska plamą czystej, oślepiającej czerwieni i znika z ekranu. Obraz z innych kamer pochwylił przebłyski jaskrawego szkarłatu.

– Czy to może nas zranić? – zapytał Anthon, a Lawri krzyknęła:

– Zobaczycie! Teraz nas przetną na pół!

– Siedzą nam już prawie na karku – potwierdził Clave. – Zaraz obleżą cały kadłub, jeśli nie...

– Nakarmcie tym drzewo – wrzasnął Term pod adresem ich wszystkich. Nie mógł myśleć. Co może im zrobić to światło? Ani Lawri, ani Klance nigdy o czymś takim nie wspominali.

Mamy wszystko, czego nam trzeba. Zostawiamy chleb, zostawiamy wodę. W drogę! Monta nigdy nie złapią!

Lawri zobaczyła, co on zamierza zrobić, i wrzasnęła:

– Zaczekaj! – ale Term nie czekał. Stuknął w sam środek grubej pionowej krechy.

## ROZDZIAŁ XX

### Pozycja Asystenta Uczonego

Powietrze z sykiem uciekło z płuc Terma. Czuł, że jakaś siła wtlacza go w fotel. Lewe ramię nie trafiło na podpórkę i zwisło, stopniowo wrywane ze stawu barkowego. Fotel był zbyt niski, by podtrzymać jego głowę. Szyja bolała go okropnie. Ponad stłumionym wyciem głównego silnika słyszał, jak jego pasażerowie walczą o oddech.

Dla gigantów to morderstwo.

Drzewo Londyn znikało w tylnym ekranie jak sen. Znaleźli się w samym sercu burzy i byli niemal ślepi. Term próbował podnieść ramię i dotknąć błękitnej kreski, aby unicestwić siłę, która go rozplaszczala. Wyżej, wyżej... jeszcze trochę... ramię opadło mu na pierś z siłą, która wydusiła z płuc ostatnie atomy powietrza. Wzrok zaszedł mu mgłą.

Podbródek Lawri był głęboko wbity w obojczyk. Dziewczyna czuła, że jeśli go podniesie, przeciążenie złamie jej kręgosłup. Obserwowała, jak Jeffer próbuje wyłączyć silnik, i wiedziała, że nie da rady tego zrobić. A ona miała związane ramiona.

To powinno załatwić paru buntowników, pomyślała ze złośliwą satysfakcją. I to moja robota. Laser komunikacyjny mógł oślepić, a z bliska nawet oparzyć, ale na pewno nie uszkodziłby monta. Skłamała w nadziei, że buntownicy spanikują. Udało jej się ponad wszelkie wyobrażenie. Ale teraz i ona może zginąć!

Tarcza chmur wyminęła ich i odpłynęła.

Gold był na lewo od środka okna dziobowego. Dymny Pierścień ciągnął się na lewo od Golda. Przyspieszali na wschód i nieco na zewnątrz.

Wschód wiedzie na zewnątrz.

Opuszczali Dymny Pierścień.

Wiedziałam! Ten szalony Jeffer zabije nas wszystkich, pomyślała Lawri.

Gavving, z głową odciągniętą daleko w tył, z zagłówkiem wbitym między łopatki, zezował wzdłuż nosa, usiłując zorientować się, co właściwie widzi.

Niebo odpływało bokami okna dziobowego. Rodzina triumfów nadpłynęła, rozdzieliła się i znikła, zanim zdążył mrugnąć. Mała, płaska zielona dżungla podpłynęła bliżej, przyspieszyła i znikła. Potem zbliżyła się puszysta biała chmurka i nagle mont zadrżał i zadźwięczał od uderzeń tysiąca kropli wody. Coś małego uderzyło w okno z przeraźliwym plaśnięciem, pozostawiając kawałek różowej błonki. Deszcz splukał ją w ciągu jednego oddechu.

Chmurka znikła, a niebo nad nimi było czyste. Nie zauważali dalszych przeszkód. Gold

i Dymny Pierścień na tle nieba wydawały się niby dmuchawiec na łądźce. A niebo miało głęboki, ciemny odcień, jakiego Gavving nie widział nigdy w życiu.

Odwrocił głowę, żeby spojrzeć na Minyę. Ból w karku przesunął się odrobinę... tak łatwiej było znieść ciśnienie. Odpowiedziała mu spojrzeniem. Śliczna Minya, o twarzy nieco pełniejszej niż pamiętał. Chciał coś powiedzieć i nie mógł. Ledwie dyszał.

– O włos – westchnęła Minya.

Światło głównego napędu MONTA powróciło i przesunęło się w stronę błękitu.

Drobne przesunięcie widma i już je ma! Doskonale. Kendy zrezygnował z normalnego komunikatu. Zerodowany program MONT-a i tak ma dość roboty. Bowiem MONT uciekał. Przyspieszał już od kilku dobrych minut. Sądząc z przesunięcia częstotliwości, nabierał wystarczającej prędkości, aby opuścić Dymny Pierścień... w odległości kilku tysięcy kilometrów od samej „Dyscypliny”!

Kiedy światło zgasło, Kendy odczytał komunikat, Wokół MONT-a powietrze już się przeredzało. Odbiór powinien być dobry.

– Kendy w imieniu Państwa, Kendy w imieniu Państwa, Kendy w imieniu Państwa.

Dźwięk ucichł, potworny wiatr znikł – wszystko w jednej chwili. Ciała zgięły się niczym sprężynujące łuki. Ludzie, którym dotąd brakowało tchu, teraz zaczęli krzyczeć.

Gdy wrzaski przerodziły się w jęki, Term usłyszał słaby głos Lawri:

– Jeffer, jeśli nie zamierzasz pchać drzewa, nigdy nie używaj głównego silnika.

Term mógł tylko skinąć głową. Porwał monta... drzewne żarcie, wszystkich, których znał, jeśli nie zostali wcześniej zamordowani, wszystkich wziął na pokład... a potem dotknął niebieskiej krechy.

– Lawri, jestem otwarty na sugestie – mruknął.

– Nakarm tym drzewo.

Gdzieś z tyłu Term usłyszał nagle radosny rechot Anthona. Debby rąbnęła go w brzuch. Cios aż go wygiął, ale Anthon nie przestawał się śmiać i w końcu Debby mu zawtórowała.

Mieli powód! Leżeli płasko na tylnej ścianie, chroniąc Ilse przed czymś, co miało być jedynie słabym wstrząsem. Mordercze krzesła połamałyby im kręgosłupy, ale żaden z gigantów nie zdążył na szczęście nich usiąść.

Inni także zaczęli się ruszać, pojękując z bólu i strachu. Ilsa otwarła oczy. Merrill, wpatrzona pustym wzrokiem w dziwne niebo, które wciąż pędziło w stronę ich dziobu, wydawała się otrząsać z szoku.

– No, niech ktoś coś wreszcie zrobi!

Głos Clave’a zawsze był donośny i teraz po brzegi wypełniał kabinę.

– Uspokójcie się, obywatele. Nie jest z nami aż tak źle. Pamiętajcie, gdzie jesteśmy.



Wszystkie inne dźwięki ucichły.

– Pojazd był zbudowany do tego właśnie celu – wyjaśnił Clave. – Przybył z gwiazd. Wiemy, że działa wewnątrz Dymnego Pierścienia, ale został zbudowany tak, żeby działać wszędzie. Mam rację, Term?

Akurat to po prostu nie przyszło mu do głowy.

– Nie wszędzie, ale... poza Dymnym Pierścieniem na pewno.

– Wystarczy. Co z nami?

– Dajcie mi odetchnąć... – Term był zawstydzony. Trzeba było aż Clave'a, żeby znów zaczął myśleć. Nie jest z nami aż tak źle! Dobrze, że Clave nie ma dość wiedzy, aby zrozumieć, jakie głupstwo palnął.

Niebieski ekran był włączony. Ciąg: zero. Przyspieszenie: zero. Wielki niebieski prostokąt miał czerwoną, migającą obwódkę. Główny silnik włączony, brak paliwa. Wyłączył go stuknięciem palca, choć to niczego nie mogło zmienić. O2:211, H2:0, H2O: 1.328. Mnóstwo wody, brak paliwa. Nie możemy manewrować. Nie wiem, jak sprawdzić, dokąd lecimy. – Lawri?

Brak odpowiedzi.

– Na pewno spadniemy z powrotem, wcześniej czy później. Na zewnątrz obniżyło się ciśnienie. Teraz... – zawahał się. Ta informacja mogła spowodować zamieszki, ale był im to winien. – Teraz opuszczamy Dymny Pierścień. Dlatego niebo ma taki dziwny kolor.

Żółty wyświetlacz.

– Systemy podtrzymania życia wydają się w porządku. Ekran... och, nie!

W tylnym i bocznym ekranie wszystko było przerażająco małe: całkowite drzewa niczym wykałaczki, stawy jak migoczące kropelki, wszystko otulone mgłą. Gold stał się bąblem z otoczką kłębow chmur, które odpływały na zachód i wschód. Przepyszny burzowy deseń rozpościerał się na cały Dymny Pierścień. Ukryta planeta wydawała się nieprzyzwoicie blisko.

– Term?

– Przepraszam, Clave. Zamyśliłem się. Obywatele, nie przegapcie tego! Nikt jeszcze nie widział Dymnego Pierścienia z tej perspektywy, odkąd nasi przodkowie przybyli z gwiazd.

Teraz wszyscy rzucili się na przód, wyciągając szyje, żeby zobaczyć ekrany lub zerknąć przez okna. Tylko Gavving mruknął:

– Wydaje mi się, że Koń nie żyje.

Koń? Ach, ten starzec, którego Gavving przyprowadził ze sobą. Rzeczywiście, wydawał się raczej martwy. Biedny stary manus, pomyślał Term. Nigdy nie poznał Konia, ale który człowiek chciałby umrzeć, zanim zobaczy TO?

– Sprawdź mu puls.

– Jeffer, luk z lewej burty – odezwała się Lawri.

Coś było w jej głosie... Term spojrział. Czy na krawędzi rzeczywiście zobaczył błysk srebra?

– Nie...

– To Mark! Wciąż tam jest!

– Nie wierzę.

Ale srebrny skafander ciśnieniowy rzeczywiście pojawił się na ekranie. Biedny karzeł musiał przeleżeć w sieci całe to szalone przyspieszenie!

– Jeffer, wpuść go!

– Co za gość! Lawri... nie mogę. Na zewnątrz jest za niskie ciśnienie. Stracimy powietrze.

– On tam umrze!... Poczekaj no, otwieraj drzwi pojedynczo. Aha! To dlatego Klance nazywał je służą powietrzną! Kasety tak samo...

Rzeczywiście, dwoje drzwi było po to, żeby utrzymać między nimi powietrze. Z rufy dochodziły stłumione stuki. Człowiek w srebrnym kombinezonie chciał do środka.

– Anthon, Clave, on może być niebezpieczny. Od razu, jak wejdzie, zabierzcie mu miotacz. – Term oczyścił ekran z wszystkich obrazów z wyjątkiem żółtego. Od tej pory koniec z szybkimi decyzjami. Mocno nacisnął obie linie – upewnić się, że są dokładnie zamknięte! – i palcem wskazującym otworzył zewnętrzne drzwi.

Srebrny człowiek znikł z pola widzenia. Wszedł do służy.

Dobrze. Teraz zamknąć linię, odczekać... nie ma czerwonych obwódek? Otworzyć wewnętrzne drzwi. Powietrze ze świstem wtargnęło do służy. Srebrny człowiek wszedł do monta, podał miotacz Anthonowi i sięgnął do hełmu.

W głębi duszy Lawri miała nadzieję na bunt ze strony najtwardszego z żołnierzy Floty, ale nadzieja ta rozwiała się, kiedy srebrny człowiek odsłonił twarz. Oczywiście, Mark był karłem; rysy miał wprawdzie masywne i brutalne, ale teraz szczęka opadła mu miękko, oddychał szybko i był śmiertelnie błydy z przerażenia. Rozbieganymi oczami szukał w kabinie jakiegoś punktu zaczepienia.

– Minya?

– Cześć, Mark – odpowiedziała ciemnowłosa kobieta. Mówiła bezbarwnym głosem, a jej twarz miała wrogi wyraz.

Mark smutno skinął głową. Dopiero teraz rozpoznał Lawri.

– Witaj, Asystencie Uczzonego. Co słyszeć?

– Jesteśmy w rękach buntowników – odparła Lawri. – Wolałabym, żeby umieli lepiej latać tym, co ukradli.

Pierwszy oficer buntowników powiedział:

– Witaj w Plemieniu Quinna jako obywatel. Plemię Quinna nie trzyma manusów. Jestem Clave, Przywódca. A ty kim jesteś?

– Flota, człowiek i zbroja. Mam na imię Mark. Obywatel nie brzmi tak źle. Dokąd lecimy?

– Chyba nikt nie wie. Wiesz co, Mark, nie ufamy ci tak do końca, dlatego przywiążemy cię do krzesła. To musiała być niezła przejażdżka. Może rzeczywiście jesteś zrobiony z gwiazdnej substancji.

Mark pozwolił podprowadzić się do pustego fotela.

– Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, chyba jednak wolę lecieć w środku. Chyba nie uderzymy w Golda, co?

Ale się zrobił spokojny! – pomyślała Lawri z obrzydzeniem. Poddał się buntownikom! Czy oni naprawdę zwyciężą?

I nagle nabrała pewności, że nie. Nie zwyciężą.

Ale zatrzymała to dla siebie.

Clave naliczył dziesięć foteli i trzynastu obywateli, w tym jeden martwy. Koń nie potrzebował fotela, podobnie jak trójka gigantów. Przeciwnie! Nawet jednak obszerna przestrzeń ładowni była zatłoczona.

Obywatele wydawali się dość spokojni. Clave domyślił się, że są zmęczeni i zbyt oszołomieni, żeby odczuwać lęk. On sam też tak to odbierał. Większość z nich – nawet człowiek w srebrze – wyglądała przez okno.

Niebo było prawie czarne i usiane tysiącami srebrnych punktów. Asystent Uczonego przerwała ponure milczenie, żeby powiedzieć:

– Słyszeliście o nich przez całe życie. Gwiazdy! Mówiliście o nich, nawet nie wiedząc, o czym mówicie. Cóż, oto i one. Umrzecie, ale przynajmniej zobaczyliście gwiazdy.

Rzeczywiście, były realne i imponujące, choć takie małe. Clave całą uwagę poświęcił Błękitnemu Duchowi i Dziecku Ducha. Ich także nigdy nie widział. Parzyste wachlarze intensywnego fioletowego światła były wyraźne i przerażające. Znajdowały się wewnątrz Dymnego Pierścienia, przepływając przez jego otwór.

Anthon i Debby byli zajęci. Umocowali poncha i oczyszczone wędzone mięso łososioptaka do ścian ładowni. Teraz odcinali cienkie płyty mięsa.

Clave pamiętał, że podobnie czuł się w dniu, kiedy drzewo uległo zniszczeniu. Nie wiedział wystarczająco dużo, aby podejmować decyzje! Wtedy gotów był udusić Terma za ukrywanie informacji. Teraz...

Term przyglądał mu się niepewnie. Czy myślał, że Clave zaatakuje więźniów? Clave uśmiechnął się lekko. Odszedł na rufę i pomagał gigantom podawać do przodu skręcone płyty mięsa.

Teraz było inaczej. Clave nie był tu Przywódcą. Jeśli umrą, nie będzie to wina Clave'a.

Na pewno giganci z dżungli bardziej niż inni – bardziej niż Clave! – bali się monta, ale robili wszystko, aby przeobrazić go w dom. Gurdy z wodą zaczęły krążyć między fotelami... trzy

gurdy, na oko dość płaskie. Clave zaczął się zastanawiać, czy mont na pewno ma zapas wody.

Miał właśnie o to zapytać, kiedy odezwał się Term:

– Gavving, możesz tu przyjść na chwilę?

W głosie Terma brzmiało zdenerwowanie. Anthon zauważył to, ale nie przerywał swojego zajęcia. Clave również. Jeśli ich pomoc będzie potrzebna, poproszą o nią.

Gavving precyzyjnie się pomógł między Lawri i Termem. Wezwanie przyniosło mu ulgę. Opowieść Minyi trochę go zdenerwowała, potrzebował trochę czasu, żeby pozbierać myśli.

Term pokazał palcem.

– Widzisz czerwoną obwódkę wokół tej liczby?

– Jasne.

– Czerwony oznacza awarię. Ta liczba to powietrze w kabinie. Czujesz coś? Nie masz ataku alergii?

– Właściwie to ostatnia rzecz, o jakiej bym pomyślał. – Gavving wsłuchał się w swoje ciało... tak, uszy i zatoki nie były w porządku... oczy trochę swędziały. – Może rzeczywiście...

Żółta liczba zmniejszyła się o jedną dziesiątą.

– Asystencie Uczonego, proszę o komentarz.

– Napraw to sam, Jefferze-Uczony.

– Term, co to znaczy?

– Och, przepraszam, Gavving. Wokół nas nie ma powietrza. Powietrze z monta przesącza się chyba na zewnątrz... do, eee, przestrzeni kosmicznej. Wiesz, zauważyłem, że zwracam się do ciebie, kiedy mam problemy. Może ty coś wymyślisz.

Gavving przez chwilę trawił te słowa.

– Kiedy Clave powiedział...

– Clave nie powiedział, że mont ma ponad czterysta lat i równie dobrze może się zaraz rozlecieć.

– Jak przekładnie bicykli... w porządku, jaka jest opinia Asystenta Uczonego?

Lawri zniosła uważne, badawcze spojrzenia z zaciśniętymi ustami i oczami wbitymi w Gavvinga. Term uśmiechnął się i rzekł:

– Lepiej zapytaj ją o opinię na nasz temat.

Gavving nie musiał.

– Czterech wojowników wroga, sześciu zbuntowanych manusów, jeden trup, jeden człowiek Floty, który oddał broń.

Wyraz twarzy Lawri trochę się zmienił. Czyżby zapomniała o srebrnym człowieku? Jeśli dobrze rozumie myśli obcej dziewczyny... Warto spróbować.

– Ciekaw byłem tylko, czy jest na tyle dobra, żeby nas uratować, oczywiście, jeśli zechce.

Nie mamy zbyt wiele czasu do stracenia.

Term skinął głową.

– Lawri, gdyby Uczony tu był, czy dałby radę nas uratować?

– Może, ale na pewno by tego nie zrobił!

– Klance nie uratowałyby monta? – Term uśmiechnął się lekko.

Wzruszyła ramionami tak energicznie, jak jej na to pozwalały więzy.

– No dobrze. Monta może by uratował, gdyby mógł.

– Jak? – Nie odpowiedziała. – A ty możesz nas uratować?

Tylko uniosła brew. Gavving uznał, że ładnie jej z tym, ale powiedział tylko:

– Blef, Term. Musimy to naprawić sami. Uczony mówił ci o gazach, prawda?

– Obaj uczeni. A jeśli o to chodzi... tlen? Chyba pobieramy powietrze ze zbiornika tlenu, bo zbiornik wodoru jest pusty. I... wkrótce będziemy mieć paliwo. Mont rozdziela wodę na dwie frakcje paliwa, a jedna z tych frakcji to tlen, którym oddychamy. Przynajmniej mamy trochę czasu.

Gavving obserwował twarz jasnowłosej dziewczyny. Co ona wie? Czego pragnie? Jeśli chce, żeby wszyscy zginęli, to tak, jakby już nie żyli. Chyba jednak jest coś, czego nienawidzi bardziej niż buntu.

Wszystko zależy od tego, jak szybko Term weźmie się do roboty, co i tak by nie zaszkodziło. Trzeba zadawać głupie pytania, to czasami przynosi pożądany skutek.

– Czy można znaleźć przeciek? Podpalimy coś i zobaczymy, dokąd idzie dym.

– Tak! Dzięki temu inni też się o tym dowiedzą, a przy okazji spalimy trochę powietrza. No to jak?

– Inspiracja?

– Molekuły... cząsteczki powietrza poruszają się wolniej, kiedy są chłodniejsze. – Pulpit już jarzył się żółtymi cyferkami i rysunkami. Term dotknął strzałki na pionowej linii i powoli przesunął końcem palca ku sobie. Strzałka rozdzieliła się na dwie, z których jedna podążyła za palcem.

– Nigdy się nawet nie zastanawiałem, czy w kabinie powinno być chłodniej, czy cieplej, ale to musi być prawda. Ten tlen jest płynny i bardzo zimny! Mroziłby nam płuca, gdyby nie było czegoś, co utrzymuje w kabinie ciepło. Dobrze, teraz będzie nam chłodniej, ale przynajmniej pożyjemy dłużej. Lepiej powiedz Clave'owi, co się dzieje, i niech to on wygłosi oświadczenie. Teraz wszyscy muszą się dowiedzieć, ponieważ trzeba będzie rozdać dodatkowe poncha. A potem spróbujemy z dymem...

– Pozwólcie mi dojść do tych cholernych układów! – odezwała się nagle Lawri.

Gavving odwrócił się tyłem, żeby ukryć uśmiech. Lawri może i chce ich wszystkich pozabijać, ale na pewno nie zgodzi się, żeby Term uratował im życie bez jej pomocy.

– Czy to za trudne dla Terma? Nie możesz mu wyjaśnić?

– Nie! Nie zamierzam tego zrobić!

– Term? Próbujemy z dymem?

– Najwyżej nas wszystkich pozabija. Poza tym ona zawsze chciała latać montem. Lawri, stanowisko Asystenta Uczzonego jest wolne...

Lawri wyprostowała się i rozejrzała po swoich współtowarzyszach, W dłoniach czuła mrowienie, ramiona ją bolały. Najchętniej skoczyłaby na tych cholernych buntowników, ale kiedy spojrzała w twarz Jeffera, taką zamyśloną... zupełnie jak Klance, kiedy czekał na właściwą odpowiedź na jakieś paskudnie podchwytliwe pytanie.

Niebo było czarne jak sadza. Gwiazdy – białe punkciki – wyglądały niczym miniaturowe wersje Voy, ale w tysiącach egzemplarzy. Jeśli w niej budzą taki lęk, co dopiero mówić o tych dzikusach? Obserwowała, jak „dzikusy” skubią zrolowane płaty mięsa i nagle się uśmiechnęła.

Sięgnęła przez Terma i uderzyła w biały klawisz.

– Głos Prikazywat! Słuchajcie tego, wy karmiciele drzewa!

– Gotów – odezwał się głos, który nie należał do nikogo w moncie. – Przedstaw się.

Rozmowy przy posiłku ucichły gwałtownie. Gigant z dżungli napiął kuszę. Odwróciła się do niego plecami.

– Jestem Lawri, Uczony. Podaj nam status.

– Zbiorniki paliwa prawie puste. Spadek mocy, baterie w trakcie ładowania. Spada ciśnienie powietrza, w ciągu pięciu godzin osiągnie poziom niebezpieczny, w ciągu siedmiu śmiertelny. Dostępne są wykresy na wyświetlaczach.

– Dlaczego tracimy powietrze?

– Wszystkie otwory uszczelnione. Będę szukał źródła przecieku.

Lawri jeszcze raz postukała w biały klawisz.

– I to nas zabije. Udusimy się bez powietrza. Trudno. Byłby to niezły pokaz, ale wy go już nie zobaczycie – prychnęła w stronę Terma.

– Dlaczego wyłączyłaś wyświetlacz?

– Głos nie może nas słyszeć, dopóki nie włączę go z powrotem. Może zrobić różne rzeczy, jeśli powiesz nie to, co trzeba, choćbyś mówił tylko tak sobie.

– A ze mną będzie rozmawiał?

– Jesteś... – Nagle z jej głosu znikła pogarda. – Będzie chciał, żebyś się przedstawił, a potem to zapamięta. Hmm, spróbuj. – Uderzyła w biały klawisz.

– Głos Prikazywat – powiedział Term.

– Przedstaw się.

– Jestem Uczonym Kępy Quinna. Czy mamy dość paliwa, żeby dolecieć do Dymnego

Pierścienia?

– Nie.

Przez chwilę Term zapomniał oddychać. Potem dodał:

– Mamy dość wody. Nie można jej rozdzielić na paliwo?

Głos zrobił krótką pauzę, po czym odparł:

– Jeśli strumień światła słonecznego zachowa intensywność, wkrótce będę miał dość paliwa, żeby podjąć próbę powrotu. Niedaleko naszego kursu odnotowuję obecność dużej masy. Użyję jej jako uwięzi grawitacyjnej.

– Czy to Gold?

– Zmienić składnię.

– Czy ta masa to Świat Goldblatta?

– Tak.

Term nacisnął przycisk i zaraz potem wybuchnął śmiechem.

– No to ruszamy na Golda! Jeśli tak długo pożyjemy.

Szepty na rufie stały się nie do zniesienia. Powietrze robiło się lodowate, ze ścian wydobywał się Głos. Spokojny posiłek zmieniał się w panikę.

– Gavving, trzeba im powiedzieć o ciśnieniu – zarządził Term. – Nie mamy czasu tłumaczyć wszystkiego Clave'owi.

– Może ja to zrobię – wtrąciła Lawri. Wiedziała więcej o tym, co się dzieje.

Term był przerażony.

– Lawri, oni pomyślą, że ten przeciek to twoja robota!

– Dzikusy...

– Wszyscy tak pomyślą.

Nie była pewna, czy naprawdę tak uważa.

Gavving wyjaśniał pozostałym buntownikom, że mają przeciek. Opowiadał długo, szczegółowo opisując to, co planują na później. Term przycisnął biały przycisk.

– Głos Prikazywat. Znalazłeś przeciek?

– Nie ma miejsca przecieku. Powietrze znika.

– Będziemy żyli tak długo, aby powrócić do Dymnego Pierścienia?

– Nie. Zaprogramowany kurs zajmie dwadzieścia cztery godziny. Ciśnienie powietrza spadnie poniżej śmiertelnego poziomu w ciągu dziesięciu. Czas podaję w przybliżeniu.

Lawri nie mogła sobie przypomnieć, ile trwa godzina. Ale... dziesięć godzin? Zanim kabina się ochłodziła, mówił o siedmiu. Ciekawa była, czy Głos wziął pod uwagę temperaturę. Czasami potrafi być kompletnym durniem.

– Pokaż obszary, w których szukałeś przecieku – rozkazała.

Schematy namalowane żółtą linią rozkwitły zielenią na długości dwóch trzecich wnętrza.

Gdzie indziej błyskały czerwone kropki.

– To zepsute czujniki – wyjaśniła Termowi. – Głos, wprowadź korektę kursu.

Term dodał:

– Głos Prikazywat, odpal główny silnik.

– Odpalę, kiedy będę miał paliwo – odparł Głos. – Pierwsze odpalenie w ciągu dziesięciu sekund. Dziewięć. Osiem.

– Niech każdy się czegoś złapie! – zawołał Term.

Buntownicy wkładali dodatkowe poncha. Przerwali teraz, żeby się jakoś przymocować. Giganci podeszli do tylnej ściany i chwycili za co się dało...

– Dwa. Jeden.

Włączyły się jednak tylko silniki manewrowe. Dziób monta odwrócił się w kierunku Dymnego Pierścienia i pozostał tam. Silniki rufowe pluły ogniem. Trwało to wiele dziesiątków oddechów. Wkrótce dotrą bliżej Golda... który już teraz stał się ogromnym, widzianym z boku spiralnym wirem. Mijali właśnie jego krawędź.

Gdyby Mark nie był związany, myślała Lawri, i gdyby odpalił główny silnik, tylko on byłby w stanie się ruszyć. Warto o tym pamiętać. Term chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, że ciąg można regulować, dotykając góry lub dołu prostokątów, aby zwiększyć lub zmniejszyć przepływ paliwa.

Tymczasem... jak zablokować przecieki? Jeśli jest jakiś sposób, Lawri na pewno znajdzie go przed Termem.



## ROZDZIAŁ XXI

### Ruszamy na Golda!

Kendy w imieniu Państwa, Kendy w imieniu Państwa, Kendy w imieniu Państwa.

Odpowiedź nadeszła niemal natychmiast, ostra i czysta poprzez próżnię i coraz mniejszą odległość. MONT opuścił Dymny Pierścień. Kendy miał pierwszą czystą transmisję od czasów buntu.

– Status? – przekazał.

Silniki działały – i to wszystkie. Paliwo? Kilka filizanek. Woda: sporo. Konwertery energii słonecznej: działają. Baterie: naładowane, ale rozładowują się poprzez rozdzielanie wody na ciekły tlen i wodór. Strumień światła słonecznego z T3 w próżni będzie stabilny. Paliwo będzie.

MONT był na ręcznym. Strumień dwutlenku węgla wskazywał na dużą liczbę pasażerów. Dwutlenek węgla gromadził się powoli, system podtrzymania życia powinien poradzić sobie z tym przynajmniej częściowo... O, cholera, oni umierają!

– Rejestracja trasy od początku spalania.

MONT się wznosił. Przejdzie niedługo w pobliżu punktu L2, własnej lokalizacji Kendy'ego, punktu stabilności skrytego za Światem Goldblatta... I gdyby nie ten Świat Goldblatta, MONT znalazłby się już na bezpiecznej drodze... ale rdzeń byłej planety gazowego giganta ściągał orbitę MONT-a w spłaszczony okrąg położony całkowicie poza Dymnym Pierścieniem.

– Przełączyć na moje sterowanie.

Całkowita awaria.

– Przekazać obraz załogi.

– Odmowa.

Ciśnienie w kabinie spadało. Coś trzeba było zrobić.

– Kopiaj – przekazał Kendy i czekał.

Komputer MONT-a przemyślał to i bardzo powoli, bit za bitem, podłączył się i zaczął przysyłać swój cały program. Zajęło to dwadzieścia sześć minut. Kendy przejął go – była to uproszczona wersja jego programu, połatana późniejszymi poleceniami i przemieszana z powodu czasu i entropii. Sam przesłał polecenie: „Czekaj na programowanie aktualizujące”.

– Czekam.

Kendy nie wierzył w to. Dawno zmarły programista wprowadziłby polecenie zabezpieczenia. Pewnie jeszcze do nich nie dotarło... a może i ono też uległo zniszczeniu. Kendy nie miał programu aktualizacji, tego był pewien. Będzie musiał zapisać go od nowa.

Prędkość, z jaką komputer działał, była zarówno triumfem, jak i tragedią Kendy'ego. Wciąż od nowa zaskakiwała go nuda jego spokojnego życia. Kendy nieustannie wprowadzał do

komputera nowe wspomnienia. Pojemność jego mózgu komputerowego była stała i zawsze zapełniona prawie do wartości granicznej. Dokonał edycji wspomnień o buncie, kasując nazwiska kluczowych osób, ponieważ bał się, że kiedyś zechce się zemścić na ich spadkobiercach. Regularnie kasował wspomnienia własnej nudy.

Kiedyś zbadał rozwiązanie problemu Czterech Kolorów w topologii. Dowód przeprowadzony w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym roku przez Appela i Hakena mógł być sprawdzony wyłącznie za pomocą komputera. Kiedy był komputerem, a zatem przeprowadził dowód osobiście i stwierdził jego prawidłowość. Pamiętał zresztą tylko tyle. Resztę szczegółów skasował.

Dla programu komputerów MONT-ów użył uproszczonej wersji programu, po czym skasował ją. Teraz jednak miał program MONT-a jako wzorzec. Przebiegł go pamięcią, uściślając i zaostrażając, gdzie należy, korygując w razie potrzeby i aktualizując własny uproszczony program... Pozostawił nietknięte własne wspomnienia MONT-a z okresu buntu, ponieważ z determinacją postanowił je zignorować. Szukał sposobu, aby zatkać przeciek w kabinie. Beznadziejna sytuacja, ponieważ zawiodły czujniki podtrzymania życia, a nie program, Omal nie skasował polecenia zabraniającego użycia głównego silnika. Główny silnik był bardziej efektywny. Kiedy nie rozumiał tego rozkazu... ale były to dane, i to niedawne. Pozostawił je w spokoju.

Teraz potrzebny jest program, który ich tu przywiedzie, żeby im się przyjrzeć...

Zaledwie miał czas na nadzieję. Kiedy pojmuwał mechanikę orbitalną w sposób bezpośredni. Zobaczył natychmiast, że nie mają paliwa i że nie ma dość światła, żeby dokonać elektrolizy odpowiedniej ilości wody w odpowiednim czasie. Jego własna para MONT-ów, zasilająca go poprzez kolektory słoneczne, też nie miała dość paliwa, żeby wyjść na spotkanie, a później doholować MONT-a dzikusów... nawet gdyby zdecydował się zaryzykować i poświęcić obydwu.

Zapomnieć o tym i spróbować jeszcze raz... może przecież przeprowadzić ich do Dymnego Pierścienia przez bliskie podejście do Świata Goldblatta. Właściwie komputer MONT-a sam wpadł już na ten pomysł i opracował zmianę kursu. Nieważne. Do tej pory będą już martwi.

Pozostawił nietkniętą tę część programu. Skasował bariery, nie pozwalające na porozumiewanie się. W ślimaczym tempie, odpowiednim dla tamtego komputera, przekazał zmieniony program do MONT-a.

MONT przyjął.

Udało się! Teraz przynajmniej obejrzy ich sobie, pozna choć trochę, zanim umrą. Po pięćset dwunastu latach!

Giganci najbardziej ze wszystkich odczuwali zimno. Anthon, Debby i Ilsa skulili się

w ciasną, dygoczącą kulę, owiniętą dodatkowymi ponchami.

Pozostali pasażerowie lepiej znosili chłód. Dla wszystkich oprócz Marka starczyło okryć, i jeszcze dwa zostały. Podarli jedno na pasy. Jinny owinęła Markowi szyję i wetknęła końce pasa pod kołnierz srebrnego kombinezonu.

– Lepiej? – zapytała.

Srebrny człowiek wydawał się dość pogodny, pomimo lin unieruchamiających go w fotelu.

– W porządku, dzięki.

– Czy ten kombinezon jest ciepły?

– Niech cię, kobieto, przecież to ty się trzęsiesz. Kombinezon trzyma temperaturę, podobnie jak mont. Gdyby ktoś potrzebował mojego szala... może ty?

Jinny uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

– Oczywiście, lepiej byłoby mi w hełmie – dodał Mark i wszyscy się roześmiali, jakby powiedział jakiś dowcip. Nie musieli nic mówić; jeśli nie zatkają przecieku albo jeśli Lawri wymyśli jakiś sposób, żeby ich zabić, Mark zginie razem z nimi.

Term zrobił pochodnię z pasa tkaniny i odrobiny tłuszczu z łososioptaka. Miał już ją zapalić, kiedy spostrzegł przed swoją twarzą jakąś mgłę. Oddychał... białym dymem. Wszyscy, z wyjątkiem Konia, wydychali biały dym, jakby palili tytoń.

– Jeśli wydaje wam się, że coś przecieka, chuchnijcie na to – zawołał. – Patrzcie, co się dzieje. Nie, Jayan, zostaw drzwi. Głos ma tam czujniki.

Lawri zrobiła coś z kontrolkami.

– Włączam wilgoć... wodę w powietrzu. Będzie więcej mgły.

Obywatele kolejno podchodzili do pulpitu z żółtym schematem. Term wziął na siebie niewdzięczne zadanie sprawdzania wszystkiego, co przeoczyli pozostali: wpełzał pomiędzy krzesła, okrążając zimne ciało przyjaciela Gavvinga, i chuchał mgłą na miejsca, gdzie podłoga łączyła się ze ścianą burty.

– Mam! – zawołała Merrill. – To okno dziobowe!

Tłum obywateli otoczył okno; wszyscy dmuchali, obserwując, jak blady dym tworzy smugi w miejscu, gdzie okno łączy się z kadłubem. Okno rozszczelniło się w dolnym lewym rogu.

– Szukajcie dalej – poleciła Lawri. – Może być tych miejsc więcej. Sama ruszyła na rufę. Term dołączył do niej przy tylnej ścianie.

– Co ci chodzi po głowie? Czy jest jakiś sposób, żeby zatkać przeciek?

Głos zaczął odliczanie. Lawri odczekała, aż odpaliły małe silniki. Kłęb gigantów z dżungli, cały czas splątany, ulokował się na tylnej ścianie. Ilsa zachichotała. Chyba wciąż jeszcze unosiła się na fali narkotyku z miotacza.

– Może i jest sposób – odparła Lawri. – Macie coś na wodę?

– Gurdy, dajcie gurdy! – zawołał Term.

Znaleźli trzy. Merrill zebrała je i przyniosła. Jayan i Jinny dmuchały na boczne okna, które wydawały się bez zarzutu. Gavving i Minya posuwali się wokół okna dziobowego, dmuchając i obserwując. Mgła pojawiała się na zewnątrz i znikła natychmiast na całym odcinku długości ramienia Terma od barku po palce.

Lawri przekręciła zawór. Z tylnej ściany trysnęła brunatna woda, tworząc rosnącą kulę.

– To błoto! – z obrzydzeniem prychnęła Marril.

– Wprowadzamy wodę ze stawu – wyjaśniła Lawri. – Mont rozbijają na wodór i tlen, ale szlam zostawia na dnie. Od czasu do czasu musimy go odprowadzać i po to jest system „zrzutu”, z którego powinniście się naprawdę cieszyć!

– Nie możemy pić tego paskudztwa. Powinniśmy byli wziąć ze sobą zapas wody Minyi.

– Jeśli w ogóle będzie dość czasu, żeby nam się zachciało pić. – Lawri wzięła gurdy i napełniła je z brązowej kuli. Merrill skrzywiła się na ten widok.

Lawri wyciskała błotnistą wodę wzdłuż krawędzi okna dziobowego. Na zewnątrz pojawiła się mgła, ale woda, jak długi brązowy warkocz, została tam, gdzie ją wycisnęła. Przez następne kilka minut Lawri obserwowała układy kontrolne, a wodne warkocze zaczęły się kurczyć i gęstnieć do głębszego brązu. Po chwili stwardniały. Zamieniły się w lód.

– Term – zagadnął Clave. – Term, czy to działa?

Term czytał właśnie o lodzie, który nie był dla niego bardziej realny niż ciekłe gazy w zbiorniku. Popatrzył pytająco na Lawri.

Dziewczyna spojrzała mu w oczy.

– Nie przyjmę stanowiska Asystenta Uczzonego – powiedziała.

Czy po tym pokazie miała zamiar odwrócić się do nich plecami?

– Jestem pewien, że w Plemieniu Quinna jest miejsce dla dwóch Uczonych – pospiesznie przemówił Clave. – Zwłaszcza w tej sytuacji.

– Uratowałam was. Teraz chcę tylko wrócić do domu, na Drzewo Londyn.

Zasłużyła na to, pomyślał Term, ale...

– Masz rację – odparł Clave.

Mont dziobem w dół zmierzał ku Dymnemu Pierścieniowi. Najbliżej był sztormowy wir otaczający i spowijający Golda – wydęta pośrodku burzliwa spirala chmur. Całość przesuwała się ku zachodowi z prędkością, która mogła wydawać się ślimacza, ale z pewnością przekraczała wszelkie wyobrażenia. W obu kierunkach sięgały ramiona Dymnego Pierścienia. Widzieli przepływ chmur, szybszy w kierunku Voy, dryfujący w tył w pobliżu monta. Drobne szczegóły, takie jak całkowite drzewa, były niewidzialne.

– Jesteś Uczonym – odezwał się Clave. – Czy możesz zabrać nas na Drzewo Londyn?

Lawri potrząsnęła głową. Zaczęła drzeć i nie mogła przestać. Minya wzięła ostatnie poncho i owinęła ją, owijając pasem materiału głowę i szyję.

– Nie tracimy już powietrza – odezwała się Lawri. – Pozostawcie podwyższoną wilgotność, to nie będzie nam się tak szybko chciało pić. Jeffer, jest mi zimno, czuję się zmęczona i zagubiona. Nie potrafię podejmować decyzji. Zostaw mnie na razie.

Nie byli ludźmi.

Kendy przyglądał im się przez chwilę. Bardzo mocno obniżyli temperaturę. Kendy chciał już to naprawić, ale stwierdził, że obniżona temperatura zmniejsza wyciek.

Z tego wynika, że zachowali część dawnej wiedzy. Mimo to zabijał ich ten chłód. Obserwował, jak ci naprawdę najdziwniejsi poddają się jako pierwsi, zwijają się w kłęb i układają razem, aby czekać na śmierć.

Medyczne czujniki MONT-a wykazywały jednego trupa i dwunastu obywateli, z których żaden nie był całkiem normalny. Jeden nie miał nóg. Jeśli w Pierścieniu zaczynały pojawiać się zabójcze geny recesywne, mogło to oznaczać jedynie ograniczoną wymianę partnerów w rozmnażaniu. Poza tym wydawali się zdrowi. Nie widział blizn ani śladów po ospie, ani żadnych chorób... co wydawało się raczej rozsądne. „Dyscyplina” nie przeniosła pasożytów ani bakterii, które od milionów lat nauczyły się żerować na rodzaju ludzkim. Nie widać było na nich nawet odparzeń spowodowanych brakiem higieny osobistej.

Nienormalny wzrost, długie, wrażliwe szyje, długie, szczupłe dłonie i długie, bardzo długie palce u nóg oznaczały, że ewolucja działa, powodując adaptację do nieważkiego środowiska.

Będzie miał spore problemy, żeby ich sprowadzić z powrotem do Państwa. Z pewnego punktu widzenia grupa ta była wspaniałym materiałem testowym. Może popełniać błędy i nikt nie każe mu za nie odpowiadać. Przyjdzie czas, że MONT zostanie odnaleziony przez następną grupę dzikusów.

Lawri jadła surowe mięso łososioptaka. Widać było, jak bardzo się go brzydzi, ale mimo to jadła. Jayan i Jinny poszły na rufę, do stłoczonych wojowników Carthera. Z pozoru wyglądało to zabawnie, ale Term wiedział, że jest im potrzebny.

W oknie dziobowym coś się działo, nagle pojawił się barwny wzór, niby cień, przesłaniając częściowo widok.

– Lawri? Robiłaś tu coś?

– Coś jest nie tak... nigdy nie widziałam czegoś podobnego... – urwała.

W moncie panowało milczenie. Ekran dziobowy wypełniała widmowa twarz. Stopniowo nabierała koloru, wielka i na pół przezroczysta. Przeświecały przez nią burzowe wiry Golda.

Była to brutalna twarz, o rozczochranych ciemnych włosach i krzaczastych brwiach, grubych łukach brwiowych i kościach policzkowych i kwadratowej, mocnej szczęce. Twarz tkwiła na szyi, która, sądząc z proporcji, miała grubość męskiego uda. Twarz przypominała Marka lub

Harpa. Twarz gigantycznego karła, przemawiająca Głosem.

– Obywatele, tu Kendy w imieniu Państwa. Przemówcie, a nagroda przewyższy wszelkie wasze wyobrażenia.

Pasażerowie spojrzeli po sobie.

– Jestem Sharls Davis Kendy – oznajmiła twarz. – Przyprowadziłem waszych przodków do Dymnego Pierścienia i opuściłem ich, gdy wszczęli przeciwko mnie bunt. Mam moc, dzięki której mógłbym posłać was do Golda na pewną śmierć. Przemówcie i powiedzcie, czy powinienem to zrobić.

Oczy obecnych zwróciły się nagle na Uczonych. Czy to jakaś sztuczka Lawri? Grad poczuł, jak włosy stają mu dęba na głowie... ale ktoś musiał się w końcu odezwać.

– Jestem Uczonym Plemienia Quinna – zaczął.

– A ja jestem Uczonym Drzewa Londyn – pewnym głosem dodała Lawri. – Widzisz nas?

– Tak.

– Jesteśmy zagubieni i bezradni. Jeśli chcesz zabrać nam życie, uczyn to.

– Opowiedzcie mi o sobie. Gdzie mieszkacie? Dlaczego jesteście tacy różni?

Term wyjaśnił:

– Jesteśmy z trzech różnych plemion. Troje najwyższych... – mówił dalej, a jego myśli gorączkowo krążyły wokół tego nazwiska: Sharls Davis Kendy?

– Byłeś Kontrolerem na „Dyscyplinie” – wtrąciła Lawri.

– Byłem i jestem – odparła widmowa twarz.

– Zakres odpowiedzialności Kontrolera obejmuje działania, zachowania i dobrobyt jego podopiecznych – zacytowała Lawri. – Jeśli możesz nam pomóc, musisz to zrobić.

– Ładnie argumentujesz, Uczony, ale ja odpowiadam przed Państwem. Czy mam was traktować jak obywateli? Muszę zdecydować. Jak weszliście w posiadanie MONT-a? Czy jesteście buntownikami?

Term wstrzymał oddech, ale Lawri odparła szybko:

– Z pewnością nie: – Dodała ze wzgardą: – Mont należy do Floty i do Uczonego. Uczonym jestem ja.

– A kim są pozostali? Przedstaw mi ich.

Term przejął pałeczkę. Wymieniał po kolei imiona, starając się nie zapominać niedawnych własnych kłamstw. Przedstawił wszystkich manusów: Jayan, Jinny, Gavvinga, Minyę, jako obywateli Drzewa Londyn; Clave’a i Merrill jako uciekinierów, którzy zostali manusami, siebie jako uprzywilejowanego uciekiniera, trójkę gigantów zaś – jako gości. Poniewczasie przypomniał sobie o Marku, który wciąż siedział nieruchomo, przywiązany do fotela.

– Tylko Mark jest buntownikiem – wyjaśnił. – Próbował ukraść nam monta.

Czy karzeł okrzyknie go kłamcą? Co prawda, reszta poprze jego wersję... no, może

z wyjątkiem Lawri. Mark spuścił oczy. Nagle zaczął wyglądać na niebezpiecznego typu.

Sharls Davis Kendy przystąpił do wypytywania Marka. Mark odpowiadał zaczepnie, bezczelnie. Wymyślił całkiem zwariowaną historię o sobie jako manusie, któremu niski wzrost nie pozwalał zostać obywatelem. Próbował ukraść montę, święcie przekonany, że unieruchomi wszystkich oprócz siebie, ale ze zdumieniem stwierdził, że silny ciąg powalił także i jego.

Twarz wydawała się usatysfakcjonowana.

– Uczony, opowiedz mi więcej o Drzewie Londyn. Trzymacie tam osoby, które nie mogą otrzymać obywatelstwa, prawda?

– Tak – odparła Lawri. – Ale ich dzieci mogą zostać obywatelami.

– Dlaczego drzewo się rozpadło? – pytała twarz. – Jak porusza się Drzewo Londyn? Dlaczego nazywacie się „Uczonymi”? Ilu z was jest kalekami? Jak szacujecie, ile dzieci umrze, zanim urosną na tyle, żeby mieć własne dzieci? Kendy pytał o zaludnienie, odległości, czasy trwania, liczby. Lawri i Term odpowiadali najlepiej, jak potrafili. Tu przynajmniej nie musieli kłamać.

Wreszcie głos Kendy’ego oznajmił:

– Bardzo dobrze. Mont wejdzie w atmosferę za jedenaście godzin. Powietrze spowolni go trochę. Utrzymać...

– Godziny?

– A jakiej miary czasu używacie? Obiegu T-3 wokół całego nieba? To będzie około jednej dziesiątej tego obiegu. Będziecie spadać przez powietrze... a powietrze przy takich prędkościach bywa niebezpieczne. Trzymajcie dziób cały czas skierowany do przodu. Zobaczycie ogień, ale się tym nie przejmujcie. Nie dotykajcie niczego na dziobie, bo się poparzą. Nie otwierajcie śluzy, dopóki się nie zatrzymacie. Wtedy już będziecie mieć paliwo, żeby się poruszać. Wszystko zrozumieliście?

– Tak – odrzekła Lawri. – Jaką mamy szansę wyjść z tego z życiem?

Twarz Kendy’ego zaczęła odpowiadać – i zamarła z półotwartymi ustami.

Aktualizacja: ciśnienie w kabinie wróciło do normy.

Zablokowali przeciek. Jak? Człowiek pozbawiony ciała może odczuwać ciekawość i poczucie obowiązku jako główne rządzące nim uczucia. W Kendym narastał właśnie konflikt tych dwóch uczuć. A MONT wkrótce zniknie z zasięgu.

Kendy nie miał najmniejszego zamiaru mówić im, że nie przeżyją powrotu. Odczyty medyczne sugerowały, że oni także nie powiedzieli mu całej prawdy... a on nie miał odwagi zarzucić im tego wprost.

To zmienia wszystko. Dzikusy naprawę mogą wrócić i opisać wszystkim Kendy’ego i „Dyscyplinę”. Oczywiście, może temu zapobiec, przekazując do komputera MONT-a jakiś

zwariowany kurs. Mógłby także spędzić następnych kilka minut na indoktrynowaniu ich ideologią Państwa, uchylić rąbka tajemnicy, wyrzucić na nich takie wrażenie, żeby zapragnęli znów z nim rozmawiać.

A wtedy – za rok lub za dziesięć lat – będzie mógł rozpocząć dzieło, które czekało przez ponad pięć wieków.

Twarz powiedziała:

– Zatkaliście przeciek? Dobra robota. A teraz musicie zabić buntownika. Państwo nie toleruje buntu.

Mark pobrał. Lawri chciała coś powiedzieć, ale Term nie dał jej dojść do słowa.

– Będzie sądzony po naszym powrocie.

– Wątpicie w jego winę?

– To się dopiero okaże – odparł. Prawdopodobnie sam w tej chwili dopuścił się buntu, ale co miał robić? Gdyby Mark nie powiedział ani słowa, by się uratować, zrobiłaby to Lawri. Przecież ja tu jestem kapitanem! – pomyślał Term.

– Sprawiedliwość Państwa jest szybka.

– Sprawiedliwość Kępy Quinna jest dokładna – odgryzł się Term.

– Sprawiedliwość może zależeć od szybkiej komunikacji, której najwidoczniej nie możecie zapewnić! – Twarz mówiła teraz głośniej i szybciej, jakby w pośpiechu. Doskonale, mam wam wiele do powiedzenia. Mogę załatwić błyskawiczną łączność i moc pochodzącą ze światła słonecznego, a nie z mięśni. Mogę wam pokazać, jak połączyć małe plemiona w jedno wielkie Państwo, jak potem to Państwo połączyć z gwiazdami, które w tej chwili oglądacie po raz pierwszy. Przyjdźcie do mnie najszybciej, jak potraficie...

Głos Kendy'ego zamarł, jakby roztopił się w szumie, podobnie jak brutalna twarz roztopiła się w sieci kolorowych linii. Wreszcie głos umilkł, a przez okno dziobowe lśnił błękitem i bielą wir burzowy wokół Golda.



## ROZDZIAŁ XXII

### Drzewo Obywateli

Odczyty Kendy'ego zaczęły zanikać. Za to widok z rufowej i dolnej kamery MONT-a był idealny. Miał zatem dwa doskonałe punkty obserwacyjne na gwiazdy i gęstniejącą atmosferę Dymnego Pierścienia. Rufowa kamera pokazywała spływające za nią smugi plazmy. Kendy zaczął wyszukiwać w widmie linie krzemu i metali: oznaki, że powłoka MONT-a zaczyna się gotować. Rzeczywiście, było trochę uszkodzeń, ale niewiele więcej, niż mógłby oczekiwać od nowego pojazdu.

Wewnątrz kabiny MONT-a rosło stężenie dwutlenku węgla. Drgania wzmagaly się coraz bardziej. Pasażerowie cierpieli; oddychali ciężko szeroko otwartymi ustami. Temperatura była już prawie normalna i ciągle wzrastała. Sylwetka za sterami rozerwała pasy bezpieczeństwa i zaczęła zdierać z siebie odzienie. Kendy nie mógł uzyskać odczytów medycznych z winy rosnącej jonizacji, ale pilot już wcześniej znajdował się pod ogromnym obciążeniem psychicznym.

Niezależnie od tego, czy MONT przeżyje, czy nie, sytuacja wydawała się nieciekawa. Kendy sam już nie wiedział, co by wolał.

Pokpił sprawę.

Zasada była prosta i wielokrotnie z powodzeniem służyła Państwu: aby zostać wtajemniczonym, kandydat musiał popełnić jakąś okropną zbrodnię. Później już nigdy nie mógł zdradzić sprawy, bo wówczas sam przed sobą przyznałby, że popełnił czyn haniebny.

Jedynе zastrzeżenie było równie proste: nie należało wydawać rozkazu, jeśli istniał choć cień wątpliwości, czy zostanie wypełniony.

Kendy był wściekły i było mu wstyd. Próbował zmusić tamtych do lojalności, nakazując im egzekucję, a tymczasem omal sam nie zrobił z nich buntowników! Musiał wycofać się szybko i z twarzą, ale nie dana mu była taka możliwość, ponieważ narastająca wokół MONT-a jonosfera uniemożliwiła komunikację. Odczyty medyczne podpowiadały mu, że i tak go okłamali, choć trudno było mu powiedzieć, w czym. Do tego również nie powinien był ich zmuszać! Nie wiedział nawet tyle, żeby zorientować się, co przed nim ukrywają.

Teraz już za późno. Jeśli prześle im jakąś śmiercionośną poprawkę kursu, jonizacja ją zakłóci. Jeśli przeżyją, opowiedzą o Kendym, który, chociaż silny, jest jednak naiwny i łatwo go zbić z tropu. Jeśli umrą... Kendy pozostanie tylko legendą, pogrążoną w zamierzchłej przeszłości.

Przedni ekran był plamą ognia. MONT pogrążał się w atmosferę. Kendy stracił już nawet czujniki kabiny.

Mieli przed sobą płomień, bladoniebieski, ciągnący się smugami na boki. Term czuł jego żar na twarzy. Znów zaczęła tracić powietrze: czarna obwódka lodu wokół okna dziobowego już zaczęła zmieniać się w błoto... wrzące błoto. Mylił się jednak. To gorące jak ogień powietrze sprężone przed dziobem przedostawało się do wnętrza.

Zderzali się z różnymi obiektami. Na małe nie zwracali uwagi, dużych starali się unikać.

Term ścisnął kurczowo poręczę fotela. Sterowanie montem w tych warunkach było naprawdę okropne, ale obserwowanie, jak robi to Lawri, było czystym horrorem. Z jej sztywnej postawy, zaciśniętych szczęk i obnażonych zębów widać było, że dziewczyna znajduje się na granicy hysterii. Jej dłonie, niczym szpony, unosiły się nad błękitnymi wzorami, zawisały na chwilę, sięgały, cofały się, by wreszcie uderzyć lekko w którąś kreskę. Jemu także drżały dłonie, gdy widział, że dziewczyna zbyt wolno reaguje na niebezpieczeństwo.

Fotele były zajęte. Obywatele sprzeciwiali się siadaniu na nich, ale Term wrzeszczał tak długo, aż usłuchali. Ciało Konia przymocowali do zawieszonych ładunkowych, Marka, srebrnego człowieka, postawili przy mocowaniach ściennych. Ścisnął je z nieludzką siłą, podobnie jak Clave, który zaklinał się, że poradzi sobie o własnych siłach. Wszyscy pozostali, nawet giganci, zostali przywiązani do foteli, które oferowały przynajmniej pewne zabezpieczenie przed ciągiem z dziobu. Nie był to taki sam ciąg jak od głównego silnika. To było jak atak. Powietrze próbowało rozbić montaż na atomy płonącej gwiazdnej materii.

Lawri całe życie spędziła w moncie. Musiała być w tym lepsza niż Term. Uparła się i miała rację. Term chwycił poręczę fotela i czekał, aż zostanie rozgnieciony niczym pluskwa.

Mont leciał na wschód i ku wnętrzu. Całkowite drzewa widoczne były w perspektywie, skrócone do trzech... nie, czterech zielonych kropek, trudnych do zauważenia... ale Lawri już je spostrzegła. Odpaliła silniki manewrowe. Na wprost widniał kawałek zielonego puchu. Lawri odpaliła silniki z lewej burty... mont leniwie okręcił się w kółko, dygocząc, kiedy rozpedzone powietrze omiotło dziób z boku. Przednie manewrowe: mont cofnął się lekko, zbyt wolno. Puszki nadały się i przemieniły w nadlatującą dżunglę.

Na rufie rozległ się jęk bólu. To Clave'owi nie udało się utrzymać przy kolejnym wstrząsie. Srebrny człowiek podtrzymywał go w pozycji stojącej, przyciskając mu dłoń do piersi.

Zanim dżungla zdążyła ich ominąć, Term dostrzegł ptaki i szkarłatne kwiaty. Lawri wyprostowała kurs. Staw musnął ich o włos; kropelki, które ciągnął za sobą, zabębniły o powłokę jak miliardy dzwoneczków. W powietrzu unosiło się coraz więcej śmieci...

... które mijały ich coraz wolniej.

Coś zagroziło im drogę, niczym zielona pajęczyna. Mogła to być połówka całkowitego drzewa ze zdziczałą kępą, gdzie liście rozpościerały się jak gaza, a pień kończył wzdętą naroślą. W drobnych gałązkach igrały ptaszki. Mieczoptaki wisiały na skraju.

Term nigdy nie widział takiej rośliny... a Lawri właśnie od niej odlatywała.

– Lawri... – zaczepił ją.

– Po wszystkim – szepnęła. – Cholera, jaka jestem zmęczona. Jeffer, weź stery.

– Już trzymam. Odpocznij,

Lawri z całych sił potarła oczy. Term dotknął niebieskich tarcz, by jeszcze bardziej zwolnić pojazd. Końcem palca ustawił w kabinie normalną temperaturę. I tak było już dość ciepło. Gdyby nie to, że tak bardzo wyziębili ją wcześniej, zanim weszli w atmosferę, teraz pewnie już by padli z gorąca.

Obejrzał się na pasażerów. Z Plemienia Quinnów pozostało sześcioro. W sumie dwanaście osób, aby dać początek nowemu plemieniu...

– Wróciliśmy – powiedział. – Tylko jeszcze nie wiem, dokąd. Wszyscy żyją? Czy ktoś potrzebuje pomocy medycznej?

– Lawri! Udało ci się! – zaskrzeczała Merrill. – Przeżyliśmy na tyle długo, żeby zachciało nam się pić!

– Mamy mało paliwa i brakuje nam wody – burknął Term. – Znajdźmy jakiś staw. A potem wybierzemy sobie dom.

– Otwórz drzwi – poprosiła Jayan. Poluzowała pasy i przeszła na rufę. Jinny deptała jej po piętach.

– Dlaczego?

– Koń.

– Racja. – Otworzył służę. Do monta wpadł świeży wietrzyk. Pachniał słodko, czysto, cudownie. Dopiero teraz zauważyli, że powietrze w moncie śmierdziało. Był to zastały smród drzewnego pożywienia, strachu i gnijącego mięsa, i wielu ludzi chuchających sobie w twarz. Jak mogli tego wcześniej nie zauważyć?

Bliźniaczki odwiązały ciało, krzywiąc się niemiłosiernie, i wypchnęły je za drzwi. Term odczekał, aż w ślad za trupem podążą kości łososioptaka.

A potem odpalił silniki rufowe. Jeśli spotkam jego ducha, nawet mnie nie rozpozna, pomyślał. Jak mogę powiedzieć, że mi przykro? Nigdy nie używaj głównego silnika, jeśli nie...

Koń zniknął w niebie.

Staw był ogromny i obracał się tak szybko, że przybrał kształt soczewki. Tak szybko, że rozsiewał wokół mniejsze stawy. Term wybrał jeden z mniejszych zbiorników, nie większy niż sam mont. Pozwolił pojazdowi dryfować, aż znalazł się tak blisko, że dziób dotykał srebrzystej kuli.

A wtedy wydarzyło się coś, od czego zabrakło mu tchu. Ujrzał wnętrze stawu. Były tam wodne stworzenia o kształcie długich łez z małymi skrzydełkami, tańczące w labiryncie zielonych nitek. Włączył światła i woda rozjarzyła się. Tam, wewnątrz, była dżungla,

a pływające podwodne ptaki całymi chmurami przelatywały pośród roślin.

Lawri go obudziła.

– Chodź, Jeffer. Nikt inny nie wie, jak to się robi. Wybierz dwóch buntowników z dobrymi płucami.

Poszedł za nią na rufę. Nie zapytał, po co są potrzebne płuca, dopóki sam się nie domyślił.

– Clave, Anthon... potrzebujemy siły mięśni. Przynieście gurdy. Są lepsze od płuc, pani Uczony.

– Gurdy, jasne. Gdybyście lepiej zaplanowali ten bunt, rozmontowalibyście pompę i zabrali na pokład.

Roześmiał się i pomyślał: „A może w ogóle powinienem był spytać cię o radę?”. Jednak nic nie powiedział. Po tym, co Lawri przeszła, można się tylko było cieszyć, że żartuje, nawet jeśli był to humor rodem z dziupli.

Zanim zamontowała węza do tylnej ściany, Term wyniósł drugi jego koniec na zewnątrz. Po sieciach spowijających kadłub nie zostało ani śladu. Nawet zwęglenia odpadły. Przywiązał się, zanim skoczył w stronę odległej o parę metrów wody. Obok niego zaraz pojawił się Clave z gurdami, też dobrze przywiązany. W ślad za nim przybyły Jinny i Jayan.

Teraz wyszli wszyscy. Mark zdjął kombinezon i przywiązał się do Anthona. Merril, Ilsa, Debby... W płataninie lin rzucili się do wody i pili do syta. Aż do tej chwili Term nie dopuszczał do siebie myśli o pragnieniu. Teraz jednak poddał się i zanurzył głowę i ramiona w stawie, jakby próbował go połknąć w całości. Światła monta oświetlały wodę wokół niego.

Nadszedł czas zabawy. A dlaczego nie? Pociągnął za linę i wyprysnął z wody, zanim zdążył się utopić. Pozostali obywatele pili, pluskali się, myli siebie i innych.

Czy Lawri została sama w moncie?

Sama – u sterów pojazdu, który mógł zawisnąć obok stawu i obryzgać ogniem mężczyzn i kobiety. Musieliby wybrać pomiędzy spłonięciem a utonięciem... Ujrzał, jak Lawri wychodzi z monta w towarzystwie Minyi i Gavvinga. Był nieostrożny, na szczęście oni nie. Od tej chwili Term cały czas miał ją na oku, pamiętając, aby nie zostawiać jej samej.

Z pluskiem skoczyła do wody. Myli się nawzajem z karłem i rozmawiali półgłosem, ale w zasięgu słuchu Anthona. Ruchy dziewczyny były szybkie i rozdygotane. Po operacji wejścia w atmosferę wydawała się napięta jak struna. Term nagle poczuł, że jego podejrzenia są idiotyczne: biedaczka nie byłaby w stanie nawet pomyśleć o zdławieniu buntu. Zastanawiał się tylko, czy nie będzie miała koszmarnych snów.

Pompowali po kolei. Technika była prosta: należało wcisnąć szyjkę gurdy do węza, ostrożnie, ponieważ w ruchu było ich aż trzy, ścisnąć, zanurzyć pod wodę, ścisnąć znowu, poczekać, aż się napelni, ścisnąć...

– Ramiona mi wysiadają – oznajmiła Minya i podała gurkę Merrill. Dzięki mięśniom łuczniczki wytrzymała dłużej od innych. Gavving stał nieruchomo w wodzie, w pewnej odległości od nich. Nadział już na harpun cztery dziwaczne, zwinne, łuskowate wodne ptaki. Minya obserwowała go przez chwilę, zastanawiając się, co on naprawdę sądzi o rosnącym w niej gościu.

A co ona o tym myśli? Cięża stanowiła część jej przeszłości. A przeszłość umarła dla wszystkich, zwłaszcza dla nich, dla obywateli oddalonych o setki tysięcy kilometrów i burz samego Golda od swoich domów. Będzie miała dziecko. Był taki czas, kiedy straciła już nadzieję, iż to kiedykolwiek nastąpi... lecz co w tej chwili czuje Gavving?

– Nikt jakoś nie wspomina o Sharlsie Davisie Kendym – zauważyła Merrill.

– A po co? – zdziwiła się Debby. – Nie obchodził nas przedtem, to i teraz nie będzie.

– Ale mimo wszystko... zobaczyć Kontrolera to jest coś. Coś, o czym opowiemy naszym dzieciom. Ktoś taki stary na pewno wiele się nauczył...

– Jeżeli nie kłamał albo nie zwariował.

– Wiedział o wszystkich faktach – zaproponował Term. – Uwierzylimy mu przecież! Może miał tylko kasety, tak jak ja. Uczony karzeł, uwięziony w moncie, a my omal nie podzieliliśmy jego losu, i wcale nie jest aż taki bystry. Przełknął historię Marka...

– No, no, przecież była genialna! – ryknął srebrny człowiek.

– Opowiedziałeś niezłą historię, Mark, ale dlaczego mnie poparłeś?

Minął oddech lub dwa, zanim karzeł zdecydował się odpowiedzieć:

– Przecież wiesz, że nie popieram tej przeklętej rewolucji manusów.

– Tak, wiem. No to dlaczego?

– To go nie powinno być obchodzić. Kimkolwiek jest. Czymkolwiek jest.

– Taak... miał trochę ciekawych maszyn. Może sam jakoś utknął na pokładzie „Dyscypliny”... chciałbym zobaczyć „Dyscyplinę”.

Lawri nawet nie próbowała pompować. Zginała palce, zastanawiając się, czy w ogóle się zagoją. Czowała jeszcze wokół siebie odór strachu, ale tego przynajmniej się pozbyła.

– Nie negocjowałabym z Sharlsem Davisem Kendym, nawet gdyby podarował mi „Dyscyplinę”. Brzydki, arogancki karmiciel drzew. Chciał zabić Marka, jak ty zabijasz indyka, ponieważ przyszedł czas. Bo mu to odpowiadało. Pomiałał nami jak manusami!

Roześmiali się wszyscy. Nawet Mark.

Po trzech godzinach ich ramiona były już tylko samym bólem. Niebieski wskaźnik wewnątrz wskazywał H20:260.

– Dość? – zapytał Term Lawri.

– Na to, co chcemy zrobić...

– Myśleliśmy, że polecimy do domu – wtrąciła Debby.

Clave prychnął, ale wszyscy czekali na odpowiedź Lawri.

– Nigdy nie znalazłabym Drzewa Londyn – niechętnie odparła dziewczyna. – Stany Carthera są jeszcze mniejsze. I jedno, i drugie znajduje się po innej stronie Golda. Będziemy musieli przyspieszyć na zachód, odpaść od Pierścienia ku wnętrzu i pozwolić, aby Gold nas obrócił. Chcecie jeszcze raz ruszyć na Golda?

Uśmiechnęła się, widząc ich reakcje.

– Ja też nie. Jestem zmęczona. Możemy dotrzeć do innego drzewa i zacumować monta. Zbudujemy pompę, zanim będziemy potrzebować więcej wody.

– My oczywiście wolelibyśmy dżunglę – wtrąciła Ilsa.

Jedna z kobiet zjeżyła się:

– Nas jest dziewięcioro, a was troje. Jeśli...

– Spokojnie, Merril – powstrzymał ją Clave. – Ilso, jesteś pewna? Możecie poruszać dżunglą i to ci się podoba, tak?

Ilsa ostrożnie skinęła głową.

– To tylko jedna z rzeczy, jakie nam się podobają w dżungli – dodał Anthon. – Ale przecież możecie to robić tylko raz na dwadzieścia lat. Jeśli zacumujemy pojazd... monta do środkowej części drzewa całkowego, będziemy mogli poruszać je, gdzie i jak będziemy chcieli.

– A dlaczego nie dżungla?

– A gdzie oprzesz monta?

Anthon rozważał to przez chwilę.

– Lej? Nie, mógłby nagle wypuścić gorącą parę – uśmiechnął się nagle. – Was i tak jest więcej niż nas. Jasne, wybierzcie drzewo.

Znaleźli grupkę ośmiu niewielkich drzew, od trzydziestu do pięćdziesięciu kłomterów długości. Term bez pytania wybrał największe. Zawisł na przednich silnikach nad zachodnią częścią kępy.

Zupełna dzicz. Wzdłuż pnia spływał strumień, spadając wprost do dziupli. Term rozejrzał się za zaokrąglonymi kształtami starych chat, ale ich nie znalazł. Liście wokół dziupli nigdy nie były przycinane, nie zauważył też ścieżek pogrzebowych ani miejsc do wysypywania śmieci. I żadnych ziemskich roślin, nawet w charakterze chwastów.

Kępa wyglądała kusząco.

– Chyba jesteśmy tu pierwsi – rzekł wesoło. – Lawri, wymyśliłaś już, jak tu wylądować?

– Ty jesteś przy sterach.

Przemyślał wszystko szczegółowo.

– Obawiam się, że najlepiej będzie zacumować go przy pniu i zejść w dół.

– Po drzewie?

– Już to robiliśmy. Clave poprowadziłby większość grupy w dół, a na przykład Gavving i ja zaczekalibyśmy na górze. Mont byłby używany do operacji ratowniczych. Kiedy wszyscy zejda na dół, Gavving i ja pójdziemy za wami. Już się kiedyś wspinaliśmy.

– Daj spokój – odparł Clave. – To drzewne żarcie trwałoby o wiele za długo. Term, przestań wydziwiać i ląduj w dziupli.

– Podpalimy ją!

– No to spróbujemy na innym drzewie!

Kiedy wspomniał o możliwości wylądowania w dziupli Drzewa Londyn, Lawri omal nie wyskoczyła ze skóry. Teraz tylko przetarła oczy. Chyba była zmęczona...

Wszyscy byli zmęczeni. Dość już mieli wstrząsów i obcości. Clave miał rację, opóźnienie byłoby torturą, a drzew mieli aż nadto.

W dziczy trudno znaleźć miejsce do lądowania. Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, tylko zieleń. Na pewno nigdy nie było tu suszy. Zapali się, czy nie?

Ruszamy na Golda.

Podleciał do dziupli i wbił monta w listowie na tyle mocno, żeby w nim pozostał. Wszyscy ruszyli do drzwi, choć wciąż jeszcze czuli skutki uderzenia. Beładnie wyskakiwali na zewnątrz, ponchami gasząc niewielkie pożary.

Wreszcie mieli czas się rozejrzeć.

Minya stała roześmiana, dysząc ciężko. Jej czarne, gęste włosy były mokre i sterczały na wszystkie strony, poczerńnięte poncho zwisało z ramienia. Złapała Gavvinga za rękę i wrzasnęła radośnie:

– Koptery!

– Nie wiedziałem, że lubisz koptery! – zaśmiał się Gavving.

– Ja też nie. Ale na Drzewie Londyn wrywali koptery, kwiaty i wszystko, czego nie dało się spożytkować.

Uderzyła w jedną, drugą, trzecią dojrzałą roślinę. Strąki nasienne z brzęczeniem wzbily się w górę.

Nagle znalazła się z nim twarzą w twarz i spojrzała mu w oczy.

– Udało się. Wszystko tak, jak zaplanowaliśmy. Znaleźliśmy wolne drzewo i jest nasze!

– Sześcioro. Sześcioro z Kępy Quinna... Przepraszam.

– Dwanaścioro. I będzie więcej.

Walczyła z ogniem z drapieżnym wdziękiem, w czym nie przeszkadzało jej lekkie zgrubienie na wysokości bioder.

Jest moje, pomyślał Gavving. Niech wygląda jak ja albo jak jakiś łowca manusów... jak Harp, jak Merril! Moje... nasze!

Właśnie to jej powie, kiedy przyjdzie odpowiedni czas. Na razie jednak zabrzmiałoby to zbyt poważnie.

– W porządku, wszystko, co widzimy, jest nasze. Jak je nazwiemy?

– Wiesz, co mi się najbardziej podoba? Kiedy mówię „obywatel”, mam na myśli każdego z nas. Nie jestem triumem, nie jestem manusem... Drzewo Obywateli?

Liście miały taki sam smak jak na Kępie Quinna przed suszą, kiedy Term był dzieckiem. Leżał na plecach w dziewiczym listowiu i ssał je w zadumie.

Nagle uświadomił sobie, że z głębi łaciatego cienia obserwuje go Lawri. Obejmowała się ramionami; wydawała się zmarznięta albo zdenerwowana, skulona jak w obronie przed ciosem.

– Nie możesz się odprężyć? – krzyknął. – Zjedz trochę liści!

– Jadłam. Są dobre – odparła beznamiętnie.

Ogarnęła go złość.

– No to czym się martwisz? Nikt cię tu nie nazwie łowcą manusów. Uratowałeś nam życie i wszyscy o tym wiedzą. Jesteś czysta, syta, wypoczęta, bezpieczna i podziwiana. Odpocznij, pani Uczony. Skończyło się.

Nie chciała spojrzeć mu w oczy.

– Jeffer, jak to brzmi? W promieniu dziesięciu tysięcy kłomterów jest tu tylko dwóch obywateli Drzewa Londyn. Czy to wystarczy, żebyśmy... się lepiej rozumieli?

Przykucnął i podniósł na nią wzrok. Dlaczego pyta o to właśnie jego?

– Myślę, że tak.

– Mark też tak uważa.

– No to świetnie.

– Nie musiał tego mówić. Rozmawialiśmy trochę o budowaniu chat, to wszystko. Ale on patrzy na mnie tak, jakby wiedział! Jakby był tylko zbyt uprzejmy, żeby o tym ze mną rozmawiać już teraz! No, ale dokąd mam pójść? Kto tu jeszcze jest? Jeffer, nie każ mi wychodzić za karła!

– Eee... pewnie – mruknął Term.

Odwróciła się konwulsyjnie, by spojrzeć mu w twarz. Podniósł rękę, jakby chciał powstrzymać ją od mówienia.

Właściwie dwoje Uczonych powinno stanowić dobrą parę, prawda? To ma sens. Ale ty widziałas, jak zamordowałem Klance'a. Nie ostrzegłem go. Nie wygłosiłem mowy o manusach, o wojnie i sprawiedliwości. Po prostu zabiłem go przy pierwszej okazji, jaka się nadarzyła. Zabiłbym i ciebie, żeby się wyrwać z tamtego miejsca.

Nie przytaknęła. Nie powiedziała ani słowa.

– Możesz wsadzić mi harpun w brzuch, kiedy będę spał. Nie popędzaj mnie. Muszę



pomyśleć.

Czekała, a on myślał. Teraz już wiedział, czemu Lawri tak go irytuje tą nieszczęśliwą miną. Czuł się winien i ona o tym wiedziała. Chyba nie tego oczekiwał od kobiety?

Czy chciał się ożenić? Zawsze myślał, że tak, a wśród siedmiu kobiet i pięciu mężczyzn Bezimiennej Kępy... cóż, nieżonaty mężczyzna nie ma szans na przetrwanie w tak małym stadku. Powinien więc przynajmniej mieć możliwość wyboru żony. No więc kto?

Gavving i Minya, małżeństwo. Clave, Jayan i Jinny to jedna całość i bliźniaczkom chyba to odpowiada. Anthon, Debby i Ilsa pozostawili zapewne swoich partnerów w Stanach Carthera, ale teraz są wolni... Anthon może tak nie myśli, a nawet gdyby Debby lub Ilsa były wolne... cóż, przelotna zabawa mogłaby być nawet przyjemna, ale one wyglądają tak dziwnie! Pozostaje... Lawri.

Zwrócił się do niej, prawie pewien, że uda mu się wykręcić.

– Lawri, czy przebaczysz mi zamordowanie Klance’a?

– Mówisz o morderstwie, nie o zabiciu?

– Nawet nie twierdzę, że to była wojna. Wiem, czym był dla ciebie, Lawri.

Odwróciła się do niego plecami i rozplakała. Term się nie odwrócił. Prawie ją zaprosił, żeby spróbowała go zabić. „Teraz albo nigdy, Lawri! Ty też potrafisz dodawać. Ja, Mark... albo nikt! Może właśnie daję Markowi następny powód, żeby mnie zabić. Czy chcę aż tak ryzykować?”

Spojrzała na niego.

– Przebaczam ci zamordowanie Klance’a.

– No to chodźmy do monta zarejestrować małżeństwo. Świadków zbierzemy po drodze.

Clave zajrzał do dziupli.

– Widzę tam kamienie. To dobrze, przydadzą się na budowę paleniska. Ugotujemy wodne ptaki Gavvinga. Powyrywamy trochę liści, żeby było miejsce. A gdzie zrobimy Rynek?

Nie zauważył w pobliżu zbyt wielu obywateli, a ci, którzy byli, wcale go nie słuchali.

Podniósł głos.

– Drzewne żarcie, musimy się zorganizować! Zbiornik. Tunele. Chaty. Zagrody. Może nie znajdziemy indyków, ale coś znajdziemy na pewno, na przykład dumba. Potrzebujemy wszystkiego. Wcześniej czy później zrobimy windy do punktu centralnego, żebyśmy mogli tam zacumować monta. Ale na razie...

Anthon leżał płasko na plecach, zanurzony w listowiu, z długą kobietą u każdego ramienia.

– Claave! – ryknął. – Nakarm tym drzeeewoo!

Clave uśmiechnął się do niego. Wyglądało na to, że Anthon reprezentuje opinię większości.

– Odpocznijcie, obywatele. Jesteśmy w domu.

Na dobre czy złe, żyli i byli bezpieczni w punkcie na dwóch trzecich odległości od Świata Goldblatta do skupiska mas i form życia wokół punktu L4.

Obiecywał im skarby wiedzy. Szkoda, że zdołał dać tylko ich przedsmak. Z pewnością przeżyli podczas wejścia w atmosferę wszystko, co im opisał... skoro w ogóle przeżyli. Bogowie dzikusów zawsze byli wszechwiedzący, prawda? A może raczej naiwni i łatwo było nimi manipulować? Pamięć Kendy'ego nie zawierała takich danych.

Nieważne: legenda i tak się rozejdzie.

„Pokażę wam, jak związać małe plemiona w jedno wielkie Państwo...”

Zmienił oprogramowanie MONT-a. Teraz MONT będzie obserwował ich zachowanie i wszystko rejestrował. Pozna dzieci Państwa, zanim jeszcze powrócą one do Kendy'ego...

Będzie znał tę jedną maleńką enklawę w ogromnej chmurze. Dymny Pierścień ma dość miejsca na różne rodzaje życia.  $10^4$  kilometrów sześciennych nadającej się do oddychania atmosfery to przecież trzydzieści razy więcej niż na Ziemi! Kendy zamarzył, żeby mieć tysiąc, nie, dziesięć tysięcy MONT-ów. Co oni teraz robią?

Nieważne. Wcześniej czy później pojawi się tam człowiek, gotów na wszystko, aby zbudować imperium, dość zdeterminowany, aby ukraść MONT-a, dość szalony, aby zawierzyć życie temu antycznemu, przeciekającemu pojazdowi remontowemu. Kendy już będzie wiedział, jak go użyć. Tacy właśnie ludzie pomogli stworzyć Państwo na Ziemi. W tym dziwnym środowisku zrobią to raz jeszcze.

Kendy czeka.

## SŁOWNIK

BŁĘKITNY DUCH, DZIECKO DUCHA – Jarzące się plamy, podobne do zorzy polarnej, spowodowane zjawiskami magnetycznymi na biegunach Gwiazdy Levoý. Rzadko widoczne.

BŁYSKACZ – Owadożerny ptak.

CENTRA – Punkty L4 i L5 dla Golda. Mają tendencją do zbierania śmieci.

CHATY – Wszelkiego rodzaju mieszkania. Na całkowych drzewach chaty wyplatane są z żywych gałązek.

DRZEWNE ŻARCIE – Drzewne żarcie to wszystko, czym można nakarmić drzewo: ekskrementy, śmieci, trupy. Także wyrażenie używane jako przekleństwo.

DRZEWO CAŁKOWE – Główna roślina.

DUMBO – Drapieżnik zamieszkujący całkowite drzewo.

DZIEŃ – Jedna orbita wokół Gwiazdy Levoý, gwiazdy neutronowej (równy dwóm godzinom w Kępie Daltona-Quinna).

DŻUNGLA (lub DŻUNGLE) Z WATY CUKROWEJ – Prawie każde skupisko roślin. Większość roślin i ich skupisk wygląda jak puszysta zielona wata. Wiele jest jadalnych.

GAŁĄZKI – Wyrastają z gałęzi i pokrywają się listowiem.

GAŁĘZIE – Wyrastają z konara drzewa całkowego.

GOLD – Patrz Świat Goldblatta. Drugie znaczenie: coś, co należy omijać.

GRZYB-WACHLARZ – Pasożyt całkowego drzewa. Częściowo jadalny.

KARMIĆ DRZEWO – Defekować, wnosić śmieci lub umierać.

KĘPA QUINNA – Kępa wewnętrzna (lub punkt najbliższy Gwieździe Levoý) Drzewa Daltona-Quinna.

KĘPOJAGODY – Owocujące rośliny rosnące w kępie drzewa całkowego. Owocują i rozsiewają nasiona jedynie w kępie bliższej mediany Pierścienia.

KONAR – Po jednym na każdym końcu całkowego drzewa, zakrzywione na zawietrzną.

LEVOY – Gwiazda neutronowa, serce systemu Dymnego Pierścienia. Nazwana na cześć swego odkrywcy, Sharon Levoý, Astrogatora zatrudnionego na „Dyscyplinie”.

LINONOS – Patrz dumbó.

ŁOWCA MANUSÓW – Łowca lub poganiacz niewolników.

MANUS – Niewolnik. Ogólnie używane jako obelga.

MONT – Moduł Naprawczo-Towarowy. „Dyscyplina” miała ich pierwotnie dziesięć.

PRIKAZYWAT – Rosyjskie słowo oznaczające „wydawanie rozkazów”. Obecnie stosowane do uruchamiania programów komputerowych.

ROK – Pół pełnego okrążenia słońca wokół Gwiazdy Levoý, równy 1,385 roku ziemskiego.

RUSZAĆ NA GOLDA – Rzucić się na oślep w katastrofę lub walczyć.

SIWIZNA – Grzyb pasożytniczy na drzewach całkowych.

SŁOŃCE – Gwiazda G0 orbitująca wokół gwiazdy neutronowej w odległości  $2,5 \times 10^6$  kilometra, dostarczająca światła słonecznego, które zasila wodno-tlenowo-DNA ekologię Dymnego Pierścienia.

STAW – Wszystkie duże krople wody.

STRZAŁOSTRAK – Niektóre rośliny mają strąki, które można stosować jako silniki manewrowe. Wyrzucają one gazy (gnilne lub tlen, ten ostatni w przypadku roślin, które wolą zewnętrzne obręby Dymnego Pierścienia). Inne rośliny wyrzucają strąki, kiedy umierają, rozmnażają się lub odpadają zbyt daleko od Dymnego Pierścienia. Istnieją tropizmy.

ŚWIAT GOLDBLATTY Planeta gazowego giganta pochwycona, gdy Gwiazda Levoy stała się supernową/neutronową. Nazwany na cześć astrofizyka „Dyscypliny”, Sama Goldblatta..

UCZONY – Strażnik wiedzy w Kępie Quinna. Termin używany również w innych plemionach.

VOY – Patrz Levoy, Gwiazda

## KIERUNKI

NA ZEWNĄTRZ – Kierunek od Gwiazdy Levo.

DO WEWNĄTRZ – Kierunek do Gwiazdy Lewy.

WSCHÓD – W kierunku orbitowania torusa gazowego.

ZACHÓD – W kierunku przeciwnym do kierunku orbitowania torusa gazowego. Tak się porusza słońce.

POD WIATR (nawietrzna) – W kierunku przeciwnym do kierunku wiatru.

Z WIATREM (zawietrzna) – W kierunku, w którym wieje wiatr.

LEWA STRONA – Lewa strona, jeśli Twoja głowa znajduje się na zewnątrz i twarz masz skierowaną ku zachodowi, lub jeśli masz głowę i twarz skierowaną na wschód i tak dalej. Kierunek Dziecka Ducha.

PRAWA STRONA – Przeciwna do lewej. W kierunku Błękitnego Ducha.

W DÓŁ I W GÓRĘ – Zazwyczaj stosuje się tylko w przypadku działania sił takich jak wiatr lub ciąg. Ogólna zasada, znana wszystkim plemionom, to: „Wschód wiedzie na zewnątrz, zewnątrz wiedzie na zachód, zachód wiedzie do wewnątrz, wewnątrz wiedzie na wschód. Burta lewa i prawa wiodą z powrotem. Nawet plemiona, które nie poruszają się wewnątrz Dymnego Pierścienia, znają to powiedzenie.